

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Maciej Patkowski

...czemu mnie nie było...

Copyright by Maciej Patkowski

**Wydawnictwo „Tower Press”
Gdańsk 2001**

Opowieść z mottem

*„czemu się urwałem czemu mnie nie było
czemu jak strażak biegłem nieprzytomnie
stałe w drodze jak Kolumb który szukał pieprzu
nim wróciłem był Jezus
i pytał się o mnie”.*

ks. Jan Twardowski

To się zaczęło w Montrealu.

Było nas czworo i czekaliśmy na samolot, który miał nas zabrać do Moskwy, stamtąd już bezpośrednio do domu, do Leningradu. Więc: znany prozaik i scenarzysta filmowy, dobrze po pięćdziesiątce, przez długie lata – drugi sekretarz partii w naszym związku pisarzy. Dalej: znany eseista, specjalizujący się w analizowaniu tego, co złe na Zachodzie, poza tym swój chłop, uczciwy kolega, można z nim kraść i spiskować, nie sypnie, jeśli nie będzie musiał; stara wdowa po wybitnym, umarłym przed laty poecie, sama – tłumaczka nie tyle z amerykańskiej literatury, co Howarda Fasta, bo tego się tylko tłumaczyło, ale głównie – wdowa, zbierająca fructy po zmarłym, znakomitym poecie. I – ja, najmłodszy, dodany, aby delegacja nie przypominała małej klikki samych swoich; więc ja, z wychowania Rosjanin, z urodzenia raczej znajda, ni to – ni owo, głównie Polak z ojca, któregom na oczy nie widział; trochę Litwin, trochę Rosjanin po matce, którą pamiętam z lat dziecięcych i rejonów ojczystych, co się wypłukały i rozmyły, niczym farba w wodzie, w morzu rosyjskim. Ciągłe jeszcze młody, ale od dawna już obiecujący poeta z „mniejszości narodowej”, pacierze mówiący w dzieciństwie w obu językach, choć i trzeci – litewski był mi dobrze znany, a gdy drukowałem wiersz, to często w Leningradzie i Wilnie w tym samym tygodniu na prawach pierwodruku. Więc ja, dodany do tej delegacji, by się nazywało, że nie sami z za stołu przydzielonego podróżują w nagrodę za wysługę lat, że użyczyli trochę miejsca chłopakowi z grupy etnicznej.

Czekaliśmy na samolot szereg długich godzin, ale nie przyleciał. Zawiało go gdzieś na trasie. Więc skoro nie przyleciał, to i nie odleci. Zabrali nas na noc do hotelu.

I wtedy się to stało. Rozłożyłem swoje rzeczy w pokoju, który dzieliłem ze scenarzystą filmowym. Włożyłem prochowiec, bo zapowiadał się raczej chłodny wieczór. Zszedłem na

dół. Za ostatnie parę centów, które zostały nam z całej wymiany, kupiłem sobie kieliszek koniaku. Smakowałem go, patrząc przez szybę baru na ulicę, rozjaśnioną ostrawym blaskiem reklamy jakiegoś sklepu z naprzeciwka. Patrzyłem na ludzi, przechodzących w tę i z powrotem, jak to zawsze w mieście o wieczornej porze. Gdy już odsunąłem pusty kieliszek, podszedłem do portiera i spytałem go, jak umiałem, którędy na policję. Trafiłem tam przy ludzkiej pomocy, nic było daleko. Zimny wieczór zawiewał wiatrem, który mi przypominał październikowe podmuchy znad Ładogi, pachnące jeszcze łąkami, ale już z podszeptem zimy, drzemiącej tuż na skraju tundry. Rozwiewał mi prochowiec i mierzwił włosy. Ale w komisariacie było ciepło.

Gdy przyszła kolej na mnie, stanąłem przed barierką i powiedziałem do faceta, który miał jakieś dystynkcje na ramionach, że jestem członkiem delegacji pisarzy z Leningradu i nie chcę wracać do kraju; proszę ich, aby mi to załatwili, bym mógł pozostać w Kanadzie i szukać mego ojca w Stanach lub gdziekolwiek może się znajdować.

On mówił tylko po francusku i angielsku. Znałem wiele słówek i całych zwrotów, ale nie znałem angielskiego. W szkole uczyłem młodzież łaciny, ale kto wie, czy policjanci kiedykolwiek o niej słyszeli. Kazali mi siadać i czekać. Czekałem przez kilka godzin, jak na lotnisku tego popołudnia, gdy samolot nie przyleciał. Ale coś się w końcu zaczęło dziać wokoło. Wyprowadzili mnie z tego komisariatu i przewieźli do innego. Tam czekało na mnie trzech gości w cywilu i jeden z nich mówił całkiem niezłe po rosyjsku, nieco z domieszką ukraińskiego akcentu. Więc jeszcze raz:

– Jestem członkiem delegacji pisarzy z Leningradu, która dziś miała odlecieć do Moskwy. Chcę tu zostać. Nie chcę tam wracać.

Dziwnie o nic mnie nikt nie pytał. Spodziewałem się przecież, że pierwsza reakcja będzie oczywista: – „dlaczego?”. Nie – abym musiał kłamać, czy coś; było to po prostu kłopotliwe i gdyby znali całą, prostą i szczerą prawdę, może by wszyscy razem pękli ze śmiechu, kazali zgarnąć własne szmatki do walizki i... zmiatać na lotnisko. A może nie? Brak mi było doświadczenia. Byłem drugi raz za granicą, uciekałem po raz pierwszy. Ale nikt mnie o nic nie pytał. Dostałem ankietę do wypełnienia i gdy ją oddałem, zagadnęli, czy wracam do hotelu.

– Tego nie mogę zrobić.

I znowu nikt nie oczekiwał wyjaśnień. Zawieźli mnie samochodem do innego budynku, gdzie dostałem taki, raczej żołnierski, pokój, same niezbędne przedmioty, brak wieszaków. Okno było zakratowane, by osobnik tu mieszkający nie mógł wyskoczyć. Reszta – jak z baraków robotniczych lub prowincjonalnego hoteliku. Tyle, że czysto jak na sali operacyjnej.

Nie byłem nigdy w sali operacyjnej ani jako pacjent, ani jako widz, ale wydawało mi się, że powinna być nieskazitelnie czysta.

Leżałem więc na łóżku i oczekiwałem dalszych wydarzeń, które miały nastąpić jutro. Patrzyłem w sufit i myślałem: dlaczego? Ani słowem, ani na piśmie nie mógłbym wyrazić całej prostoty mej decyzji.

Może gdybym spisał opasłe tomisko, ale ja jestem poetą i pisuję liryki, sześć, osiem wersów i czasem tytuł, czasem trzy kropki, niekiedy tytuł: „bez tytułu”. Czy ten plakat ze słupa ogłoszeń, który wczoraj zobaczyłem, gdyśmy zwiedzali śródmieście, z ogromnymi literami jej imienia i nazwiska, i który przyprawił mnie dosłownie o zadyszkę?... czy ten króciuchny, ale jakże bolesny epizod był w jakiś sposób początkiem, zrodził pierwszą, jeszcze nieubraną słowami myśl lub raczej zamysł, albo zgoła tylko przeczucie...? Przeczucie, że się coś stanie lub stać powinno z moim życiem i że muszę coś przedsięwziąć już, teraz, z nagłą, dziś lub wcale. Ona tu była, w tym mieście, lub za kilka dni zjedzie ze swoim fraucymerem. Całym zespołem chłopaków i dziewcząt, wśród których była samotnie błyszczącą gwiazdą pierwszej wielkości niczym Syriusz wiosną na wieczornym nieboskłonie. Po latach bezbolesnego zapomnienia, nagle wszystko w jednej chwili odżyło, zbudziło się, taka gwałtowna erupcja uczuć, doskonale znana poezji i literaturze, szczególnie naszej, słowiańskiej. Przez krótkie mgnienie wyobraźni zobaczyłem ją teraz, leżąc na łóżku w żołnierskim pokoiku, ujrzałem ją dokładnie tak, nad wyraz dokładnie, jak tylko we śnie może się człowiekowi coś przydarzyć równie zmysłowo prawdziwego. Zobaczyłem ją taką, jak ostatni raz, gdym stał tuż przy niej, raczej przed nią, zakłopotany równie jak i ona, czujący jej oddech, zapach ciała, skóry i włosów, skropionych intensywnymi perfumami, których woń połączyła mi się na zawsze z nią i tylko z nią, i z tym krótkim spotkaniem twarz w twarz, gdy tak stałem przed nią z moimi czekoladkami, które przyniosłem, i tomikiem moich debiutanckich wierszy jej właśnie dedykowanych... I gdy ona ujrzała dedykację, wydrukowaną w książce, nie ręcznie napisaną na jednym tylko egzemplarzu dla niej przeznaczonym, lecz na wszystkich, wszystkich wysłanych do księgarń, widziałem w jej twarzy i całej sylwetce nagle zaskoczenie; nie będąc jeszcze gwiazdą pierwszej wielkości, bo ledwie że wschodziła wtedy przed dziesięcioma laty, już przywykła do kwiatów i sonetów, a jednak ten tomik poezji w dłoniach, z dedykacją dla niej, to była taka szczerą, wielką niespodzianką. Nie miałem pojęcia, komu było lepiej, milej i przyjemniej; mnie, com to przeżył nocami nie spanymi, wieczorami nad Newą, rankami przy oknie, czy jej, przyjmującej to niespodziewane wyznanie od zupełnie obcego człowieka. Nie padło ani jedno słowo. Ja nie powiedziałem „proszę”, ona nie powiedziała „dziękuję”, nic, nie pamiętam

nawet, czy uścisnęliśmy sobie ręce. Wychodząc z garderoby, już na korytarzu, nie pamiętałem uścisnęliśmy sobie dłonie, czy nie? Czułem ciepło w całym swym organizmie, łagodne i kojące łaskotanie w piersiach, jakbyśmy wyściskali się niczym rodzeństwo po latach niewidzenia lub jak para kochanków. Do dziś nie pamiętam szczegółów tego niemego spotkania. Ileż tego było? Może chwila, może po prostu jedna dłuższa chwila, która zostaje człowiekowi w pamięci, jak gdyby zdarzyło się coś ogromnie arcyważnego? Przez ten jedyny krótki moment ona przestała dla mnie błyszczeć niczym gwiazda na firmamencie teatru; była po prostu dziewczyną, ze swym zapachem, oddechem, ciepłym uśmiechem, makijażem, potem na skroniach i pod noskiem, chudziutka, szczuplutka, krucha, wiotka, niemal nieistniejąca, ale jakże żywa dla mnie wtedy, przez tę jedną chwilę, której czasu potem nigdy nie umiałem określić. Nie więcej niż kilkadziesiąt sekund – zdecydowałem później, żyjąc tą chwilą przez długie, następne miesiące... A teraz, dowiedziałem się z afisza: była gdzieś tu, w pobliżu, w tym samym mieście, może mieszkała nawet w tym samym hotelu, z którego wyszedłem na posterunek policji, by powiedzieć, że nie zamierzam wracać do Leningradu.

Rano powitał mnie ten sam tłumacz, ale zawiózł do innych urzędników. Moją ankietę już przeczytali, bo leżała na biurku, rozpoznałem swoje pismo.

– Czy przemyślałem moją decyzję?

– Tak.

– Czy dziś rano także wyrażam chęć osiedlenia się w Kanadzie jako uciekinier?

– Tak.

– Dlaczego?

Nareszcie, pomyślałem, im prędzej przebrnę przez to piekielko, tym lepiej dla nas wszystkich... I z morza różnych możliwości wybrałem najprostszą odpowiedź:

– Ojciec.

– Nie rozumiemy.

– Nie jestem Rosjaninem. Wychowałem się w Leningradzie, ale mój ojciec jest Polakiem. Przeżył wojnę jako młody mężczyzna, moja babka wojny nie przeżyła, leży w zbiorowej mogile na Cmentarzu Pisarijewskim. Po aresztowaniu mojej matki wychowała mnie ciotka na starych fotografiach domu rodzinnego i przedwojennych podręcznikach historii polskiej, po wojnie zakazanych przez nową władzę. Chcę zobaczyć mojego ojca. Wiemy, że uciekł do Szwecji, ale osiadł w Ameryce, to znaczy gdzieś w Stanach...

– W Stanach...?

– Tyle wiedzieliśmy z końca lat pięćdziesiątych. Od tamtej pory nie mieliśmy znaku życia.

– Poszukiwania zawiodły?

– Nie było poszukiwań. – Spozrzegłem nieme pytanie w twarzach urzędników, więc prędko dodałem: – W owych czasach poszukiwania takich jak mój ojciec kończyły się zazwyczaj nad rzeką Leną... Moja mama tak właśnie skończyła.

– To znaczy...?

– Z dożywociem w łagrze.

Cisza, urzędnicy wymienili spojrzenia. Ogłosili przerwę. W czasie tych paru minut mój tłumacz wyraźniej przywdziewał ludzką twarz, coraz częściej tłumaczył, nie – bo mu kazano, lecz jakby sam wmotał się w tę sytuację, którą on chyba oceniał znacznie bardziej trzeźwo niż ja. Wrócił od stołu urzędników i przyniósł mi wcale niemiłą nowinę:

– Powinieneś zażądać adwokata. Musisz mieć adwokata. Nie wiem, czy bez adwokata dasz sobie z nimi radę.

– Przecież chcę zostać, nic poza tym.

– Ale oni nie chcą ciebie widzieć.

– Nie chcą? Powiedzieli ci?

– Zanim cokolwiek się zdarzy, poproś o adwokata, bo ci się należy, takie tutaj prawo.

Po przerwie urzędnik rozłożył teczkę z dokumentami po to, by ją prawie natychmiast zamknąć. Mówił po francusku do tłumacza, coś mu szybko objaśniał. Na koniec zwrócili się do mnie:

– Czy chcesz porozmawiać z konsulem rosyjskim?

– Nie, a dlaczego?

– Konsul rosyjski prosi o widzenie.

– Ale ja nie chcę nikogo widzieć.

Cisza. Zrozumiałem, że coś jakby zepsuło się, zacięło i pracuje przeciwko mnie. Tego się najmniej spodziewałem.

– Bo widzisz – zwrócił się do mnie tłumacz – Rosjanie właśnie przygotowali dla prasy wersję, że zostałeś uprowadzony.

– Dajcie mi tu prasę – krzyknąłem – ja im wytłumaczę naocznie, że mnie nikt nie dotykał. Nie jestem branką z Seraju, by mnie można było tak sobie uprowadzić.

Przetłumaczył urzędnikom. Śmiech. Zdaje się, że po raz pierwszy zrobiłem na nich sympatyczne wrażenie. Wtedy jeden z nich mi wyjaśnił:

– Bo widzi pan, my – Kanadyjczycy – gorąco wspomagamy wolno myślących ludzi z waszej strefy – tak się wyraził: – „z waszej strefy” – ale Kanada zawarła porozumienie, na podstawie tego protokołu nie możemy udzielać azylu osobom przebywającym tutaj służbowo, w delegacjach oficjalnych, z wizytami państwowymi itp. Udzielając panu zgody na pobyt w

Kanadzie, musielibyśmy pogwałcić nasze międzynarodowe zobowiązania.

Tłumacz mruknął do mnie w między słowach:

– Mówiłem ci, prosz o adwokata.

– Powiedz im więc, że ja chcę adwokata, zanim wykopią mnie stąd siłą do samolotu. Bo, zdaje się, to chcą ze mną zrobić...?

– Chyba nie. Chcą cię przekonać, że zdecydowałeś się pochopnie, ale w gruncie rzeczy tak naprawdę nie chcesz wcale tu zostać, tylko raczej wolisz wrócić do Leningradu z... własnej woli.

– Rozumiem, znajdź mi adwokata.

Po szybkich i krótkich rozmowach zakomunikowali mi, że moją sprawę zawieszają na kołku, zanim nie znajdzie się obrońca. Policjant odwiózł mnie do tego żołnierskiego pokoiku. Ciekaw byłem, czy dostanę coś do zjedzenia i gdzie wypiorę koszulę. Zaczynała cuchnąć, bo nosiłem ją już wczoraj przez cały dzień, przez cały nerwowy wieczór, przez całą nieprzespaną noc i teraz równie nerwowy poranek.

Jedzenie dostałem. Bardzo mi smakowało. Z koszulą gorzej. Śmierdziałem. Wieczorem przyjechał adwokat i powiedziałem mu, by siadał z daleka, trochę śmierdząc, bo chodzę w niepranej koszuli, moje wszystkie rzeczy zostały w hotelu.

Adwokat okazał się szlachetną damą, nienagannie odmalowaną, upudrowaną, wyfryzowaną, chyba około sześćdziesiątki, lecz o twarzy niemal bez zmarszczek. Miała starannie wypielęgnowane dłonie o lekkich zgrubieniach w stawach, widocznych objawach postępującego artretyzmu. Mówiła wyuczonym rosyjskim, nabytym już tutaj, nie wypadało mi o nic pytać, lecz sama bez żadnych ceregieli opowiedziała mi, że jest córką emigrantów rosyjskich. Wtedy przyznałem, że moja rodzina pochodzi z Polski, z terenów, które należały kiedyś do Litwinów i że po matce mam nawet trochę domieszki starolitewskiej. Wychowałem się w Leningradzie u mojej ciotki, która mnie przygarnęła po aresztowaniu matki. Urodziłem się jednak w Wilnie. Na to ona mi powiedziała, że nie jest Rosjanką, lecz Żydówką rosyjską i jeszcze dodała, że jej ojciec, zanim wyemigrował, często jeździł w jakichś interesach do Wilna i strasznie chwalił miasteczko, że takie czyste i tylu zacnych ludzi dookoła.

– Posłuchaj, synu, zaczniemy od tego: kogoś tam zostawił?

– Praktycznie biorąc, nikogo... Żonę...

– Żona to u ciebie nikt...?

– U nas, w Rosji, żona działa sobie na swój rachunek, nie będzie miała trudności dlatego, że ja uciekłem, prawdopodobnie będą tylko robili wstręty i stroili fochy z paszportem.

– A kogo masz po tej stronie?

– Nikogo.

– Jak to!? Złożyłeś zeznanie, że pragniesz spotkać się z ojcem, czy pójść w ślady ojca.

– Tak, ale nie dodałem, że ostatnie wiadomości od ojca trafiły do nas blisko trzydzieści lat temu i od tej pory ani słychu ani dychu. Mam nadzieję, że wciąż żyje i że go w końcu odnajdę, ale równie dobrze może być już pogrzebany. Jeśli żyje, powinien liczyć ze trzy ćwierci stulecia, to zacy wiek. Mam nadzieję, że mu się powodzi.

– Ten twój ojciec jest znacznie ważniejszy, niż przypuszczasz. Rozumiem, że nie chcesz wracać do Leningradu, czy Wilna?

– Nie.

– Kanada nie może ci udzielić azylu. Nie denerwuj się. Po to ja tu jestem, bym coś wymyśliła. Zdaje się, że mamy rybę w sieci. Kanada nie ma nic przeciwko, byś tu pozostał przez jakiś krótki czas, dopóki nie opuścisz naszych granic. Wyraziłeś ochotę na połączenie się z ojcem, a twój ojciec, jak zeznałeś, mieszka w Stanach. Zatem, twoim prawdziwym życzeniem jest wyjazd do Stanów, tylko urzędnicy z ministerstwa źle cię zrozumieli z powodu niedokładności językowych. Prawda? Zatem, tę część mamy poza sobą. Na określony czas dostaniesz tymczasowe pozwolenie i nikt cię nie będzie deportował. Druga sprawa: skoro wyjeżdżasz do Stanów, już nie będziesz tam członkiem żadnej służbowej delegacji pisarzy, bawiącej z rewizytą, będziesz prywatnym podróżnym, szukającym swego ojca. Tak?

– Niby tak.

– Takim przypadkom udziela się azylu bez łamania protokołów międzynarodowych i obrażania wyższych urzędników. Cały kłopot wynika z twego pośpiechu. Widzisz, jeśli poprosisz o azyl konsulat amerykański, każą ci czekać w kolejce, a kolejka jest długa, długaśna, wiesz, tam się wszyscy pchają jak po złoto, pół Azji, pół Afryki, no i ci prześladowani uciekinierzy zewsząd. Nie jesteś sam. Kanada chce się ciebie jakoś pozbyć, by umyć łapy po tym wszystkim, więc będziesz – niczym latający Holender – kręcił się między coraz to innymi krajami. Bóg wie, jak długo.

– I za czyje pieniądze?!

– Słusznie, i za czyje pieniądze.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że to takie skomplikowane, po prostu uciec.

– Synu, wybiec z samolotu policji naprzeciw z okrzykiem „ratujcie”, na to może sobie pozwolić tylko Niurijew. I to nie dziś, nie w naszych czasach, kiedy staramy się kochać przez ocean i granice. Upozuję cię troszeczkę na aktora, dobrze? Złożymy wniosek o wizę turystyczną do Stanów, zarezerwuję ci samolot z Nowego Jorku do Kopenhagi, z tym biletem

w rękę i paszportem dostaniesz wizę turystyczną na poczekaniu. Pojedziemy razem na punkt graniczny i pożegnamy się, ktoś cię tam będzie musiał odebrać.

– Nie mam nikogo, nie znam adresu mego ojca.

– Podobno urodziłeś się w Wilnie. Słyszałam, że w Nowym Jorku mieszka wielu Polaków i Litwinów, i Estończyków, i wszystkich innych z Europy Wschodniej, których nawet nie umiałabym wyliczyć. Telefonowałam już do Komisji Praw Człowieka, odbiorą cię na granicy i szczęśliwie dowiozą do Nowego Jorku. Tam pójdziesz prosto do biura imigracyjnego i powiesz to samo, coś nam powiedział w Montrealu. Dam ci także telefon do mojej kuzynki w Nowym Jorku. Ona jest pośrednikiem w nieruchomościach, ale ta baba zna tam chyba wszystkich.

– A dokąd oni mnie odeślą? Do Meksyku?

– Prawo Stanów wyznaje swoistą zasadę: nikt nie może opuścić terytorium Stanów wbrew swej woli, jeśli wjechał legalnie. Dokładnie piszemy sztukę do tego motta. Wjedziesz legalnie z paszportem i biletem w rękę, będąc przejazdem z Kanady do Leningradu przez Kopenhagę. W Nowym Jorku zdecydujesz się połączyć z twoim ojcem, nikt cię z stamtąd nie wysiada bez ważnego wyroku sądowego. Zrozumiałeś?

Ten scenariusz był właściwy. Nie pomyliła się ani na jotę. Dziwnym zrządzeniem przypadku, gdy autobus wyjeżdżał ze śródmieścia w stronę nowojorskiej autostrady, mijaliśmy jeden z wielkich słupów ogłoszeniowych z żółtym plakatem. Wizerunek jej pociągłej twarzy, wielkich oczu, zdecydowanych, jakby zaciętych ust w jakimś niemym, życiowym postanowieniu, czy uporze. Granatową farbą mocno wytłoczone litery: Irina z Baletem Kanadyjskim. Więc jednak nie zobaczyłem jej na scenie. Odwozili mnie na punkt graniczny prawie pod eskortą.

Nagle przypomniałem sobie, jakby to było wczoraj, kiedy żona przyniosła mi tę niby-plotkę, która okazała się najprawdziwsza, jakże bolesna do łez i do głośnego stukotu serca – sama prawda; więc przypomniałem sobie, gdy żona, która pracuje w Operze jako bibliotekarka, wróciła do domu i zdejmując kalosze, bo lało prawie od rana, zawołała do mnie: „słuchaj, Iriny już nie ma! Po prostu nie wróciła do kraju. Żyła tu niczym królowa i już jej nie ma!”

Pamiętam, jak mi zakołatało, jakoś tak mi stuknęło ni to w sercu, ni w żołądku, gdzieś między sercem a żołądkiem zapiekło boleśnie, dokuczliwie, jakby ktoś wsadził gwóźdź... Następnego dnia miasto było smutniejsze, a prawda była prawdą, już wszyscy wiedzieli, że Irina została gdzieś tam daleko w Londynie, jakby się na nas obraziła i czuliśmy się wszyscy – my ze związku pisarzy i oni wszyscy z teatru, znaczy i z baletu, i z opery – jakby

wzgardzeni, porzuceni, jak się porzuca zużytą garderobę. Nie mieliśmy do niej żalu, czuliśmy żal do siebie, sami nie wiedząc, o co. Chciałem napisać wiersz „Pożegnanie”, ale nie mogłem dwóch wersów złożyć po kolei, nigdy tego wiersza nie napisałem, do niedawna nosiłem kilka niewysłowionych uczuć, kilka niewypowiedzianych słów... dopóki nie zobaczyłem jej imienia, dużymi literami na złotym plakacie, na tej obcej ulicy. Teraz było mi nie do wierszy, czułem, że ją kiedyś zobaczę prawdziwą i żyjącą, jak ongiś w garderobie, gdy przyniosł pudło zagranicznych czekoladek i tomik wierszy z dedykacją. Może to i śmiechu warte, ale poeci są przecież w końcu śmiechu warci.

Tego samego dnia, późnym wieczorem, wylądowałem jako uchodźca na polskiej plebani w Brooklynie u proboszcza, walczącego nie tylko z ambony o prawa człowieka. Jemu także nie mogłem powiedzieć całej prawdy, dlatego nie wróciłem do Leningradu, choć obiecywał mi tajemnicę spowiedzi.

*

Po kilku tygodniach trafiliśmy na ślad ojca. Rezultat przyniosło ogłoszenie w polonijnej gazetce katolickiej. Od Annasza do Kajfasza, popychany przez szereg bardziej chętnych niż pomocnych rąk, w końcu trafiłem na właściwy adres. Wszystko na to wskazywało, że ojciec prawdopodobnie wyprowadził się na emerytalne lata do nadmorskiej miejscowości w New Jersey i gdzieś tam zagnieździł się w czymś fotelu, chyba nie we własnym, bo adres wyraźnie wskazywał, że to hotel. Słyszałem od dziecka w domu, że ojciec zawsze był wygodny, skoro więc tylko portfel pozwalał, nie dziwota, iż osiadł sobie w pensjonacie nadmorskim. To pachniało miłą niespodzianką.

Jechałem więc autobusem przez łagodnie sfalowane zieloności, tu i ówdzie przetkane kolorową konstrukcją fabryki. Myślałem, że będę podniecony i radosny i że mi serce z żołądkiem będą koncertowały na tę wręcz niewiarygodną myśl: niedługo, za godzinę, za dwie, za kwadrans, za dwa, moja tajemnicza zagadka życia raz na zawsze rozwiąże się krótkim stwierdzeniem „oto mój ojciec” i od tej chwili przestanę być półbękartem, bliżej nieokreślonym, mitycznym półpolaczkiem, będę miał – jak człowiek – prawdziwego ojca, tak jak miałem prawdziwą matkę, którą do dziś pamiętam wyraziście aż do bólu... Nie mogłem przyznać, że tęskniłem do tej chwili, nie można przecież tęsknić do niewiadomego, nie można kochać ojca, którego się nigdy na oczy nie widziało, jak nie da się kochać jeszcze nie kupionego psa. Ale gryzła mnie niewiedza i ta obrzydliwa świadomość, że mi czegoś w życiu brakuje, pewien rodzaj inwalidztwa... I nagle się to wszystko skończy, upersonifikuje w jakiegoś faceta, dosyć starego. Bóg wie, w jakim nastroju, z jakim charakterem i jakimi chorobami w lekarskiej karcie zdrowia. Ale... to mój ojciec, korzeń mego życia, bez którego

tak trudno czerpać soki z matki-ziemi.

Zanim wjechaliśmy do miasteczka, zaczął padać deszcz. Taki drobny, prawie mżawka. Przez zroszoną szybę zobaczyłem ocean w kolorze deszczowych chmur, z krótkim, lecz rozmazanym horyzontem, mokry jakiś taki, jeśli można się tak wyrazić o oceanach. A potem to miasteczko, raczej miejscina, zabudowana obszernymi domami z drewna, malowanego wszędzie na biało. Może to sprawił deszcz, ale ludzi prawie nie widziałem, miejscowość czyniła wrażenie, jakby wszyscy poszli do pracy lub na ważne zebranie, czy na spis ludności, gdzie razem z niemowlętami muszą się stawić i stuletnie staruchy... wszyscy urodzeni, a powłóczący nogami.

Facet, który sprzedawał gazety i cygara tuż przy stacji autobusów, powiedział mi, że nie warto brać taksówki, dom znajduje na bulwarze nadbrzeżnym; jeśli pójde kilkadziesiąt jardów prosto przed siebie, trafię na bulwar, a gdy skręcę w prawo, po prawej ręce będę miał domy, jeden z nich to ten hotelik, a z drugiej – Atlantyck, który już widziałem przez okno, taki jakiś, jakby się prosił, by go powycierać ręcznikiem.

Szedłem ani wolno, ani szybko i ciągle nic się nie działo. Obawiałem się, że po wyjściu z autobusu, nareszcie z podświadomej emocji pogoni mnie do toalety, jak to zwykle przed każdą podróżą, startem samolotu albo przedsmakiem wyczekiwanego spotkania z dziewczyną. Nie chciało mi się do toalety i nie odczuwałem niczego, co by miało wskazywać, że po przeszło trzydziestu latach nareszcie zobaczę człowieka, który mnie począł współ z moją tak wcześnie i tak niepotrzebnie zmarłą mamą.

Deszcz jakby przestał kapryścić, nie miałem parasola, bo gdy wyjeżdżałem, w Brooklynie świeciło wylupiaste słońce.

Zobaczyłem napis „Retirement Hotel” na szarosinej tablicy, która kiedyś była biała. Dom nie miał charakteru hotelu, lecz obszernej chałupy dla licznej rodziny, pamiętającej tutejszego króla Ćwieczka. Wszystkie domy przy tym bulwarze były podobne i szybko się domyśliłem, że to wyludnione z pozoru miejsce jest domem ludzi leciwych, wygrzewających się niczym koty śródziemnomorskie na wygodnych, cienistych werandach, teraz pustych, bo zastąpiło chuderlawym deszczykiem.

Wszedłem po schodach i zadzwoniłem kilkakrotnie, a że nikt mi nie otwierał, więc sam sobie poradziłem z drzwiami. Nie było progu. Powitała mnie sterta mebli zsuniętych w pobliże drzwi. Wtedy wyszła mi naprzeciw kobieta w średnim wieku, odziana w biały strój salowych lub pomocniczek kuchennych i spytała, w jakiej sprawie. Za kobietą ciągnął się zmarszczony wąż odkurzacza.

Powiedziałem, że chcę odwiedzić mego ojca, dodając, ktem zacz i że jestem tu po raz

pierwszy.

Prowadziła mnie wąskim korytarzem na pięterko. Schody były strome, pokryte starym, wysłużonym kilimkiem, który stracił nie tylko młodość na ciężkiej harówce, ale i wszelkie ślady koloru i wzorów, pachniał kurzem, pewnie czekał na tego węża i kobietę. Sprzątaczką powiedziała mi, że schody są raczej dla pracowników, bo rezydenci używają windy-podnośnika... Gdy się dobrze czują, dodała.

Pchnęła drzwi jednego z pokoi, ręką wskazała mi, bym wszedł do środka i prędko zbiegła na dół do swojej roboty.

W pokoiku były dwa łóżka, dwa fotele i dwóch starych ludzi. Nie wiedziałem, który z nich jest moim ojcem. Obaj drzemali.

Postanowiłem, że sam zgadnę bez pytania i obudzę mego ojca. Jeden, ten drzemiący bliżej okna, był szczupły, prawie wyschnięty, trudno mi było zdecydować się, jak stary. Nigdy nie miałem za wiele do czynienia z ludźmi tak starymi, by nie można wywnioskować, w jakim są wieku. Ten nie był tak znowu leciwy, ale chudy tak, że aż szary, jakby zakurzony, trochę mi przypominał ów chodnik rozesyłany na stopniach. Nie zbudził niczego w głębi mojej pamięci, z czasów dzieciństwa, gdy jeszcze żyła matka i ciotka i gdy się o moim ojcu w domu na co dzień rozmawiało. Dziwne, teraz dopiero sobie uświadomiłem, że nigdy, nigdy w domu nie słyszałem, by ktoś chciał ojca opisać, jak wyglądał. Zawsze się mówiło tylko, co powiedział, ale nigdy, czy był szczupły, czy w sobie, czy miał brwi gęste i rozstawne, czy skąpe i układne... Ten śpiący człowiek nie robił wrażenia, jakby mógł być moim ojcem. Spojrzałem na drugiego z poczuciem, że muszę powitać swój los, przeznaczenie, z którego nie sposób się wywinąć.

Ten drzemał w starym, wiklinowym fotelu przy ścianie i małej półeczce ze sfatygowanymi książkami. Był także chudy, ale nie tak zasuszony, resztki soków życiowych użyźniały skórę wokół oczu i ust. Nos wydatny, brwi osiwałe, włosy raczej wylazłe i bez koloru, może nigdy nie były zdecydowanie ani czarne, ani rude, ani słowiańsko-pszeniczne. Zastanowiłem się, nigdy w domu nie mówiono o włosach ojca, lecz miałem przeświadczenie, że musiał być szatynem. Lekka skaza na policzku, rezultat wojny lub wypadku w pracy. Dłonie z gęstą siatką błękitnych żyłek, papierowoblade, z ozłoconym wskazującym palcem, charakterystycznym dla nałogowych palaczy. Mój palił. W kąciu warg zgromadziło się nieco śliny, za jakiś czas, jeśli się nie przebudzi, ślina skapnie mu na szlafrok. Patrzyłem na zamknięte oczy, na usta, wargi, nos, na uszy i na żyłę, biegnącą wzdłuż szyi, patrzyłem na zmarszczone czoło i wielkie małżowiny uszne.

Niczego w tej twarzy nie wypatrzyłem, co by mi przypominało dom, dzieciństwo,

opowieści matki, niczego, co przypominałoby mnie samego sprzed lustra. Wiem, wszyscy mi mówili, że byłem wykapanym synalkiem mamusi, miałem jej oczy, usta, uśmiech, i chyba wiele z jej charakteru, ...ale ten człowiek zanurzony w wygodnym fotelu, w starczej drzemce podczas deszczowego popołudnia... nie wydał mi się swojski. Znowu przeniósłem spojrzenie na tego spod okna. Ojciec, nie ojciec...? Szukałem potem śladów we wnętrzu pokoju, które by mi coś powiedziały. Jedno łóżko białe, metalowe, jak z dawnych przedwojennych szpitali, z oblażym tu i ówdzie lakierem. Żadnego napisu. Ani na szafce nocnej, gdzie oprócz lampy było kilka szpargałów. Drugie łóżko – z ciemnego drewna, z wysokim wezłowiem. Na stole – gazeta z okruszynami, coś było jedzone, parę guzików i nie rozpoczęta puszka pepsi. Bogactwem tu nie pachniało, uświadomiłem sobie. Stałem pod drzwiami, tak jak wszedłem, w wyczekującej pozie, nie mogąc się zdecydować na dalszy krok w głąb pokoju. Trzeba będzie ich obudzić i zapytać. Spozrzegłem w kącie, przy drzwiach szafy, wózek inwalidzki, złożony i oparty o ścianę, zza firanki wyzierała niemyta szyba z rowkami po deszczowych zaciekach, za oknem była chyba weranda lub balkon. Podeszedłem do okna i wyjrzałem. Weranda. Mokły metalowe krzesła ogrodowe i biały stolik, raczej szpitalny niż werandowy. Pęknięta doniczka w metalowej osadzie zawieszona pod okapem. Jakieś szare zwiłki rośliny wyglądały śpiąco i przypominały mi włosy na głowie drzemiącego staruszka spod okna. Dalej był Atlantyck. Latem, w pełni słońca, musiał się stąd roztaczać milionerski widok. Woda, niebo, mewy i rybitwy, zapach oceanu i szelest fal obmywających stopy brzegu. Deszcz prawie nie padał, ale mżawka zawisła w powietrzu, rozmazując kontur krótkiego horyzontu.

Cofnąłem się w pobliże progu. Długo patrzyłem na obu drzemiących mężczyzn. Odwróciłem się, wyszedłem, przymknąwszy bezgłośnie drzwi. Ruszyłem na dół wąskimi schodami. W głównym korytarzu zawodził odkurzacz. Pachniało świeżo gotowanymi jajkami, odzieranymi ze skorup, ale to chyba złudzenie.

Sprzątaczką odrzuciła swoją robotę i powiedziała:

– Właściciel chce z panem mówić, pokażę panu, którądy. Zaprowadziła mnie do małego pokoiku, spełniającego rolę biura. Pochylony przy lampie, siedział człowiek jeszcze niestary, w koszuli i kamizelce z kraciastego materiału. Przed sobą miał wielką książkę zapisaną cyferkami, kolumnami cyferek, naniesionych ołówkiem. Tu i ówdzie odznaczała się czerwona adnotacja, czy korekta.

– Kim pan jest? – spytał wprost, wyciągając rękę na przywitanie.

– Jestem synem – wymieniłem swoje nazwisko i przeprosiłem za mój fatalny akcent – niedawno przyjechałem tu z mojego kraju.

– O! – wtrącił mi to z sympatii, ni z ciekawości. Usiadłem, bo wskazał mi krzesło

naprzeciw biurka. Zamknął książkę, wsparł się na niej łokciami i jeszcze jakby myśląc o swoich rachunkach, nie patrząc na mnie, mówił:

– Nie wiedziałem, że on ma rodzinę. Dobrze, że się pan zjawił. Musimy uzupełnić jego kartotekę. Rozumie pan, ewidencja, jest tam ważna rubryka, kogo zawiadomić w razie śmierci, czy innego nieszczęścia, czy jakichkolwiek zmian o charakterze trwałym. – Wyjął bordową teczkę z szafki, rozłożył przed sobą i zaczął mnie wypytywać o imię, adres, telefon.

– Jak mój ojciec się czuje? – spytałem prawie że machinalnie.

– Jak się czuje? Bez zmian.

– Rozumiem.

– Mamy z nim trochę kłopotów, od czasu wylewu krwi do mózgu, wie pan, to bardzo przykre, nawet jeśli wylew nie był rozległy i inne dolegliwości minęły, niestety, stracił kontrolę nad swoją uryną i stolcem...

– To znaczy?

– Mokry pacjent, rozumie pan...

– Nie bardzo.

– Pan obcy, nie opanował jeszcze zawodowego słownictwa. To znaczy, że robi pod siebie i sika w spodnie lub do łóżka, pościel zmieniamy raz w tygodniu, ale jego musi być zmieniana codziennie.

– Przepraszam...

– Co? Za co pan przeprasza, przecież to nie pan jest mokry, a taki jest los emerytów, nie on jeden, wszyscy kiedyś będziemy tacy sami, chyba, że sam Bóg pozwoli umrzeć, jak przystało, na zawał serca, w odpowiednim wieku.

– Nie lubi ich pan...?

– Czy ja ich nie lubię?... to moja profesja, żona bez nich zanudziłaby się na śmierć, drugiego tygodnia pobiegłaby do szpitala na ochotniczkę do jakichś głupich zajęć, karmienia, wysadzania. Będzie pan częściej przyjeżdżał?

– Nie myślałem o tym.

– Rozumiem, ma pan własnych kłopotów co niemiara, po co panu mokry ojciec na dodatek, ja tu jestem, by ulżyć waszym kłopotom. O tyle, o ile możemy. Sam pan się przekonał, prowadzimy porządny, całkiem uczciwy interes dla emerytów, rząd płaci, a płaci, ile kot napłacze. Przedtem trzymaliśmy pańskiego ojca na parterze w prywatnym pokoju z łazienką. Mamy tylko dwa takie pokoje. Ale z biegiem czasu, inflacji, całego tego nonsensu, który się w tym kraju dzieje, o czym pan nie może mieć jeszcze pojęcia, bo pan zbyt świeży tutaj, a więc, gdy mu się skończyły oszczędności, jak zresztą im wszystkim wcześniej czy

później, przeszedł na rządowy garnuszek, musieliśmy zwolnić ten prywatny pokój na parterze...

– Rozumiem...

– Mam tu jeszcze coś dla pana, skoro pan przyjechał, może to nieprzyjemne, lecz muszę pokazać. Widzi pan, ani „medicare”, ani „medicaid” nie pokrywają pewnych wydatków, jak na przykład powszechnie używanych lekarstw bez recepty, innych drobnych wydatków na ligninę, puder, wie pan, od tego ciągłego moczenia skóra czerwieni się, swędzi, musimy zasypywać pudrem. Skoro ktoś ma rodzinę, przesyłamy te rachunki rodzinom. Proszę, tu jest nagromadzone z ostatnich dwóch lat, niecałe 167 dolarów, ani dużo, ani mało. Nie oczekuję płatności dzisiaj, broń mnie Boże, kiedy będzie pan gotów, przyśle mi pan czek, oto moja wizytówka i niech pan dzwoni co jakiś czas, chętnie powiemy, jak się ojciec czuje, co porabia, obawiam się, że przez telefon trudno będzie panu z nim porozmawiać, po tym wylewie z najwyższym trudem go rozumiemy. No, ale to pewnie z powodu jego akcentu, widzi pan, na stare lata ludziom miesza się języki, ten z dzieciństwa, z tym wyuczonym. Rozumiem, że nieprzyjemnie być emigrantem, jak na przykład pański zacny ojciec, mamy trudności, wsłuchując się w to, co mówi, pół zdania tak, pół owak, nigdy nie wiemy dokładnie, jakiego języka używa.

– Był już dojrzałym człowiekiem, gdy przyjechał do tego kraju.

– Pan jest w lepszej sytuacji, pan jest jeszcze młody.

– Przykro mi, że nie mogę panu zapłacić tego rachunku.

– Ależ, co pan, wcale nie oczekiwałem, by dziś z nagłą ten rachunek został zapłacony. Dobrze, że się syn znalazł. Będziemy w kontakcie.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Wyszedłem przed dom i stanąłem na werandzie. Z głębi pachniało mokrym kurzem, świeżym sprzątnięciem. Z dworu ciągnęło powietrze przesycone wonią roślin i słonawym nalołem znad oceanu.

Tą samą uliczką, z obu stron obrzeżoną szerokimi chodnikami, na których nie było poza mną absolutnie nikogo, szedłem z powrotem w stronę dworca autobusowego. Nie musiałem przyspieszać kroku ani grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu rozkładu jazdy. Autobusy po południu odjeżdżały do Nowego Jorku prawie co godzinę. Miałem dużo czasu i nigdzie się nie spieszyłem, bo wizyta u mojego ojca trwała znacznie krócej niż przewidywałem i praktycznie biorąc, nie widziałem, co zrobić z resztą mokrego popołudnia i wieczoru. Czulem tylko, że chciałem stąd wyjechać i rzeczywiście, gdy wsiadłem do autokaru i wygodnie usadowiłem się w fotelu przy oknie, odżyłem nieco. Dlaczego tak łatwo ulegam psychozom? Gdybym jeszcze dłużej pokręcił się wyludnionymi uliczkami wokół białych, sędziwych

domostw z obszernymi werandami, pełnymi inwalidzkich wózków i emeryckich foteli, sam poczułbym się wespół zestarzałym klientem poczekalni do bram drugiego świata. Kierowca zamknął drzwi, zahurkotała skrzynia biegów i wyturlaliśmy się z dworca w te puste uliczki obrosłe bujną, zroszoną roślinnością, okalającą coraz to inne wolno stojące wille. Przez szybę autokaru ta miejscowość wydawała się ilustracją do czytanek o rajach dla tych z prawicy boskiej, co nie zmarnowali sobie – ani innym – życia. Nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie moją mamę. Gdyby żyła i gdyby ze mną przyjechała nad brzeg Atlantyku, rozpoznałaby pewnie bez trudu mojego ojca... Czy byłaby szczęśliwa, widząc go jeszcze raz po tylu latach, żywego..? Przynajmniej to jej Pan Bóg darował, przemknęło mi przez myśl, czułem instynktownie, że lepiej jej było tego nie oglądać. I czułem, że mi wszystko jedno, który to z nich dwóch był człowiekiem, co przed laty dał mi początek i którego geny nosiłem; czy mi się podobało, czy nie. Nie było mi ani smutno, ani płacziwie, ani w żaden nieokreślony sposób nie odbierałem żadnej emocji. Jak gdybym przyjechał z kompanii ubezpieczeniowej obejrzeć pacjenta i spisać raport dla komisji w celu odszkodowania.

W kilkanaście minut po wyruszeniu autobusu deszcz przestał padać, widocznie tylko tutaj lokalnie się zaciągnęło, nad metropolią słońce łagodziło intensywny kolor nieba, ożółcało drzewa i krzewy, grzało grzbiety willom przycupniętym w terenie gęstymi koloniami. Ktoś mnie zagadał, ale nie zrozumiałem czego chce, powiedziałem, że mam trudności językowe. Poklepał mnie po ramieniu, uśmiechnął się i znowu coś wymamrotał tak niewyraźnie, że nie chwycił ani słowa. Tak pewnie mówi i mój ojciec, albo znacznie gorzej. Właściciel wspominał przecież, że mają z nim niebywałe trudności, by cokolwiek wyczytać z chorobliwego szeptu. Chyba to ten spod okna, z linijką śliny na wardze; tak mi się zdawało, że ludzie po wylewie krwi do mózgu na ogół się ślinią, zwłaszcza podczas snu. Ale nie byłem pewien teraz, tak samo jak przedtem, gdy stałem skulony w sobie, przy niedomkniętych drzwiach, wodząc spojrzeniem od jednego fotela do drugiego. Nie chciałem więcej o tym myśleć. Wsadziłem rękę do kieszeni, wyjąłem notes. Miałem zamiar przekartkować go, w nadziei, że wynajdę właściwy telefon do kogoś, by nie spędzać wieczoru sam ze sobą. Razem z notesem wyciągnął mi się rachunek z hoteliku za ojca. Spojrzałem na sumę, na podpis, nagłówek z adresami i telefonami. Postanowiłem nie zgubić tego rachunku, chociaż to głupie, skoro nie miałem zamiaru go pokrywać ani teraz, ani w przyszłości. Mój ojciec, zanim osiadł w tym fotelu z widokiem na ocean, dosyć się w życiu naharował, by ten rachunek opłacić samemu, jeśli nie z własnych oszczędności, które mu się skończyły, tak jak się kończy zdrowie starcom przed śmiercią, to z jakiejś kieski publicznej, do której przecież wrzucał troszkę przez całe dorosłe życie. „Rozwiało ich jak kurz”, przyszło mi na myśl o moich

rodzicach: jedno w nieznannej mogile, pomiędzy Omskiem a Irkuckiem, drugie na fotelu w starej willi z widokiem na ocean, myjący brzegi w przeciwnej stronie świata. A ja nawet z trudem pamiętam Wilno, w którym przedeptali młodość swego życia i gdzie się ja tak dobrze urodziłem jako zdrowy i rosły chłopak o obiecującej przyszłości. Poczulem jakieś dziwne tknięcie, ni to ból, ni pieczenie, w bliżej nieokreślonym miejscu pomiędzy żołądkiem a sercem. Usiadłem wygodniej w fotelu, poprawiłem siedzenie, by mnie pasek nie ugniatał. Do miasta było niedaleko.

*

List od matki żony.

Przeląknęłam się, że stało się coś złego, skoro ona sama do mnie pisze. Przeczytałem ten list. Matka donosiła mi, że córka postanowiła urządzić sobie życie bez wyjazdu na emigrację i pisała, że skoro małżeństwo od szeregu miesięcy i tak jakby ustało, może więc lepiej będzie uświadomić mi, jak naprawdę los ułożył się nam obojgu; że ułożył się i rozdzielił na dwa zupełnie niezależne i odległe sobie losy i nic nie stoi na przeszkodzie, bym za oceanem ułożył sobie życie po nowemu, tak jak moja żona układa sobie życie inaczej na starym miejscu, wydeptanym w dzieciństwie śladami całego życia jej, jej rodziny, przyjaciół, znajomych... a formalne sprawy z czasem załatwi się przez adwokatów polubownie, bez sądów i wydatków, bo i z czym tu chodzić do sądu, skoro ani dzieci, ani majątku, ani niczego więcej, co by nas łączyło. ...I były życzenia na przyszłość od matki, a zawsze miała dla mnie kawałek dobrego, matczynego serca. Złożyłem list, wsunąłem na powrót do koperty i zastanowiłem się, gdzie go schować, by nie przepadł i nie zawieruszył się między gazetami, wśród licznych szpargałów.

*

Właśnie zakończyłem bezsensowne poszukiwania taniej a dobrej dzielnicy, w której można by wynająć mieszkanie. Dotychczas siedziałem na Greenpoincie, tradycyjnej kolebce nowojorskich polonusów. Zniechęcała mnie atmosfera ni to wielkiej wsi, ni powiatowego miasteczka, chociaż z widokiem na szklane wieżowce Manhattanu po drugiej stronie East River.

Tkwiałem tu w ogromnej, stanowczo za wielkiej do potrzeb, za to staromodnej kawalerce. Po kilku tygodniach miałem tego już stanowczo dość. Zwłaszcza nocy bezsennych. Ulica greenpoincka, gwarna i ruchliwa, o każdej porze roku z wyjątkiem surowszej zimy, nocami zamieniała się w upiorne straszdyło, żywcem wyjęte z telewizyjnych seriali dla gospodyń domowych. Wcześniej z wieczora tabuny nastolatków, rozwydrzone, rozwrzeszczane, podchmielone. Nieco później – grasowi alkoholicy, których na pęki w słowiańskich

dzielnicach, zaś późną zupełnie nocą zaczynały się fałszywe i prawdziwe alarmy straży pożarnej. Gnała ona we dwa wozy, jeden z drabiną i strażakami, drugi z wodą i chemikaliami do gaszenia, w rozdzierającym ryku wszystkich syren, by dopaść jeden z licznych automatów strażniczych z szybką alarmową stłuczoną przez jakiegoś warchoła. Kwadrans pogawędki, stronice protokołów i notatek – jazda powrotna do remizy i... niezadługo potem – znowu: ryk, jazgot, pośpiech, rwetes. Od tej nieustającej zabawy strażaków z uliczną hołotą tłukącą automaty chwyciłem nerwicę, a w każdym razie zaczęły mnie ogarniać napady lęku. Potem już nie mogłem usnąć, zbudzony koło północy syrenami wozów strażackich, nieraz przeleżałem do świtu, a oni jechali czasem i po pięć razy. Wsłuchując się w narastający stopniowo skowyt syren i później ich wygasanie w oddali – zgadywałem w myślach, którymi ulicami jadą i do którego skrzyżowania, gdzie zazwyczaj czekał ich niepotrzebnie włączony automat alarmowy. Toteż wcale nie wygramoliłem się z pościeli, gdy przed paroma dniami strażacka kawalkada przewlokła się tuż pod moimi oknami. Dopiero w chwilę później wyczułem w nozdrzach ostrą woń spalenizny. Skoczyłem do okna! Nie, na szczęście nie w naszym domu. Trzy albo cztery kamienice dalej; dym, różowoblada poświata wewnątrz, w głębi czyjegoś mieszkania, odgłosy strażackiej krzątania, skrawki rozmów krótkofalówek działających na pełnym odsłuchu, wycie – tym razem – karetki policyjnej, no i smród, tęgawy odór pogorzelniska zachlustanego setkami kubłów wody i pianą specjalnych gaśnic. Ten smętny, zastygły smrodek zegnał mnie co ranka, gdy jechałem do Queensu wyszukać sobie mieszkanie – wieczorami znowu mnie podduszał, gdy ścigałem na swe legowisko. Nowi znajomi namawiali mnie na przeprowadzkę do Manhattanu. Zrazu wydał mi się ten pomysł frapujący, lubiłem przecież wieczorami pojechać sobie do śródmieścia i tam bez celu szwendać się pomiędzy ludźmi od wystawy do wystawy, od księgarni do księgarni. Najwięcej czasu spędzałem zawsze w Riccoli nie tylko dlatego, że można posłuchać dobrej muzyki, pięknie odtworzonej, lubiłem tam przekartkować albumy malarskie albo zwyczajnie wziąć do ręki cokolwiek o Włoszech i przeglądać te bajecznie kolorowe obrazki. Cóż może być przyjemniejszego..? Cena książek, które mi się podobały, zwykle przekraczała rozmiary mojej dniówki, na całe szczęście w księgarniach można wystawać kwadransami-godzinami, wertując niemal wszystko co najdroższe, bez obawy, że odbiorą książkę lub przymuszają do kupienia; to się prawie nie może zdarzyć w porządnej księgarni, choć z początku byłem podszyty strachem przed sprzedawcami; że nie pozwolą obejrzeć, przepatrzyć, przewertować, że będą wytykać, wtryniać, zachęcać, deptać po piętach od stoiska do stoiska, z ich głupawym, przylepionym do gęby pytaniem: „w czym mogę pomóc”. Chciałoby się im odrzec: – finansowo, ale oni zapewne potrzebowali forsy nie mniej niż ja.

Niestety, o samodzielnej kawalerce nie mogło być nawet mowy, tylko we śnie mógłbym objąć w posiadanie coś, co by się składało z łazienki, wnęki na kuchnię, obszernego pokoju z szerokim oknem i mini balkonikiem, zawieszonym nad przepaścią którejś z ulic trzydziestych. Komorne wynosiło dokładnie tyle, ile ja zarabiam w ciągu miesiąca, a ja nie miałem żadnej starszej, bogatej wdowy, których tyle przecież w tym mieście... Natomiast tak zwane pokoje sublokatorskie odstraszały swą szpetną brzydotą i przeczuwałem, że w zakamarkach skrywały się hordy karaluchów, na które miałem uczulenie. Więc Manhattan przegrał i bez żalu skreśliłem tę perspektywę.

Gdzieś w tym właśnie czasie, gdy dojrzewała we mnie świadomość, że marnuję popołudnia, włączając się od dozorca do dozorca, w pogoni za znośną garsonierą w porządnej dzielnicy, chyba właśnie któregoś z owych dni, wróciwszy w porze kolacji na Greenpoint, poczułem świeżą woń spalenizny. Swąd zawisł tuż nad moją uliczką. Struchlałem na myśl, że moją kamienicę diabli z dymem wzięli razem z tym mizernym dorobkiem, który dałby się w jednej walizce zamknąć, że zostałem więc niemal nagusieńki, tak tylko w koszuli i krawacie, i w jedynych spodniach, jak wróciłem z przegrzanego śródmieścia.

Ale nie. To spalił się narożny sklep z piaskami. Nie wiem z czego oni żyli, ci właściciele. Greenpoint jest dzielnicą bezpańskich kundli, szwendających się w późnych godzinach wieczornych, na pewno nie okolicą słynącą z białych mini-pudelków, wyprowadzanych na ogromnych smyczach w celu odsikania się pod krzaczkiem kosztownego rododendronu. Mówiono, że raczej chudą sakiewkę wypełniali dopuszczaniem. Kto ich tam wie, może malutko potrzebowali, a może wcale niczego nie potrzebowali, z czystej filantropii doglądając psiny, buszujące w papierzyskach na wystawie. A teraz się spalili. Na rogu spotkałem właściciela mojej kamienicy, bo zwykle na tym rogu wystawał wieczorami. Medytował z czapką zsuniętą na tył głowy.

- Biedne psiaki, spaliły się?
- Otruły się dymem.
- A właściciele?
- Żyją, poszli właśnie do ajenta obgadać sprawę ubezpieczeń.
- Jak to się stało?
- Bóg raczy wiedzieć.
- Drugi pożar w ciągu tygodnia na naszej ulicy...
- To mi śmierdzi...
- Co panu śmierdzi?
- Ten drugi pożar.

– Tak?

– Może potrzebowali pieniędzy? Słyszałem, że chcieli wyjechać na Florydę.

– Czy tych biednych piesków nie można było raczej odsprzedać?

– Komu, panie, ćwierć wieku temu i owszem, zawsze by ktoś kupił, ale dziś, dzisiaj tu się pcha Puerto Rico, im wystarczą kundle.

– Słowianie też przepadają za kundlami.

– Nie tak bardzo jak Puerto Rico. Zobacz pan wkrótce.

– Wolałbym, nie...

– No, bo pan się przecież wyprowadza. Tak? – spojrzał na mnie chytrze i wyczekująco. Widocznie ocknął się w nim duch właściciela-kamienicznika.

– Właśnie szukam czegoś – odpowiedziałem zdawkowo.

– Tak sobie pomyśleliśmy, jest pan wykształcony, żona podobno całkiem jest teatralna, czy coś, między nami – prostytutkami, to wam nie przystoi.

– Och, wstydziliby się pan tak mówić. Przyjechałem z kraju, gdzie wszystko i wszyscy są zrównani, bogaci z biednymi, dozorczy z ministrami, nie robi różnicy.

– Nie robi?

– Nie.

– Tutaj robi.

– Chciałem nawet panu powiedzieć, by pan szukał sobie nowego lokatora na moje miejsce, ale nie mam pojęcia, jak to będzie naprawdę, albo mi za drogo, albo za brudno, albo za ubogo...

Poprawił czapkę, zsuwając ją nieco do przodu, musiały go swędzieć uszy, bo drapał się nieustannie to w jedno, to w drugie. Wiedziałem, że on mnie lubi, ten właścicielka-kamienicznik, zacny, porządny chłop. Spracował się niczym dziki wół, by kupić tę kamienicę na Greenpoincie, a teraz – podobnie do mnie – nasłuchuje nocami, czy się aby nie pali. Ci ludzie naprawdę mi pomogli. Nawet śpię na ich materacach, jadam na ich stole, czytam wieczorami, zapaliwszy pożyczoną lampę.

– Panie – odezwał się z wyraźnym zakłopotaniem i umilkł. Przez chwilę obserwowaliśmy wypalone oczodoły sklepu na rogu. – Dlaczego pan sobie nie kupi domu..?

Zadziwił mnie. Nigdy nic podobnego nie przyszło mi do głowy.

– Ja, dom?

– Co w tym złego?

– Nic. Piękny pomysł, ale na razie włożę go między bajki.

– Pan nie ma pieniędzy? – ni to spytał, ni stwierdził z odcieniem smutku.

– Nie, nie mam.

– No, jakieś pan musi mieć. Przecież pan pracuje u księdza. Spodziewa się pan przyjazdu żony, nie może pan mieć gołej kartoteki w banku.

– Mam tyle, co kot napłakał.

Znów patrzyliśmy na osmolone spalenizną cegły i milczeliśmy przez chwilę. Strach mnie nagle obszył na myśl, że mógłbym kupić dom, z którym by się stało podobnie jak ze sklepem i biednymi pieskami. Dodałem więc po chwili tonem raczej niechętnym:

– Pali się tu wszystko, proszę pana...

– Posłuchaj mnie pan, znam jedną taką, w Queensie. Jest brokerem, ludzie mówią, że można tam kupić dom bez forsy. Z tysiącem lub dwoma.

– Tak? Boję się, że mnie wyrzucą za drzwi.

– Brokerzy? Panie, oni gotowi po rękach całować, albo jeszcze i gdzie indziej, w tyłek panu wleżą i będą przyjemnie wachlowali, byleby pan kupił dom... Pan jest kształcony, nawet gdy się panu zdaje, że pan mówi źle, to pan mówi lepiej od nas, prostaczków z Greenpointu, panie... Ta brokerka, co ją mam na myśli, to ona całkiem dobrze mówi po naszemu, chyba jeszcze nasza, albo jakiś bliski przeszczepieniec.

Teraz naprawdę się ucieszyłem. Przynajmniej mieszkanie może wynajmę. Zagadnałem o telefon lub adres. Obiecał przynieść wieczorem jej wizytówkę, którą trzymał gdzieś pośród papierów, zarzuconą w szufladzie.

Gdy spojrzałem na wizytówkę następnego dnia, wydało mi się, że znam już to nazwisko, kiedyś musiałem usłyszeć. Oczywiście, kuzynka mojej adwokat z Montrealu.

*

Poszedłem do Koszer-Damy. Tak ją wszyscy nazywali. Biuro było pokojem nie za wielkim, w kształcie klocka, wybitego dokoła tanią okładziną ścian, świat wkraczał tu przez wystawowe okno i metalowe drzwi, dobrze przeszklone, tak że widać było cały placyk z przystankiem autobusowym, sklepikami i z wieżą katolickiego kościoła w tle, jakby czuwającą nad tym podmiejskim pejzażem.

Przyparte do ściany, gniotły się trzy identyczne stoliki dla sprzedawców. Jednego z nich, tego środkowego, telefonu, fotelika i skoroszytu z domami na sprzedaż, używała jakaś Hiszpanka. Dwa pozostałe stoliki były zajęte przez Włochów: mądrego i głupiego. Ten mądry był szcwany, miły i sprytny i polubiłem go od razu, a ten głupi starał się naśladować pierwszego, ale przez własną głupotę wszystko się kończyło gwarantowanym niepowodzeniem, denerwowała mnie jego paplanina o przysłowiowej „dupie Maryni”.

Z drugiej strony pokoju stało biurko Koszer-Damy, wielkie i rozłożyste niczym łożo małżeńskie, całe zasłane setkami papierków, dziesiątkami książek, założone foliami spraw i tomami ksiąg telefonicznych z połowy chyba amerykańskich stanów i prowincji kanadyjskich. Nad tym obłąkanym bałaganem kwoczyła się Koszer-Dama, świetnie orientująca się, w co wetknąć rękę, by wydobyć właściwy i poszukiwany zapisek lub formularz.

Z biura wiodły schody na górę, do jej prywatnego apartamentu. Pod schodami była toaleta i jeśli ktoś załatwił się – było słychać i szelest papieru, i szum spłukiwanej muszli, a potem we wnętrzu rozchodziło się nieco smrodku. Właścicielka co pewien czas sięgała za swój fotel, unosiła wysoko ponad głowę butelkę z jakimś płynem w rozpylaczu i spryskiwała atmosferę. Fiołkowy zapach z łatwością ogarniał wnętrze i pachniało wiosną.

Zrobiła dla nas herbatę po rosyjsku. Skosztowałem.

– Pyszna, czy to nie gruzińska? Złagodziła zmarszczki w dobrotliwym uśmiechu i powiedziała:

– Gdzieś ty się nauczył odróżniania herbat? Przez całe sto pięćdziesiąt lat długiego życia tylko w jednym domu spotykam takich, co znają się na herbatach.

– Proszę nie zapominać, że przyjechałem z Leningradu, to jest następne miejsce do picia dobrej herbaty poza Londynem.

Zapytała o moje plany.

– Mam rozległe, to znaczy żadnych... Może odleczę do Leningradu, skąd się wzięłem...

– Tam cię dawno nie było – mruknęła z niechęcią. – I pewnie z kwiatami będą cię witali na lotnisku – dodała z przekąsem.

– Nie mogę powiedzieć, abym planował, ale to mi siedzi za kołnierzem i gada niczym świerszcz za ścianą, niby tego nie słucham, ale nieustanne gadanie robi swoje.

– Mam dla ciebie pewną propozycję, to akurat a propos herbaty rosyjskiej. Właśnie wczoraj znowu ją piłam. Wiesz, w moim wieku na pogrzeby chodzi się częściej nawet od wiceprezydenta tego kraju, który po to ma swoją robotę. Byłam więc znowu na pogrzebie i to bardzo smutnym. Nasz najlepszy przyjaciel, mój i mojego męża – świętej pamięci. Zaczny, dobry, uczciwy, zdolny.

– Tacy właśnie umierają – wtrąciłem – szuje żyją długo.

– Nie masz mnie na myśli – roześmiała się.

– Przepraszam... nie chciałem...

– Przyjechali z Rosji, kto wie, czy nawet nie z Leningradu, często mówili o Piotrogradzie, uciekli stamtąd w siedemnastym roku. Wczoraj go pochowaliśmy, została moja przyjaciółka z

całym kramem, jaki on rozgrzebał przed swoją chorobą, samiutka została jak ten palec boży, dzieci nie mieli, pobrali się za późno, by rodzić dzieci, ona jest Rosjanką, on był Żydem, może dlatego nie adoptowali dziecka, wiesz, nasza religia mówi, że dziecko dziedziczy wiarę po matce; nie potrafię ci powiedzieć, dlaczego ona nie rodziła, a on nie chciał adoptować, ale nie o tym chciałam ci powiedzieć; widzisz, daj mi tylko otworzyć moją niewyparzoną gębę, a suchej nitki nie zostawię nawet na zmarłym przyjacielu. Więc ona taka bezradna, w dodatku ma trudności z chodzeniem, wyobraź sobie, duży dom, prawie pałacyk, wielki ogród, wielki cadillac, dwa psy, spory business w sąsiednim miasteczku, wszystko na jej głowie, a z niej taka businessmenka jak ze mnie tancerka kabaretowa, wiesz... Więc ona chciałaby to wszystko po kolei posprzedawać i kupić mieszkanie w Miami, przenieść się i czekać na połączenie z mężem. Ja bym tak nie mogła, ja bym zwariowała, a mój mąż by mnie zabił, gdyby mnie żywy spotkał, ale ludzie potrafią przesiedzieć przez ćwierć stulecia na pryczy i mówią, że się nieźle czują. No, ale wszystkiego jutro nie sprzeda, może dom, wiesz, domy szybko się sprzedaje, ale business..? W międzyczasie potrzebuje pomocy, kogoś zaufanego; do cadillaca, do psów, do prowadzania jej do teatru, do businessu, obiadów w restauracjach, wiesz, ona ma rosyjską duszę, jak się bawi, to się bawi, może nie godzi mi się tak mówić, prawie nazajutrz po pogrzebie, ale co prawda, to prawda... No i do ogrodu, gdy się źle czuje, ona bardzo często źle się czuje, a teraz pewnie będzie się źle czuła przez siedem dni w tygodniu. Więc wczoraj przy herbacie po tym smutnym pogrzebie zapytała, czy bym kogoś nie znalazła... A i ty potrzebujesz spokoju, trochę świeżego powietrza, trochę zdrowia po tych dziurach w brzuchu. W biurach nieruchomości wrzody się chwyta, a nie leczy. Może ci lepiej zrobić spacer z psami... To jest chyba lepsze zajęcie dla nauczyciela łaciny. Widzisz, we mnie zawsze broker drzemie, nawet w handlu duszami mogłabym pośredniczyć. A propos pośrednictwa: rozejrzyj się i bądź czujny, jeśli tam pojedziesz, dom jest warty dobrze ponad pół miliona, a interes pewnie kilka, wyobrażasz sobie, ile to komisowego..? Gdyby się coś działo, daj mi znać, możesz tam reprezentować mnie. Najważniejsze, byś utracił interesy obcych brokerów, a w swoim czasie my się zajmiemy sprzedażą wszystkiego... Wiesz, o czym mówię, pojętny jesteś, więc trzymaj uszy czujnie i patrz z czego się żyje...

Nie musiała mnie długo przekonywać. Byłem łatwym łupem dla każdego brokera.

*

W jakiś czas potem sprowadziłem się do Tarrytown. Gdy po raz pierwszy jechałem główną ulicą, obmywając stopy kilkunastu kościołom – a każdy wart malarskiej sztalugi – ulicą okoloną wspaniałymi drzewami, niemal jak z botanicznego ogrodu, gdy ujrzałem kolorowe posiadłości rozłożone swobodnie i z oddechem wśród zadrzewionych, łagodnych wzgórz,

skoro mój wzrok spoczął na niebiesko-szmaragdowej gładzi Hudsonu w słoneczne, jesienne popołudnie i gdy w głębi ukazały się wyniosłości bogato zalesionego brzegu po drugiej stronie wody, szerokiej tu niczym tafli jeziora, przez które kroczył żurawimi nogami olbrzyma most Tappan Zee – wydało mi się, że jestem na przedmieściu raj, a ten most wiodący prosto między te zalesione, kolorowe wzgórza – to właśnie przez ludzi rzucona kładka do boskich posiadłości.

Po tygodniach niepokojów i lęków, to nagłe objawienie się miasteczka było dla mnie niczym prawdziwe zrzęczenie Opatrzności. Tarrytown – z jesiennymi wzgórzami, zapachem rzeki, wiatrem świeżym, jakby nawianym z górskich dolin, ze stuletnim spokojem zaklętym w ceglach i kamieniach tutejszych kościołów... Z wolna wracając do zdrowia, mogłem patrzeć na ten dar boży, podsunięty ludziom w nagrodę, widocznie za trudy i znoje brodzenia przez pobliski Nowy Jork. Przechadzałem się pomału kroczeniem ozdrowieńca. Czułem się niczym człowiek przesunięty niewidzialną ręką na stronę żyjących, a ta cicha miejscina, od paru stuleci wygrzewająca swój grzbiet nad ciepłymi wodami Hudsonu, stanowiła dodatek do nagrody. Skoro mi życie zostało chwilowo darowane, to jakby dla podkreślenia wartości tego życia osiadłem w okolicy, która takim cherlawym indywiduum jak ja, turlającym się przez liczne przeszkody świata, musi wydać się niczym innym jak tylko prawdziwym, biblijnym przedsiönkiem do mezopotamskich, rajszych ogrodów.

Rezydencja Olgi Andrejewny Kotoff leżała w obrębie zwanym Philipse Manor. Od starego dworu dzieliło ją nie więcej niż trzy czwarte mili. Szło się szeroką aleją, z chodnikami po obu stronach, niczym w jakimś europejskim, cywilizowanym mieście stworzonym dla przechodniów. Ale tu chodniki zawsze były pustawe, wiewiórki się nimi przeganiały, niekiedy właściciele psów, po południu – dzieciary szkolne. Ulica obrosła starodrzewem, można tu było wypatrzeć najwspanialsze okazy wiązów i kasztanów, rosły świerki atlantyckie, klony kanadyjskie, magnolie-olbrzymy z gęstymi koronami listowia, wiele pospolitych rodzajów, nieznanych mi z nazwy, a których nigdy nie oglądało się nad Newą z powodu klimatu.

Philipse Manor przypominał mi trochę folwarczne zabudowania dla służby w „Carskim Selje”. Ale był starszy i gdy kiedyś zaszedłem do środka, by go zwiedzić, był jakby rdzeniem amerykańskiej historii. Rodzinny dom, dużej bogacęcej się rodziny, młyn, staw, owce, ogród, spiżarnia, wędzarnia, wszędzie dostatek jako efekt ciężkiej harowy pana, gospodyni, dzieci, krewnych, najmitów... Zjeżdżali się tutaj z całej Ameryki milionerzy, by oglądać początki swej zamożności. Zwykle na parkingu przed dworem stało kilka autobusów i tuziny samochodów z najbardziej egzotycznymi rejestracjami ze wszystkich stanów prócz Hawajów.

Lecz ten ruch wokół dworu nie zakłócał ciszy osiedla Philipse Manor. Wygodnie rozłożone wśród tego starodrzewu, drzemały coraz to piękniejsze rezydencje, okolone krzewami, kwieciami, zapachem jesiennych róż... Szare wiewiórki gonily się alejkami od samego rana, zaś wieczorami zjawiał się chytry skunks albo śmieszne rakuny garbiły swoje grzbiety, zamiatały chodnik puszystymi ogonami, węsząc kolację dla siebie w coraz to innych śmietnikach. W dzień znikały tylko sobie znanymi ścieżkami, by następnego wieczora znowu denerwować moje psy, gdy je wyprowadzał na spacer. Wieczorami szumiała droga numer 9, wypełniona samochodami, które wiozły tatusiów z miasta do domów na kolacje przy rodzinnym stole. Nad ranem zaś wlokły się nieskończone pociągi towarowe linią zbudowaną tuż nad rzeką, tą samą linią, która wykurzyła Irvinga Washingtona z pobliskiej rezydencji na zawsze i która połączyła Nowy, Jork z Montrealem i Buffalo pociągami szybkimi jak strzały i pięknie malowanymi niczym zabawki dziecięce.

Te pociągi budziły mnie, wszystko wokół drżało, czułem niemal fizycznie ziemię ustępującą pod naporem stalowych kół, czasem w domu odzywał się zamek u drzwi, szyba, filizanka na stoliku, lecz najczęściej szyby. Wsłuchiwałem się w przygłuszony łoskot pociągu. Dudnienie, pomruki, jakby odgłosy dalekiego frontu, przypominały mi opowieści rodzinne o bezsennych nocach leningradzkich z czasów oblężenia. Tak samo drżały szyby, dudniło za oknami, postękiwało, przewalało się po nieboskłonie echami wojny. Ale tu była cisza i takie nagromadzenie spokoju, że wprost nie mogłem uwierzyć, ani się przyzwyczać.

Dom był obszerny, masywny, z kolumnami wspierającymi frontowe werandy, z wieżyczkami na dachu pokrytym gontem, szaroblady ze starości i od deszczów i śniegu, które nań spadały. Biała i niebieska farba, lśniąca w popołudniowym słońcu, podkreślała urok tej rezydencji w stylu kolonialnym. Dom był tak wielki, że można w nim było założyć prawie hotelik. Wokoło ze dwa akry trawnika, wiosną i latem należało go na zmianę podlewać i kosić. Z rzadka rosły ogromne świerki, wysmukłe niczym wieże kościelne, z ramionami opadającymi ku ziemi. Można było pod ich okapem rozłożyć cały namiot i koczować jak za czasów wielkiej wędrówki emigrantów. Wszystko tutaj tchnęło dostatkiem, spokojem i zadowoleniem ze świata. Ani się wierzyć nie chciało, że z tej rezydencji także wynieśli człowieka w trumnie, czy sobie tego życzył, czy nie, i bezlitośnie zakopali gdzieś w pobliżu na wiejskim cmentarzu. To osiedle prosiło się o wieczność albo przynajmniej o długie życie na podobieństwo pierwszych biblijnych postaci od Abrahama do Noego. Sama miejscowość liczyła ponad czterysta lat, zdawało się, że wszyscy przeżyli te cztery setki i że to są ci sami mieszkańcy, co ongiś karczowali drzewa dla paru bogatych Holendrów i ciągle mieszkają, dorabiają się, pracują i grabią liście, i oglądają TV, w miarę jak postępuje z nimi cywilizacja...

może przypominali mi z charakteru tutejszy starodrzew.

Jakże inne uczucia wzbudzało wnętrze tej wykwintnej rezydencji. Wszędzie spotykałem świeże ślady obecności człowieka, który odszedł stąd na zawsze. Czuło się, że to była jego rezydencja, jego gust, pieniądze, cierpliwość i rozmiłowanie w każdej cząstce tego domostwa. W chwili, gdy karetka zabierała go do szpitala, życie tu nagle stanęło jak przezrocze na jasnej ścianie po zatrzymaniu rzutnika.

... A gdy on, stary Kotoff – jak się dowiedziałem, syn rabina spod Piotrogradu, który został najpierw sklepikarzem w Williamsburgu niedaleko mostu przez East River, hotelarzem w Manhattanie, akcjonariuszem kopalń na Wall Street, właścicielem szpitalika dla starych i ułomnych w powiecie Westchester, mężem zaufania miasteczka Tarrytown, gorącym patriotą rosyjskiej muzyki, tańca i śpiewu oraz szczodrym filantropem – więc gdy on, stary Kotoff, zmarł w szpitalu Phels, jednym z najlepszych szpitali świata, w połowie ufundowanym przez sąsiadów-Rockefellerów, gdy zmarł na drugi atak serca mimo wysiłku znakomitych specjalistów, ta rezydencja niemal umarła razem z nim.

Olga Andriejewna czyniła wrażenie, jakby czekała na mnie od dawna.

– Dobrze, że wreszcie przyjechałeś. Bardzo jesteś zmęczony? Bo wczoraj skończyło się jedzenie dla psów, trzeba skoczyć do sklepu. Nie ma także mleka. Przywieź mleko, to napijemy się herbaty. Weź po drodze korespondencję, jakaś paczka leży na poczcie od tygodnia, poczta jest przy Broadwayu, jeśli nie wiesz, gdzie, zapytaj ludzi. Trudno się tu zgubić, wszystko znajdziesz przy głównej ulicy.

Rozpakowałem się szybko i równie prędko poczułem się osiedlony na dobre. Dostałem dwa pokoiki na poddaszu, z łazienką i malutką lodówką. Jedno okno wyglądało na rozłożysty wiąz, spoza jego korony wyzierał dach następnego domu, zielonkawy, z ceglanym kominem, skąd wieczorami nadciągał zapach drewna palonego w kominku. Zaś drugie okno po przeciwnej stronie – aż mnie przyssało tak dosłownie, że o mało szyby nie wybił czołem, wyglądając na zewnątrz. Drzeworośl naszej posiadłości, a dalej – dalej błyszczała rzeka blaskiem słonecznym rozmyty w wodzie; szeroki Hudson, uroczysty niczym wiersz patriotyczny, dostojny jak hymny kościelne, piękny jak malarstwo holenderskie, prawdziwy przed moimi oczyma; rzeka-legenda. Czułem, że w tych dwu mansardowych pokojach, siedząc przy oknie z widokiem na Hudson, znowu będę pisał wiersze! Nie było to jakieś odkrycie lub postanowienie, lecz zwyczajne przeczucie.

*

Mój rozkład dnia:

Rano, siódma, skok z łóżka do okna – tego, co wyglądało na Hudson. Z koloru rzeki

zgadywałem, jaki dzień: słoneczny czy pochmurny, klarowny czy opatulony skisłą wilgocią. Jeżeli padał deszcz, słyszałem tysiące kocich kapek po naszym dachu. Jeśli stała mgła, czułem ją wewnątrz pokoju. Szybko – toaleta, szklanka soku, ubranie, płaszcz, czapka. Zbiegałem na dół, zabierałem psy na spacer. W tym czasie Olga Andriejewna już się czesała w swoich apartamentach. Te pół godziny z dwoma jamnikami było równie zdrowe jak poranna szklanka soku. Dzieci właśnie gromadziły się na rogu ulicy w oczekiwaniu na szkolny autobus. Tu i ówdzie ktoś już grabił liście, zwykle staruszkowie lub kobiety. Mężczyźni nieco wcześniej jechali na pobliską stację, skąd pociąg podmiejski zabierał ich do Manhattanu, gdzie do piątej po południu sprzedawali swoje zdolności, nerwy i zdrowie za tygodniowe czeki, które przywozili ze sobą w piątek do tej dzielnicy pięknych domów, do rodzin czekających na tatusia z zadowoleniem, że go będą oglądać aż do poniedziałku...

Psy sikały, czasami wypróżniały się całkiem i wtedy, jeśli tylko zdarzyło się to na wprost czyjegoś domu, zgarniałem gówienka do torebki.

Siódma trzydzieści, psy już w domu, mycie rąk, śniadanie w kuchni; chleb z testera, ser i miód. Wkładałem sweter i kaszkiet, który miał służyć niby za służbową czapkę, skórzane rękawiczki. Wyciągałem z garażu cadillaca, przecierałem szyby, aby lśniły w słońcu i czekałem przed frontem na Olgę Andriejewnę. Gdy się ukazywała przed drzwiami, spieszyłem, aby asystować jej na schodkach i ścieżce w drodze do otwartych drzwiczek samochodu.

Olga Andriejewna była kobietą postawną, nieco wyższą ode mnie, zbudowaną zgrabnie, to znaczy miała pełne piersi, ramiona i uda, i kiedyś musiała być zmysłowo piękna, nie będąc wcale wzorem szczupłych modelek. Nie była przygrubawa, czyli mówiąc delikatnie – dobrze zbudowana, ale „w sobie”, w młodości takie dziewczyny prędzej znajdują chłopców do rozrywki i mężów do żeniaczki niż te wiotkie, blade piękności z szyjami jak przysłowiowe lilie i oczyma niczym z sonetów Petrarcki. Ale teraz Olga Andriejewna już była starszą panią, dobrze po sześćdziesiątce, o zmarszczonej twarzy, a ciemne okulary zasłaniały bielmo na lewym, martwym oku. Farbowała włosy na lniano-pszeniczny kolor, paznokcie i usta na różowo, policzki także w odcieniu różu i myślę, że jak każda niemal Rosjanka – nie grzeszyła w tym nadmiarem gustu i paryskiej elegancji. Ubierała się jak żona prowincjonalnego lekarza, który ma dużo pieniędzy.

Pomagałem jej wsiąść do cadillaca. Spozstrzegłem, że przy wsiadaniu utykała na prawą nogę; jakieś dawne, przewlekłe schorzenie.

Jechaliśmy dobre kilka minut do sąsiedniego miasteczka. Na skraju osiedla, u podnóża łagodnego zbocza, leżał ten szpitalik dla starych ludzi, nieuleczalnie chorych. Tutaj

zostawiałem ją przed głównym podjazdem i wracałem do domu.

Sprzątanie, liście; sterty jesiennych liści z drzew naszych i sąsiedzkich, które wiatr nosił niemal codziennie. Gdy się już urobił do bólu mych ledwie zaleczonych wrzodów, zarządziłem sobie przerwę na herbatę. Cały dom należał do mnie. Albo robiłem sobie herbatę na górze, z widokiem na Hudson, albo w kuchni, skąd przechodziłem do salonu. Siadałem wtedy na tapczanie, puściwszy jakąś muzykę. Pośród setek płyt znalazłem sporo muzyki rosyjskiej w nagraniach Columbii i RCA. Czułem się niczym w sali koncertowej. Któregoś z takich dni z płytami i herbatką, napisałem pierwszy czterowiecz, od kiedy wyjechałem z Leningradu. Dziwny to był czterowiecz; o śniegu z deszczem i człapiącej, w szmatach na nogach, mojej babce, która wracała z fabryki pod ostrzałem artyleryjskim do domu. Wiersz o jej ostatnim powrocie z kilkoma kartoflami, które wyprosiła u żołnierza z patrolu. Drugiej zwrotki nigdy potem nie dopisałem, został mi ten czterowiecz. Następnego dnia babka nie wróciła. Dzieci znalazły ją na śniegu. Zmarła nie od pocisku, od artyleryjskiego ostrzału, lecz z głodu i wyczerpania...

Pierwsza: lunch dla psów i dla mnie. Pierwsza trzydzieści: idziemy we trójkę na spacer. Psy sikały, ja – z torebką na gówieńka – oglądałem domy i ogrody, chodząc przez kilka ulic albo w stronę stacji, albo w stronę parku nad wodą. Potem zakupy, sprzątanie, nastawiałem obiad i wpół do piątej jechałem samochodem po Olgę Andriejewną. I tak przez siedem dni, bo szpitalik dla starców nie wie, co to soboty i niedziele. Ale w sobotę i niedzielę wracaliśmy wcześniej, a wieczorem zawsze się coś działo.

Kiedyś Olga Andriejewna zapytała:

- Czy masz wieczorowy garnitur?
- Nie wiem, czy można to zakwalifikować do świątecznego wystroju.
- Włóż coś porządnego. Będziesz mi towarzyszył w charakterze siostrzeńca. Gdzież bym się spodziewała, zamawiając nasze miejsca, że pan Kotoffnie pojedzie tej niedzieli, nigdy już nie pójdzie do Metropolitan... do Uris, do naszego baletu.

Łzy zgarnęły krem i puder z policzków, złościąc dwie głębokie bruzdy. Olga zakryła twarz dłońmi, które teraz drżały jak u chorych na Parkinsona.

- Nie ubieraj się, nie warto... Nigdzie nie pójdziemy.

Po jakiejś chwili zawołała mnie z góry. Zbiegłem do salonu, czekając na polecenia.

- Słucham, proszę, Olgo Andriejewna...
- Ubieraj się, pospiesz się, żebyśmy zdążyli.
- Tak, Olgo Andriejewna.

Wprowadziłem ją z domu, odzianą w futro z rosyjskich wiewiórek. Było piękne i chyba

szyte na zamówienie. Dłonie w rękawiczkach, na rękawiczce duża bransoleta i mały zegarek; duże ciemne okulary zasłaniające bielmo martwego oka, ale również i część zmarszczek wokół oczu.

– Nie powinnam jechać. Jeszcze ciągle mam przed oczyma tę okropną szarą ziemię, którą zgarniali na trumnę męża... Wątpię, bym ten lunch przełknęła tak, by mi nie zaszkodził.

– Można pić herbatę, przegryzając krakersem.

– Powiedzą, że mam raka żołądka. Ty nie znasz naszego środowiska. Poza tym nie mam ochoty ich wszystkich widzieć, spotykać, obcałowywać... Ale tak nalegali przez telefon, jeszcze dzisiaj rano. Wiesz, pan Kotoff był szczodrym filantropem, domyślałam się, dlaczego tak nalegali dziś, bym przyjechała. Boją się, że po śmierci męża ograniczę donację.

– Co to za okazja, ten lunch..?

– Zobaczysz. Kolejne stare pudło obchodzi setne urodziny. Madame Wolf. Słyszałeś o madame Wolf..?

– Nigdy.

– Oddała swoje dorosłe życie amerykańskim tancerzom i baletnicom. Kiedyś nawet robiła choreografię, ale najlepsza, wprost niezawodna, jest w zbieraniu donacji. Ona chyba i Skąpcowi potrafiłaby wysupłać ze sto ludwików na Nowojorski Zespół Baletowy. Będą ją dziś całowali, w co się da, jak prawdziwą milionerkę, bo dla baletu zgarnęła milionik, z cudzych kieszeni, chociażby z mojej i mojego męża, ale prawda jest prawdą, bez jej uroku i talentu w wyłudzeniu grosza nikt by nie dał albo dał połowę. Mój mąż kochał balet, ale ja nie przepadam, wolałabym przenieść donację na rzecz Metropolitan Opera, raczej tam ubiegać się i o fotel w radzie zaufania, ...o ile fotel należy się takim krasnoludkom finansowym jak ja i mój mąż... zmarły mąż. – Zamilkła. – Nie mogę się z tym oswoić, że go już nie ma. Patrz, już go nie ma! Cóż ty wiesz, nie znałeś go wcale. Potem jeszcze szepnęła jakby do siebie:

– Był też bliski osiemdziesiątki, ale zostawił mnie samą za wcześnie. Co ja mam ze sobą zrobić? Zbyt późno mi na układanie życia jeszcze raz, ale za wcześnie na fotel inwalidzki, szpitalik dla starców. Nie chciałabym podzielić grona moich pacjentów... Mówię ci chłopcze, pal świeczkę Bogu, że cię chłopcem na świat zesłał. Nic bardziej wstrętnego niż samotne życie kobiety po sześćdziesiątce. Jeszcze nie minął miesiąc, a ja mam dość, jakby to było dziesięciolecie.

– Dokąd jedziemy?

– Jedź na Wschodnią Stronę. Waldorf Astoria. W lustrzanym holu, przed wielką salą bankietową, uformowała się kolejka z dwu tuzinów pań dobrze pamiętających prezydenturę Howarda Tafta, wszystkie ruszyły z kondolencjami do Olgi Andriejewny. Po jakimś

kwadransie była czerwono-karminowa od szminek na policzku, ustach, czole, uszach i okularach. Poszła się umyć i uczesać. Rozglądałem się z ciekawością pośród tego ufryzowanego towarzystwa, nie widziałem młodzieży. Gdzież ci chłopcy i te dziewczęta, na które starszycy tak mozolnie zbierali forszę? Są! Nareszcie są.

Poznałem. Przyszedł Fiedia. Rzuciłem się, by go z bliska obejrzeć po latach, ale prawie w tym samym momencie zostałem niemal stratowany przez dziesiątki starych facetek, które z zadziwiającą krzepą i energią w kościach rzuciły się do obmacywania Fiedii. Zanim się wyzwolił, też był starannie wypacykowany i gdy zniknął, wiedziałem, że poszedł do toalety się umyć. Więc i ja poszedłem do toalety. Rzeczywiście tam był.

Stałem tuż koło niego, przy następnym pisuarze. On już był po wszystkim. Otrzeptywał kutaska i zapinał spodnie.

– Serwus – powiedziałem po rosyjsku.

Splószył się. Bardziej nerwowo dopinał rozporek. Coś mruknął, lecz nie zrozumiałem.

– Ładny dzień – dodałem także po rosyjsku, to znaczy z naszym pięknie brzmiącym akcentem leningradzkim.

– Znamy się? – zapytał.

– Jednostronnie. Ja ciebie znam, ty mnie, skąd... Nie tańczę w balecie, nie pisuję recenzji, wydawałem wiersze w Leningradzie, ale tu nie czytają w naszym języku, więc wydaję drobne pieniądze, które zarabiam w tak zwanym pocie czoła.

– Co słyhać w Leningradzie?

– Nie wiem, uciekłem stamtąd.

Znowu coś mruknął, trudno dociec, czy z aprobatą, czy nie. Odszedł do umywalki, mył ręce, potem przy suszarce suszył dłonie.

Do toalety wszedł postawny brunet, jeszcze młody, energiczny. Spostrzegli się, rzucili do uścisków rąk. Przyjaciele. Wymienili w ciągu sekundy ogromną ilość słów, ten nieznany mi mówił rosyjskim jakimś takim, ni to z Uralu, ni z Alaski... niby dobrze i poprawnie, lecz brzęczał mi jakby obcy akcent. Ubrany był jak miejski urzędnik, w powiatowy garnitur, koszulę z Macy's i w buty amerykańskie, które prezentowały się dość wstydliwie wobec włoskich arcydzieł sztuki obuwniczej u Fiedii.

Wyszedłem zniechęcony do samego siebie. Po co się odezwałem? Kolegów szukam..? On świeci w Ameryce, jak gwiazda, każdego wieczoru i zarabia sześć cyfr rocznie, ja powożę starzejącą się wdowę i dostaję 90 bananów tygodniowo.

Potem jedliśmy kury z groszkiem, w ogromnej sali z balkonami i ze sceną, która mogłaby z powodzeniem służyć wcale porządkiem teatrowi za codzienny dom.

Co pewien czas ktoś mówił coś do mikrofonu i ludzie klaskali, dopiero jednak przy deserze, gdy już kelnerzy pozbierali i wynieśli talerze z kurzymi kośćmi, zaczęły się orgie krasomówcze. Siwiuteńka, woskowa figurka siedziała nieruchomo, przyjmując hołdy. Ale Olga Andriejewna szepnęła do mnie:

– To jej młodsza siostra odbiera honory w zastępstwie, bo solenizantka wczoraj poślizgnęła się w mieszkaniu i wylądowała w szpitalu z wybitym biodrem.

Przez dłuższy moment panowało zamieszanie przy prezydiálním stole. Rozpoznałem Onasissową!

– Jestem we właściwym miejscu, tylko w niewłaściwej roli – szepnąłem do Olgi Andriejewny.

– Masz co najmniej pół stulecia przed sobą na to, by się znaleźć w prezydium.

– Nigdy bym o tym nie pomyślał.

– Jeśli myślisz o sobie, myśl szeroko i wysoko... albo nie myśl wcale.

Nagle zobaczyłem, że ten mężczyzna z toalety, przyjaciel Fiedii w powiatowym garniturze, jakby przemieszczał się w naszą stronę. Rzeczywiście.

Po chwili wpił się nosem i ustami w zmarszczki na policzku Olgi Andriejewny. Przysiadł się na podstawionym przez kelnera krzeselku i milcząco współczuł. Wstał i odszedł bez słowa, dosyć mnie to zaskoczyło. Lecz po chwili wrócił, prowadząc za rękę... o Boże, to Irina!

Przedostała się do naszego stolika. Okryła dłońmi skronie Olgi Andriejewny, przygarnęła jej głowę na moment do swych chudziutkich, baletniczych piersi.

– Słyszałam – szepnęła.

– Cicho, dziecko, nie mówmy o zmarłych. Wyglądasz dzisiaj pięknie jak słoneczko krymskie.

To nie była prawda, przemknęło mi przez myśl. Patrzyłem na Irinę, stała pochylona przede mną, na wyciągnięcie dłoni: była szczupła, zwinna, chudziutka jak zawsze, jak stworzenie z kartonu, z baśni dziecięcych, ale coś wydało mi się nie tak, jakby inaczej niż sprzed lat, w naszym mieście nad Newą, kiedym ją oglądał prawie co wieczór z odległości bocznego rzędu na drugim balkonie. Szczupła, pociągła twarz, rosyjskie wargi, jej charakterystyczne śmieszne ząbki w uśmiechu, zmarszczki wokół oczu, opalenizna na czole. Trzymała jedną dłoń wspartą na ręce Olgi Andriejewny, drugą – dla uchwycenia równowagi położyła na kolanie mężczyzny. Olga nie prosiła jej, by usiadła. Może tak było we zwyczaju, może tylko chwileczka się jej należała, nie więcej. Irina zniknie wraz ze... swym mężem. Nie miałem wątpliwości, że ten dobrze zbudowany brunet, który mógłby być właścicielem sklepu

spożywczego, to jej hollywoodzki mąż.

– Mój siostrzeniec – Olga wskazała na mnie ręką.

Irina wyciągnęła dłoń w moją stronę, ciągle zajęta oglądaniem z bliska Olgi Andriejewny. Trzepały obie językami jak się tylko dało, wzdychając często w egzaltacji. Uniosłem się z krzesła, pochyliłem, dotknąłem palcami dłoni Iriny, mając przed oczyma długie, chudziutkie, blade, jakby odlane z alabastru palce, chłodne, prawie zimne – pocałowałem dłoń. Dłoń wycofała się sprzed moich oczu. Uniosłem wzrok. Na moment spotkałem oczy. Ona dopiero teraz zwróciła na mnie uwagę, gdym pocałował ją w rękę. Coś jakby zapowiedź uśmiechu narodziło się w kącikach warg, lecz nie starczyło jej czasu, była znowu oczyma, twarzą, całą sobą, zwrócona do Olgi Andriejewny. Czy mnie poznała?

Na pewno nie poznała, dlaczego miałyby pamiętać? Krótką chwilę sprzed szeregu lat.

Irina wyprostowała się, jej mąż wstał, odchodzili; jeszcze na odchodnym, jakby przypomniawszy sobie o czymś ważnym, nachyliła się do ucha Olgi, szeptała coś, co bardzo zmieniło twarz słuchającej. Na długo pojawił się uśmiech egzaltowanej radości. Uścisnęła ramię Iriny serdecznie, jak się ściska ludzi przed długą, a niepewną podróżą. Irina oddalała się, znikając w tłumie ciekawskich, zgromadzonym opodal. Za to jej mąż ni stąd, ni zowąd, zwrócił się do mnie z wyciągniętą prawicą i gdy podałem swoją, mocno ją ścisnął palcami sprawnymi, chwytliwymi, mocnymi, pewnie od lat zaprawionymi w wysiłku na boiskach koszykówki lub tenisa. Irina odeszła bez zwrócenia na mnie uwagi i gdy patrzyłem na jej włosy, szyję, wąską i białą, nietkniętą słońcem minionego lata, zdawało mi się, że oddala się ode mnie pewien określony czas w moim życiu, który od dziś będę miał poza sobą. I nic się nie zmieni, po prostu coś w moim życiu będzie od zaraz poza mną.

Ona także się zmieniła. Gdym ją ostatni raz spotkał, była młodą dziewczyną, najlepszą baletnicą na wschód od Renu, dzisiaj była najslawniejszą tancerką na świecie, ale już przestała być młodą dziewczyną. Jeżeli ciągle była filigranowa, drobniutka, chudziutka jak zabiedzone dziecko, to w jej sposobie bycia, w ruchach, w tempie reakcji zjawiał się jakiś nieznany mi element. Może to dojrzałe lata dają znać o sobie...? Nie byłem pewien i ciągle jeszcze pod silnym wrażeniem, nie mogłem zbyt klarownie myśleć, jeszcze nie ochłonałem z nagłego szoku.

Jadąc do domu milczałem, ciągle byłem zajęty nie tyle Irina, co sobą, moim własnym przeżyciem. Olga Andriejewna musiała coś spostrzec, bo spytała:

– Źle się czujesz?

– Czuję się dziwnie.

– Zaszkoziły ci kury z groszkiem, widzisz, najslabszą stroną takich imprez jest to, co

podają do stołu, nawet w Waldorf Astoria. Mnie też nie smakowało, zresztą nic mi nie może smakować, bo nie mogę pozbierać sama siebie w jakąś rozsądną całość,

– Olgo Andriejewna, jak długo znasz Irinę?

– Irinę? – zdziwiła się, nie oczekiwała tego pytania. – Długo, dlaczego pytasz? Poznaliśmy ją w Londynie z mężem, w kilka miesięcy po jej ucieczce. Od tej pory czasami się widzimy, tu i ówdzie, ona już wie, z czego się żyje na Zachodzie, z pieniędzy, my płacimy dużo na rozwój baletu.

– Ja myślałem, że to rosyjskie powinowactwo.

– To ponad wątpliwość. My ją lubimy czy kochamy jak własną bratanicę, chcę ci po prostu powiedzieć, że gdybyśmy nie łożyli pieniędzy na balet, nie znalazłbyśmy Iriny inaczej niż z prasy, fotografii i sceny. Oglądałeś ją zapewne w Leningradzie, zanim uciekła..?

– Moja miłość z dawnych lat.

– Dlaczegoś mi nie dał znać, przetrzymałabym ją przy naszym stoliku. Biedny chłopiec, spotkał w Nowym Jorku swoją miłość i nie miał czasu jej dotknąć, porozmawiać...

– Nie, tego mi nie trzeba. To była miłość poety do gwiazdy baletowej, do tego nie trzeba się ani dotykać, ani rozmawiać.

– Rozumiem. Może więc zdradzę ci, co mi naszeptała, może ci się należy ta wiadomość. Zaszła w ciążę i zdecydowała się urodzić. Już za parę tygodni będzie widoczne, prasa się rozpisze, będzie musiała zejść ze sceny na dobre parę miesięcy, myślę, że na dłużej... Wierzyć mi się nie chce, że to chudziutkie, gibkie i wiotkie stworzenie będzie mamą za kilka miesięcy... Gdy zejdzie ze sceny i zacznie niańczyć bobaska, będzie miała więcej czasu, gdy ją złowię w Nowym Jorku, zaproszę na kolację, zrobimy dla niej kolację, będziesz miał ucztę...

– Nie, nie chcę z nią kolacji, ani z nią, ani z jej mężem...

– Dlaczego?

– Bo się wszystko zepsuje...

– Co się może zepsuć, jeśli niczego nie było..?

– Właśnie to wszystko, czego nie było...

– Kiedyś mi to wytłumaczysz... jeśli zechcesz, oczywiście, na razie zaparzysz mi herbaty, w naszej porządnej rosyjskiej zastawie. Potrzebuję herbaty i coś do herbaty, zejdiesz do piwnicy, do składu win, tam gdzieś mój mąż trzymał również butelki calvadosu. Nauczyliśmy się pić w Paryżu, potem zaprzestaliśmy, gdy mąż zachorował, ale chyba w piwnicy powinna jeszcze leżakować jakaś butelka.

Przyjechaliśmy do domu o szarówce. Zaparzyłem herbatę, znalazłem w piwnicy ostatnie

dwie butelki calvadosu. Zaniósłem tacę do bawialni. Butelkę wstawiłem do lodu, lecz kazała mi ją wyjąć, calvados nie powinien być zimny. Nie wiedziałem. Prosiła, bym poszukał cukru w kostkach. Znalazłem w kuchni, podałem. Wziąłem psy ze sobą i wyszliśmy we trójkę na codzienny obchód ulic i alejek. Ściemniło się zupełnie. Lampy paliły się tylko na skrzyżowaniach. Uliczki tonęły w mroku jak we mgle. Poszedłem w stronę parku nad Hudsonem. Zobaczyłem wodę, przeświecającą blaskiem odbitym z wieczornego nieba. W oddali płonęły kolie świateł Nyack, rozłożonego na przeciwległym brzegu. Po obu stronach tych migotliwych koralików wzgórze rysowały się łagodną, opływową linią. Teraz były szare na tle nieba i nagle całe to widowisko z drugiej strony rzeki wydało mi się na kształt żywego, pięknego, olbrzymiego motyla, który przysiadł nad wodą. Patrzyłem aż do bólu w oczach i choć psy poszturchiwały mnie, dopominając się akcji, ruchu, stałem i patrzyłem na dalekiego, baśniowego motyla z rozłożonymi szeroko skrzydłami; gotów do lotu...

Cierpkie powietrze znad wody osiadło mi na wargach. Była widocznie pora przypływu. W górę rzeki pchały się masy wód oceanicznych, posmak soli czuło się w przesiąkniętej atmosferze parku. Podwinąłem płaszcz i przysiadłem na skarpie. Psy wsadziły mi łby pod pachy, przygarnęły się, poprzez płaszcz czułem ich ciepło i zdyszane ruchem piersi, słyszałem w pobliżu ziewające oddechy. Ogarnąłem je rękoma, uspokoiły się momentalnie, przyłożyły do resztek trawnika i patrzyły w stronę Nyack. Przez dłuższą chwilę widziałem poprzez rzekę i światła z naprzeciwka jakby wspomnienie twarzy, głowy, całej sylwetki Iriny. Zdawała się jaśnieć tuż ponad wzgórzami, po drugiej stronie rzeki, jak jakieś cudowne zjawisko z miejsc świętego nawiedzenia... Potem z wolna wszystko znikło, rozmyło się w coraz gęstszym wieczorze. Zostały tylko blaski Nyack. Czekałem jeszcze trochę, czy się nie pojawi jeszcze raz, czekałem dość długo. Zmarzłem i moje psy także zmarzły. Wracaliśmy do domu. Zwierzakom było spieszno do ciepłego wnętrza, lecz ja zwlekałem. Coś chciałem zrobić ze sobą, byle nie otwierać niczyich drzwi. Wsiadłbym najchętniej w samolot, odleciał nie wiadomo dokąd. Leningrad..? Nagle zobaczyłem przed oczyma moją rzekę młodości, szeroką, pełnowodną, w której przeglądał się Pietropawłowski Sobór z wieżycą ostrą jak szpada. Tam pewnie śnieg, wszędzie dużo śniegu o tej porze roku, białe czapy na balustradach, na dachach, na gankach, rozhartowałem się już tutaj i lubiłem ciepło jesieni nowojorskiej. Tam chyba nie chciałbym odlecieć. Nikt na mnie nie czekał. Moja babka leżała w zbiorowej mogile pomarłych z głodu i chorób w czasie blokady, moja ciotka, która mnie przejęła po aresztowaniu matki wraz z resztkami mebli i dobytku i wychowała mnie na porządnego człowieka, też leżała w grobie, zginęła w wypadku ulicznym, gdy tramwaj wyskoczył z szyn na zakręcie i wpadł na grupę przechodniów. Jej męża nigdy nie poznałem,

rozeszli się, gdym jeszcze mieszkał ze swoją mamą.

Żona pisała piórem swej matki, że pragnie ułożyć sobie życie beze mnie i pewnie już sobie ułożyła. Nigdy nie kochaliśmy się jak para z Werony, którąśmy często oglądali na scenie, gdy jeszcze Irina tańczyła Julię w teatrze Kirowa. Byliśmy małżeństwem z przyjaźni i przyzwyczajenia, a to zbyt mało, gdy dzielą wody Atlantyku i Morza Północnego, i Morza Bałtyckiego, i Zatoki Fińskiej, i gdy dzielą bariery większe niż te tysiące mil czy kilometrów. Nie, nie chciałem tam lecieć, wiedziałem, że gdybym się nawet zdecydował, prawdopodobnie wyszedłbym z samolotu w ostatniej chwili tuż przed startem. Świata nie znałem, trudno mi było wskazać jakieś miejsce, gdzie by mi było dobrze i dokąd chciałbym odjechać, czy polecieć. Wtedy zrozumiałem, że cały właśnie kłopot ze mną, że mi nigdzie nie jest dobrze i nigdy nie pragnę gorąco, aby mi było lepiej. Jak powiedziała Olga o swym mężu: zaczął jako ubogi sklepikarz, by po latach specjalnie fatygować się do Londynu na premiery baletu; chciał mieć pieniądze, więc je w końcu miał, chciał być filantropem obcałowywanym przez panie kolekcjonerki, więc był, gdyby mógł z grobu spojrzeć na całe swoje życie, prawdopodobnie leżałoby mu się przyjemniej, bo z prawdziwą i niekłamaną satysfakcją, która przynosi spokój, a tam, tam prawdopodobnie, gdzie on teraz przebywa, spokój się liczy na cenę niebios. Coś we mnie jest niewydarzonego od dziecka i trzyma mnie za poły i wlecze do tyłu, jak choroba jakaś, jak rodzaj upośledzenia, jak chroniczny alkoholizm, jak wózek inwalidzki. Tytu poetów i to znakomitych zapilo się na śmierć. Może to jest choroba poetycka, słabość organizmu produkującego wiersze..? Lekarz psychiatra by powiedział, że mi brak motywacji. Koledzy z partii w szkole, gdzieś nauczał łaciny, powiedzieliby, że straciłem wiarę w siebie, kraj i komunizm i dlatego pleśnieję za młodu i żywcem gniję... może mieliby nieco racji. Bez wątpienia dobrze jest pójść do kościoła. Obiecałem sobie, że zajdę do katedry, gdy tylko będę znowu na Manhattanie. Może poproszę Boga, do którego się nie modliłem od dziecięcych lat, gorąco się pomodłę swoimi słowami, by mi przywrócił łaskę wiary, wiary w cokolwiek, co by mnie wyrwało z martwoty obojętnego przemijania.

Wróciłem do domu. Psy wpadły do bawialni, zaczęły tam harcować. Olga Andriejewna siedziała w ciemności, pomyślałem sobie, że pewnie gorąca herbata z calvadosem natychmiast ją uspiła. Psy powinny ją były zbudzić. Gdy więc nie zabłysło światło, zajrzałem do bawialni.

- Olgo Andriejewna..?
- Tak... – nie spała więc, widocznie chciała sobie posiedzieć w ciemności.
- Nic, Olgo Andriejewna, sprawdzam, czy aby wszystko w porządku.
- Wszystko jest w porządku. Chcesz może herbaty?

- Nie, dziękuję.
- Calvadosu?
- Lekarz mi zabronił, powiedział, „niech Bóg uchwata”.
- Zmień lekarza.
- Ale to nie zmieni faktu, że mam dziurawy żołądek.

– Biedny chłopiec, w tak młodym wieku... Nie martw się, prędko ci się zagoi. Mój mąż, gdy zbankrutował ze swym sklepikiem w Brooklynie, dostał takich wrzodów, że nie nastarczałam kupować i zaparzać siemienia lnianego. Wiesz, przed laty, lekarze raczej rozkładali ręce, dzisiaj podobno wiedzą, co z tym zrobić.

Poszedłem na górę do swych pokoików. Zapaliłem małą lampę i położyłem się w ubraniu na łóżku. Przez niedomknięte okno docierały do mnie odgłosy świata. Pociąg za pociągiem dudnił i nieprzyjemnie popiskiwał, hamując na stacji. Godzina wzmożonego ruchu wieczornego. Ludzie wracali z pracy w śródmieściu. Słyszałem samochody przejeżdżające przed frontem naszej posesji. Za godzinę to wszystko się uspokoi, mieszkańcy zasiądą do stołów.

Musiałem zasnąć, bo gdy się ocknąłem, w pokoju było zimno, za oknem cisza. Zawsze zostawiałem uchylone drzwi, by słyszeć, czy mnie Olga Andriejewna nie woła. Teraz poczułem, że jakiś niemiły smrodek przedostawał się przez szparę do moich pokoików. Uniosłem się z łóżka i spojrzałem na zegarek, było już dobrze po północy. Czułem się zaspany i osowiały. Chciałem zdjąć koszulę, umyć zęby i położyć się wygodnie. Przypomniałem sobie, że wieczorem zostawiłem Olę w nienajlepszym nastroju. Chyba tłukła ją chandra, inna od mojej, ale także spleśniała, jak – jesienne mgliste poranki – rosyjska chandra.

Zszedłem na dół, zapaliłem lampy. W kuchni na ogniu trzeszczał spalony pusty czajnik. Gaz musiał być zdławiony wodą, gdyż paliła się tylko część palnika. Śmierdziało. Szybko zgasilem palnik, otworzyłem szeroko okna i drzwi na werandę. Świeże powietrze przywracało mi zdrowy oddech i zdolność myślenia. Podtrułem się tym gazem, przebiegło mi przez myśl. Równocześnie poczułem niepokój.

Czy Olga próbowała się otruć, czy to wypadek, palnik zalał się wodą i gaz ulatywał...? Do sypialni drzwi były zamknięte. Nacisnąłem klamkę i ostrożnie, by nie przestraszyć Olgi, uchylilem drzwi. Ciemno.

- Olgo Andriejewna, śpi pani...?

Zapaliłem światło. Łóżko było zasłane od rana, w sypialni nikogo. Psów nie widziałem, gdzieś pewnie się zaszyły także strute gazem, uciekły, gdzie nie śmierdziało. Wszedłem do

bawialni. Włączyłem kontakt dużego żyrandola. Zmrużyłem oczy porażony nadmiarem światła. Po chwili spostrzegłem Olę. Siedziała w tym samym fotelu, co przed wieczorem, oczy miała zamknięte. Wydała mi się niezdrowo blada i pomyślałem, że narobiła sobie i mnie kłopotu. Na stole zobaczyłem zastawę do herbaty i butelkę calvadosu. Była prawie pusta. Olga Andriejewna wytrąbiła ponad pół litra. Nagłe uderzenie światła ocknęło ją. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się jakoś tak, jakby zażenowana, i powiedziała:

– Usnęłam sobie przy stole..?

Uniosła się z fotela, ruszając w stronę drzwi. Wtedy nagle ta prawie cała butelka, przelana do krwi, odezwała się. Olga zeszywniała, jak rybacki kuter na dużej fali, potem runęła na stolik. Zastawa herbaciana poleciała z brzękiem na podłogę, butelka trzasnęła z głośnym hukiem niczym wybuch wielkiej żarówki. Straciłem Olę z oczu, przesłoniętą stolikiem. Prawie, że ją nakrył. Podbiegłem. Nie wiedziałem, co najpierw ratować: Olę, czy szkło, czy zastawę. Odgarnąłem stłuczone resztki butelki, rozbity imbryk, cały ten skotłowany na podłodze bałagan. Uniosłem Olę za ramiona i ciągnąłem jakby omdlałą na środek bawialni. Z wolna czucie i siły wracały jej do kończyn. Podparła się ręką, potem stanęła niepewnie na nogach, trzymając się kurczowo mego ramienia. Wtedy nieoczekiwany atak zwinął ją w pół. Gwałtowny atak mdłości wyrzucił z jej trzewi sino żółtą magmę pijackich rzygowin. Kobieta znowu straciła siły, zwisała na mych rękach, była bezwładna, niespodziewanie zaciążyła mi tak, że ją prawie upuścił.

Zawlokłem ją do łazienki, wsadziłem do wanny, jak była, w ubraniu, odkręciłem prysznic i skierowałem ostry strumień wody na jej twarz, włosy, piersi, ramiona. Uregulowałem temperaturę na ledwie chłodną. Trzymałem tak Olę pod szumiącym wodospadem dobre kilka minut. Odzyskiwała siły. Wtedy posadziłem ją na obrzeżu wanny, rozpiąłem bluzkę, zdjąłem i rzuciłem w kąt, potem spódnice, pończochy, bo pantofle zgubiła gdzieś w drodze do łazienki, gdy ją włókł niczym rannego żołnierza. Zdjąłem z niej wszystko, posadziłem naga w wannie i znowu puściłem strumień wody. Wsadziłem dwa palce w jej usta i pomogłem zwymiotować. Twarz jej nabrzmiała czerwonym rumieńcem, krztusiła się. Stuknąłem parę razy w kark, pomogło, nie puszczałem języka, póki znowu nie zwymiotowała. Dostała dreszczy i znowu traciła siły. Znałem to wszystko z własnych leningradzkich doświadczeń. Teraz się ożywi, otrząśnie na jakąś godzinę, potem znowu będzie musiała wymiotować i dopiero wtedy zaśnie na kilkanaście godzin. Nazajutrz skończy się zwyczajnym kacem.

– O Boże, to ja jestem całkiem naga?

– Całkiem. Byłoby dobrze, gdyby się pani przeniosła na kibelek i zrobiła wszystko, co można. Ja tymczasem przygotowuję trochę wody z cukrem.

- Brr... tylko nie cukru, bo zwymiotuję.
- No to co, bez cukru za to zemdleje pani najdalej w ciągu kwadransa.
- Dobrze, przynieś, co uważasz.
- Pomogę się przesiąść...

– Nie trzeba, wyjdź i przynieś mi szlafrok – uniosła się i prawie natychmiast straciła równowagę. Chwyciłem ją, z trudem utrzymałem na ramieniu. Pomogłem jej wygramolić się z wanny i usiąść na sedesie. Prawie natychmiast zsiusiała się. Zakryła twarz rękoma, zaśmiała się głośno i zaczęła momentalnie z tego śmiechu przeistaczać się w rozslochaną, bezprzytomną kobietę. Wytarłem jej twarz ręcznikiem. Wyszedłem do kuchni po wodę z cukrem, bo zdawałem sobie sprawę, że mi zaraz może zemdleć i naprawdę będę miał kłopoty. Gdy wróciłem z kuchni, Olga ciągle siedziała na kibelku. Twarz miała zanurzoną w dłoniach, a ręce wsparła łokciami o kolana. Wydała mi się smutna i biedna, jakby pobita... Uniosłem jej głowę i podałem kubeczek z wodą. Wypiła chciwie. Potem nacierałem jej plecy ręcznikiem zanurzonym w ciepłej wodzie. Wiedziałem z własnych przeżyć, jak masaż kręgosłupa przyspiesza człowiekowi okres trzeźwienia. Chwyciła się bezwolnie rękoma mojej koszuli, oddychała wolno, coraz głębiej. Sprawdziłem jej puls, był znacznie przyspieszony. Zmieniłem wodę na chłodną, prawie że zimną, zanurzyłem ręcznik i położyłem na jej szyi. Wzdrygnęła się i powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Natarłem skronie wodą, raz i drugi. Jej dłonie osunęły się z mojej koszuli. Poczułem nagle z niewiarygodnym zdumieniem, że jej palce wsmyknęły się do mego rozporoka, grzebały w koszuli, znalazły penisa i powędrowały niżej do jąder. Wzwód rozepchnął mi spodnie prawie momentalnie. Wtedy dopiero dojrzałem Olgę, jej śniadobiałą skórę, kształtny, nieco pulchnawy zadek, oszronione siwawym zarostem nogi, spojrzałem na wydatne, jeszcze pełne soków piersi z dużymi, brązowymi guzami sutek. Olga wyjęła mojego członka ze spodni i ...jakby nie wiedziała, co dalej zrobić, oparła się czołem o moje biodra i chlipała. Uniosłem ją z toalety, splukałem wodę, prowadziłem pomalutku do jej sypialni, ułożyłem na łóżku. Wyciągnęła się białosina w pościeli, wyprostowała nogi, rozsunała je w kroczu, chwyciła moją dłoń i prawie przemocą nakryła nią włosy na łonie. Bez jej zachęceń, przesunąłem dłoń niżej. Olga poddała się ruchom dłoni z zamkniętymi oczyma, posykując przez rozchylone wargi. Byłem jej wdzięczny, że zamknęła oczy i nie musiałem patrzeć na to jej chore, niewidzące, przeniósłem swoje spojrzenie na jej biodra i uda. Ze zdumieniem spostrzegłem, że jej ciało było pełne zdrowia, soków i w moich odczuciach budziło nagle pożądanie. W tym momencie Olga zadrżała, krzyknęła, ścisnęła mocno nogi i moją dłoń w kroczu na dłuższą chwilę. Potem rozluźniła się, oddychając głęboko, coraz wolniej, swobodniej... Coś jakby szept zachwytu

wyłowiłem z trudem. Odwróciła się na brzuch. Nie mogłem oderwać spojrzenia od otyłej łagodności białych pośladków, kształtnego łuku kręgosłupa i ramion, gładkich, białych prawie jak pościel. Nerwowo zgarnąłem koszulę, zsunąłem spodnie, położyłem się na Oldze, ogarnąłem ją dłońmi, sięgając aż po sutki jej piersi, zanurzyłem się w gęstościach włosów, miękkim ciepłe, ogarniającym mnie stopniowo całego. Prawie natychmiast uwolniła się sperma i pulsującym rytmem przechodziła w Olgę. Pocałowałem ją w kark. Odpowiedziała przyjaznym, zadowolonym sapnięciem, pocałowałem więc jeszcze raz i wstałem. Nakryłem Olgę Andriejewnę prześcieradłem i kocem, zgasilem światło, usiadłem na skraju łóżka i czekałem, aż zaśnie.

Olga Andriejewna pisała do mnie z Miami:

„Jesienią czy zimą południowa Floryda, jak chyba wszystkie tropiki, rozkochuje nas od pierwszego wejrzenia... wcale nie ciepłym powietrzem i wodami, ale... zielonością. Słuchaj, żebyś ty, wychowany w Leningradzie, urodzony gdzieś, Bóg raczy wiedzieć gdzie, na peryferiach Polski i Rosji, żebyś ty sobie wyobraził, jak tu jest zielono! Mieszkam u mojej przyjaciółki, która, jak się przekonuję, po latach życia w tropikach została wcale rasową abnegatką. Żywi się owocami, pije słodkawe nalewki, prawie jak murzyni sprzed wieków na plantacjach cukru, tępimy w domu pająki, a wczoraj właśnie z przerażeniem odkryłam, że w naszym ogródku za oknem coś się rusza. Sprowadziłam policję, okazało się, że to stały nasz lokator, dorosłe oposum. Ale nie w tym celu piszę ci list, by zachwalać Florydę, kiedy wy tam mokniecie w chłodnych deszczach i zawiewa was od Hudsonu kanadyjskim ziąbem. Piszę, bo jak widzisz, mój pobyt się leniwie przeciągnął. Miałam wrócić za tydzień, a tu drugi mija. Otóż, mam dla siebie i ciebie wiadomość. Postanowiłam osiedlić się na Florydzie. Moje towarzystwo, liczne wdowy i rozwódki z mego pokolenia – całkiem dobrze sobie tutaj poczynają. Pamiętasz, gdy Picasso osiadł na Rivierze, tak odmłodził natychmiast, że nie tylko się zakochał, ale nawet dzieci przysporzył narodowi. Nie chcę aż tak dalece go naśladować, ale tutaj zostanę. W końcu zawsze planowaliśmy z mężem, że na stare lata osiadziemy gdzieś w ciepłym i dobrym klimacie, jak to lekarze zwykli zalecać. On, biedak nie zdążył, zapomnieliśmy, że się starzejemy szybciej, niż byśmy tego pragnęli. Wczoraj oglądałam kondominium pięknie usytuowane nad wodą na Key Biscayne. Jestem podekscytowana i prawie gotowa do wypisania czeku na zadatek.

Przylatuję w niedzielę wieczorem (odbierzesz mnie z lotniska), dałam ogłoszenie do „Times'a”, że poszukuję administratora. W poniedziałek zrobię przesłuchania i jeśli kogoś porządnego znajdę, to z końcem tygodnia odleczę na Florydę z nadzieją na przezimowanie. Równocześnie dałam ogłoszenie w sprawie sprzedaży domu i szpitaliku. Będą dzwonili

pośrednicy, byś pokazywał dom (utrzymując go w należyтым porządku, mam nadzieję), a gdy kierowniczką będzie dzwoniła z interesu, bądź gotów tam asystować, gdy przyjadą kupcy. Będziesz prowadził dla mnie ewidencję, kto i kiedy był i jakie odniósł wrażenie. Dobrze? Tyle spraw na razie. Olga”.

Post scriptum: „Mam nadzieję, że ten list cię nie przeraził. Będziesz u mnie pracował z dotychczasowym wynagrodzeniem, dopóki nie sprzedam posiadłości, a to może mi zająć sporo, sporo czasu, a i potem nie zostawię cię na ulicy... bądź uprzejmy dla kupców i pośredników i dbaj o psy... i zapomnij o tamtej sprawie z calvadosem, po prostu jej nie było, jeszcze raz – Olga”.

Odebrałem ją z lotniska, tak jak zapowiedziała. Była wypoczęta, nieco opalona, jakby o kilka lat młodsza, poruszała się sprężystej i kulejąca stopa nieco mniej jej dokuczała. Przez następne trzy dni przesłuchiwała kandydatów na administratorów szpitaliku. Raczej kandydatki. Trzeciego dnia Olga kazała mi po drodze wstąpić do znanych delikatesów w Tarrytown przy Broadwayu i przywieźć półmisek zimnych przekąsek, butelkę jabłkowego szampana bez alkoholu. Pomagałem jej segregować ankiety alfabetycznie, wpisywać nagromadzone informacje. Olga pracowała do późnych godzin wieczornych. Wreszcie dobrnęliśmy do herbaty. Czajniczek parzył się na kuchni, kucharka już dawno poszła do domu, salowa przyniosła wrzątek. Herbata i szklanki były zawsze w biurze Olgi pod ręką.

Nagle odsunęła cały ten stos formularzy, wypełnionych coraz to inną ręką, zgarnęła na podłogę, odłożyła okulary, przymknęła powieki, wydała się znowu stara i niesympatyczna, jakby zła i naburmuszona.

– Stało się coś? – spytałem.

– Możesz to wszystko, cały ten bałagan, wrzucić do śmieci. Patrz, z całej tej zgrai wybrałam raptem cztery osoby. Dwie – już wiem, że nie chcę, żądają znacznie więcej pieniędzy niż ja mogę zaoferować. Wcale im się nie dziwię, mają doskonałe wykształcenie administratorów ekip pielęgniarских, obaj byli zatrudnieni przez kilka lat w szpitalach. Marzyłyby mi się mieć takiego administratora, lecz ten mój szpitalik za ubogi, za mały, jeśli ich najmę, samej mi nie za wiele zostanie. Zdecydowałam się prawie na tę ładną, drobniutką Japonczkę. Ale sprawdziłam dane personalne, wyobraź sobie, to piękne, kruche chuchro, niczym laleczka ze wschodniej porcelany, miała w życiu porządny wyrok, odsiedziała kilka lat za pobicie własnego ojca. Władze stanowe nigdy w życiu nie zatwierdzą takiej delikwentki na opiekunkę szpitaliku dla starców, nieuleczalnie chorych. Więc mi została taka korpulentna Włoszka, w średnim wieku, bystra, wie, co mówi, mądrze jej z oczu patrzyło. Widocznie zbyt mądrze. Zadzwoiłam przed godziną do jej poprzedniego pracodawcy, była kierowniczką

zakładu dla dzieci opóźnionych w rozwoju. Powiedzieli mi, że niby była świetnym pracownikiem, tylko gdy zrezygnowała, nikt nie żałował, bo ciągle ginęła żywność i drobne pieniądze, nikt nikogo za rękę nie chwycił, ale gdy odeszła i pieniądze, i żywność więcej nie wywędrowywały nocami w niewiadomych kierunkach. Jestem skonana i muszę się położyć do łóżka. Jedziemy do domu.

W samochodzie półsennie skarżyła się, jakbym coś mógł jej poradzić albo był temu winien.

– Sześćdziesiąt dwie osoby rozwałkowały mi mózg, jakby mi ktoś dał solidnie po głowie. Wiesz, każda chciała się jak najlepiej sprzedać. Nigdy nie lubiłam zatrudniać ludzi. Mój mąż był geniuszem, popatrzył na ręce, w oczy, powąchał, pomyślał i już wiedział, czy człowiek, czy świnia i prawie nigdy się nie pomylił. Ja, ja jestem naiwna i już czuję, że mi się ten interes wali na olaboga, byłam zdążyła z tym coś zrobić, zanim zaczną się kłopoty z licencją. Te głupie krowy, które zatrudniam, oczywiście zwąchały, że na Florydzie i założyły w kuchni klub picia kawy i palenia papierosów. Jeden pacjent zmarł, mam nadzieję, że nie będzie żadnego dochodzenia, był biedakiem zupełnie samotnym, chwycił zakażenie wrzodów na łydkach, bo mu nikt nie przewijał bandaży przez trzy noce. W kuchni znalazłam karalucha. Powiadają, że się chemikalia skończyły, a wziąć za telefon i zamówić dostawę, nie ma komu, na mnie czekają. Mówię ci, one wszystkie, te damy gminne i powiatowe dobrze wyczuły, że to mój mąż był człowiekiem interesu, a ja jestem naiwną, starzejącą się wdową...

– Olgo Andriejewna, nie przekona mnie pani, że nie można znaleźć porządnego człowieka do tej roboty.

– Powiadam ci, dwaj byli, obaj wysoce kwalifikowani, lecz żądają dwa razy tyle, ile mogę zapłacić i gdzieś tam z pewnością dostaną, w wielkich obiektach.

– I nie ma uczciwych ludzi, którzy by potrzebowali pracy?

– Może i gdzieś są, ale ich nie umiem znaleźć, owszem, przyszło wczoraj i dziś kilkoro uczciwusów, ale bez należnych kwalifikacji, albo w życiu nie liznęły, bo to kobiety, żadnego kursu uniwersyteckiego, albo nie spędziły ani jednego dnia w hotelu, motelu, szpitalu, czy w innych miejscach, gdzie się nocuje i karmi, bawi lub leczy ludzi... Ty, na przykład, robisz wrażenie najuczciwszego chłopca pod słońcem, ale jesteś poetą. Ja nie prowadzę witryny księgarskiej, lecz szpitalik dla starców. Dam jeszcze raz ogłoszenie i zadzwonię do znajomych, może ktoś by pomógł, na jakiś czas przynajmniej. Patrz, widzisz, ucz się, taki jest ten kapitalizm zniechęcany w twoim Leningradzie. Najgorzej w tym kapitalizmie wychodzi ów obrzydliwy wyzyskiwacz, zobacz, jestem jak moje psy, uwiązane na smyczy.

– Nie jest tak źle, Olgo Andriejewna...

– Zamieńmy się – zażartowała.

– Zgoda – podtrzymałem dowcip. Nagle przyszła mi pewna myśl do głowy, zrazu szalona i śmieszna, lecz już w następnej chwili wydała mi się nie tylko – że nie głupawa, lecz genialna w swej prostocie niczym wiele wybitnych wynalazków.

– Chciałbyś ten kram wziąć sobie na głowę..?

– Nie, skądże, sama pani mi powiedziała, że jestem poetą. Jestem także tęgim naiwniakiem i niegorszym leniem, jak większość dobrych poetów. Ale ja wynajęłbym sobie dobrego robotnika do tego interesu.

– Może mi zdradzisz tajemnicę...

– Olgo Andriejewna, ja wziąłbym dobrego administratora, nawet, gdybym przepłacił.

Poszedłem na górę, ale nie mogłem usnąć. Zabrałem psy na nocny spacer. Było mgliście i ciepło. Od rzeki pachniało zbutwiałymi liśćmi, które niosła woda.

Nie wiadomo dlaczego, byłem wewnętrznie cały podekscytowany, czy nawet rozdrażniony. Powinienem chlapnąć sobie lampkę wina lub kielicha czyściochy, momentalnie by mnie zrelaksowało, ale bałem się lekarzy. Przestraszyli mnie porządnie, poza tym znając swoją słowiańską naturę, gdybym dzisiaj wychylił kielicha, jutro poprawiłbym dwoma. Muszę odczekać na ten obiecany strusi żołądek, wtedy może zacznę piosenkę od nowa.

Spacer z psami dobrze mi zrobił na podgorączkowane nerwy. Wróciłem po godzinie całkiem uśpiony zapachem rzeki, wilgocią, kształtami drzew w ociemniałym parku... Chciałem pójść do siebie na górę, rąbnąć się do łóżka.

W bawialni ktoś jeszcze był oprócz Olgi. Słyszałem rozmowy. Zajrzałem do salonu i spytałem, czy nie jestem potrzebny. Dwaj mężczyźni, jeden stary i chudy, z siwą brodą, drugi w średnim wieku, otyły Włoch, właśnie zbierali się do wyjścia. Spostrzegłem, że mieli ze sobą tekturowe teczki, pełne najrozmaitszych papierzyków.

Gdy poszli, zamknąłem za nimi drzwi. Słyszałem Olgę, wzywającą mnie do salonu.

– Na dzisiaj mam dosyć, jeszcze tylko oni byli mi potrzebni. Zejdź na dół do piwnicy, znajdziesz tam kilka butelek Chateau la Tour, mąż sprowadził kiedyś całą skrzynkę od importera. Z 1973 roku powinno być jeszcze kilka, przynieś jedną i otwórz, by odpoczywało z godzinę, najpierw przynieś mi pół aspiryny i szklanek zimnej wody z kranu.

Siedzieliśmy potem w salonie. Olga poleciła mi, bym sobie nalał lampkę wina i potowarzyszył jej przez chwilę. Zrobiłem kilka kanapek. Skosztowałem La Tour. Było wspaniałe, jakby nektar baśniowy, o którym się czytuje w poezji z ubiegłego stulecia.

– Nigdy nie piłem jeszcze czegoś tak dobrego.

– Pan Kotoff był smakoszem.

– Zdążyłem to spostrzec, zachodząc do piwnicy. Chyba spróbuję jeszcze jedną lampkę. Coś tak świetnego nie powinno nikomu zaszkodzić.

– Widziałeś tych dwóch oszustów..? – spytała niespodziewanie.

– Wyglądali na członków komitetu rodzicielskiego z pobliskiej szkoły...

– Nie bądź naiwny. To znane łobuzy z pobliskiego biura nieruchomości. Złożyli mi ofertę. Chcą wydrzeć mi interes, po prostu chcą mnie wywłaszczyć.

– Nie rozumiem, każą sobie dopłacić do wszystkiego?..

– Omalże – roześmiała się mimo nieukrywanej złości. – Zaoferowali mi dokładnie połowę sumy. Poza tym, ja chciałam ćwierć miliona gotówki jako przedpłatę, wiesz dlaczego? Upatrzyłam sobie wspaniałe kondominium na Key Biscayne, kosztuje dwieście pięćdziesiąt tysięcy, chciałam dać wszystko gotówką i odczepić się od długów, płatności, procentów i kłopotów. Te łobuzy ofiarowują mi tylko sto jako przedpłatę. Co to znaczy dzisiaj sto tysięcy, niedługo policjant w Nowym Jorku będzie tyle przynosił do domu...

– Nie rozumiem, Olgo Andriejewna, dlaczego się pani złości i denerwuje. Trzeba im było pokazać drzwi. Próbują szczęścia, a nuż chwyci...

– Wiesz, chętnie bym ich psami poszczuła, ale...

– Ale, co?

– Jestem zdesperowana sytuacją w businessie pana Kotoffa. Po krótkim okresie moich rządów interes gwałtownie traci reputację, do zespołu zakrada się anarchia, złodzieje buszują w lodówkach, pacjenci chorują z braku należytej opieki. Będę czekała, aż mi stan odbierze licencję? Wtedy cały wysiłek pana Kotoffa nie będzie wart przysłowiowego funta kłaków, mówiąc ordynarnie. Administrator, najlepszy pod słońcem, nie zastąpi ręki właściciela. Pan Kotoff często powtarzał, że business w tym kraju nie jest niczym więcej i niczym mniej niż odbiciem charakteru właściciela. ...A ja jestem nieprzygotowana do tej roli, naiwna, nie doksztalcona, podstarzała, ślepa na jedno oko, kulawa na jedną nogę, mam artretyzm w kręgach między łopatkami, a nade wszystko, powiem ci szczerze, brak mi entuzjazmu, nie mam najmniejszej chęci kierowania czymkolwiek, poza moim własnym czasem i upodobaniami... Reszta jest mi zwyczajnie obciążeniem... i dlatego to mnie irytuje, drażni, zniechęca jeszcze bardziej, postarza, ciągnie mój nos w dół.

Zjadła kanapkę, wyszła na chwilę. Słyszałam szumiącą wodę w łazience. Długo nie wracała. Gdy ją zobaczyłem, miała poprawiony makijaż i przeczesane włosy. Usiadła wygodnie w fotelu, poprosiła o następną lampkę wina i kanapkę. Przyniosłem nowe z kuchni.

– Wiesz – powiedziała mi jakby z nagłą ulgą – ja ten kram chyba sprzedam.

– Za pół darmo, Jezus Maria! – krzyknąłem.

– To zależy, jak na to spojrzeć. Dają połowę ceny, którą chciałam, to nie znaczy, że moja cena jest właściwa, prawdopodobnie jest nieco zawyżona, ale... tak Bogiem a prawdą, ja wcale nie potrzebuję więcej pieniędzy. Procenty z akcji mnie utrzymują przy życiu z psami, tobą, samochodem, tą ogromną willą, proszonymi lunchami. Kondominium nie muszę kupować za gotówkę, część pożyczki z interesu pana Kotoffa przeleję każdego miesiąca na konto budowniczego w Miami, adwokat załatwi to bez trudności. Połowa całego majątku i tak jest przeznaczona jako dar dla amerykańskich baletów. Oni najgłośniej będą płakać. Oni nie mają z czego żyć, ja mam, dzięki Bogu...

– Dlaczego aż połowa?

– Mój mąż dobrze wiedział, że po jego śmierci nie będę potrzebowała więcej pieniędzy, jestem wystarczająco zabezpieczona, wiedział również, że mi brakuje ambicji do kreowania się na prowincjonalnego tytana interesu, domyślał się, że gdy go zabraknie, natychmiast sprzedam, co on zbudował swoją wiedzą, ambicją i zdolnościami. Oboje kochaliśmy balet jak swoje dziecko, a dzieci nie mamy, więc uradziliśmy, że co miałyby stanowić udział naszego dziecka w majątku, zapiszemy baletowi.

– Teraz rozumiem, dlaczego te panie z baletu tak gorąco całowały panią prawie że po rękach...

– No widzisz, robisz postępy, zaczynasz rozumieć prawdziwy motyw ludzkich czułości. Wszyscy lepią się do zielonych papierków.

– Czy pan Kotoff byłby zadowolony z takiej decyzji..?

– Właśnie o tym myślałam, urzędując przed chwilą w łazience. Mąż zapytałby, czy chcę sprzedać, czy nie. Odpowiedziałabym, że tak. Wtedy on powiedziałby mi: „to sprzedaj”. Zdawało mi się, że z nim rozmawiałam. Odnoszę wrażenie, że mi poradził, bym sprzedawała mimo niskiej ceny.

– Wygląda na to, że ci dwaj oszuści, jak ich pani ochrzciła, załatwili sprawę.

– Nie powiedziałam im: „tak”. Zostawiłam ich w niepewności. Ale czuję, że jutro zadzwonię i powiem im: „dajcie mi kontrakt”.

– Znaczący, pora mi pakować walizkę, wolniutko, lecz zdecydowanie.

– Nie denerwuj się, powiedziałam, że nie zostawię cię samego na ulicy z niedoleczonym żołądkiem i bez środków do życia. Wiesz przecież, że ja potrzebuję kogoś w Miami, kto by mnie woził samochodem, załatwiał sprawunki, pilnował mi psów, dbał o zakupy, korespondencję... Mogłabym ci zaoferować te same warunki na Florydzie, co tutaj w Tarrytown... gdybyś zechciał się przenieść i gdybyś zechciał nadal współpracować z podstarzałą wdową, która straciła cel w życiu... Pomówimy o tym przy lepszej okazji.

Najpierw muszę pozbyć się interesu, uwolnić ręce i umeblować się na Key Biscayne. W międzyczasie będziesz pilnował administratorki, przez szereg miesięcy, zanim wszystko nie będzie gotowe do zamknięcia całej transakcji.

– Administratorka ma pecha, nie zdąży się przepracować.

– Nie dam jej zrobić krzywdy, dostanie potem trzymiesięczną odprawę, a może nowy właściciel zechce ją zatrzymać? Jeśli będzie dobra, wydajna, obiecująca, dlaczego mieliby ją wyrzucać?

– Mogą sami potrzebować tych pieniędzy dla swojej rodziny.

– Wtedy dam jej odprawę, jak ci powiedziałam, z pustymi rękoma nie odejdzie, my, Rosjanie, jesteśmy honorowi, cokolwiek byś o nas nie powiedział.

– Tak, Olgo Andriejewna, co zrobimy z tym pięknym domem..?

– Pójdzie pod nóż. Znowu jacyś oszuści z biur nieruchomości zarobią pieniądze. Po sprzedaniu interesu nie będzie mi ta ogromna willa do niczego potrzebna. Wiesz, gdy mój mąż żył, nigdy nie miałam tego uczucia, że to ogromny dom, za duży jak na dwoje ludzi.

– Nie żal pani będzie Tarrytown..?

– Gdybyś zobaczył Key Biscayne... chłopcze. No i... nie można w życiu równocześnie leżeć w dwóch łóżkach. Albo tamto słońce, albo tutejsze wiatry.

– Ta rzeka opodal domu przypomina mi Newę.

– Ale ja nie piszę poezji... aczkolwiek lubiłam czytać. Do dziś pamiętam to i owo z Lermontowa, nawet twojego Mickiewicza pamiętam tłumaczonego na rosyjski. „Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu”. Czy to z jego sonetów?

– Z „Sonetów Krymskich”.

– Teraz zrobisz coś dla mnie: najpierw przynieś mi nową butelkę wina, patrz, by ten sam rocznik, Chateau La Tour, następnie zmów mi jakiś wiersz – tak się wyraziła, abym jej „zmówił wierszyk” niczym wieczorną modlitwę, coś jakby „ojcze nasz” przed spaniem.

Przyniosłem wino, otworzyłem, czekaliśmy, by odetchnęło.

Później wszystko zdarzyło się jak w powtórzonym filmie, złym, powtórzonym filmie. Olga Andriejewna upiła się drugą butelką wina. Pomogłem jej zawędrować do łazienki, zwrócić, co się jeszcze dało i nie przeniknęło do krwi. Ułożyłem ją w sypialni na łóżku i zgasilem światła. Wtedy zadarła koszulę, wyprostowała i rozłożyła nogi, ukazując krocze z gęstym włosom jakby pulchne, pełne, spragnione w całej swej rubensowskiej wyuzdanej grzeszności. Niczym zahipnotyzowany, ukląknęłem przy jej nogach i zanurzyłem dłoń w kroczu, Olga krzyknęła nabrzmiałym głosem jak w półśnie, odwróciłem ją na brzuch, szybko spuściłem spodnie i spiesząc się niczym jakiś szczeniak gwałciłem jej ciepłe, miękkie i rozpachnione ciało,

prędko, aż do zadyszki. Wstałem potem i zziębnięty podszedłem do okna. Otworzyłem, bo mi było gorąco. Zawiało wilgocią i chłodem. Szum wiatru tłumił odgłos przewalającego się pociągu nad brzegiem Hudsonu.

Usłyszałem z tyłu głos Olgi Andriejewny. Trzeźwiała, bo La Tour, czerwone wino spod Bordeaux, to nie calvados, prędko ścina, ale także szybko paruje.

– Powiesz mi ten wiersz..?

– Nie.

W rogu sypialni wisiała jako dekoracja stara harmonia z wczesnych lat dwudziestych, może jeszcze starsza, jedna z tych, jakich używano na Białorusi i Ukrainie. Wziąłem ją do ręki, otrzepałem z kurzu. Ciekaw byłem, czy wyda jakiś dźwięk, gdy ją napełnię powietrzem. Stare, żółkłe klawisze wydobyły ton nieco zachrypły, wyciszony, ale piękniejszy niż się spodziewałem. Chciało mi się zaśpiewać. Podszedłem znów do okna, naciągnąłem rozpadającą się, zabytkową harmonię i wtedy same mi się słowa przypomniały i rozśpiewałem się pełną piersią, jakbym samotnie hasał po borach, po łąkach...

„Proszczaj, radość moja!

Słysz, jedziesz bez mnie.

Znat' dotzen s tobój rozstał'sia,

Tebia mnie bolsze nie widat'.

Tiomnaja noczeńka, ech, da nie spitat'sia”¹

Olga Andriejewna usnęła wkrótce, wyplakawszy się do poduszki. Ja poszedłem do kuchni zaparzyć sobie herbaty. Pomyślałem, że nie mogę z Olgą wyjechać na Florydę, gdyż jakiegoś dnia, zanim zsunę się z jej pleców i naciągnę spodnie, wpięram uduszę ją, zacisnąwszy mocno palce na jej miękkiej szyi. Byłaby afera, niczym żywcem wycięta z kartek Fiodora Dostojewskiego.

Zostałem z moimi psami w nagłej ciszy, w mroku nocy słabo tylko rozjaśnionym jedną, skąpą lampą na skrzyżowaniu alei. Poczułem, że mi zimno. Przypomniałem sobie, że w telewizji zapowiadali pierwszy śnieg w tym sezonie. Psy zmarzły, bo dygotały, skóra im się zjeżyła, gdy pieszczołliwie dotknąłem ich grzbietów.

Zanim dotarłem do drzwi, wiatr przywiał pierwsze płatki mokrego śniegu. Topniał natychmiast na policzkach i czole, przyjemnie schładzał powieki. Wpuściłem psy do środka,

¹ *Żegnaj, moja radości!
Słysz, jedziesz beze mnie.
Znaczy, pora się rozstać,
Więcej cię nie zobaczę
Ciemna nocko, och...*

sam stanąłem w progu i obserwowałem to niebywałe uroczyste zjawisko: pierwszy najazd prawdziwej zimy z wirującymi płatkami śniegu. Chciałem je polizać, lecz były zbyt nieuchwytnie, tajały natychmiast w zetknięciu z gorącą skórą moich dłoni.

Po południu przywiozłem Olgę Andriejewną do domu. W samochodzie powiedziała mi, że wreszcie najęła administratorkę.

– Przyjęłam ją na rok. Nawet gdybym wcześniej sprzedała interes, nowy właściciel będzie potrzebował na kilka miesięcy osoby dobrze zorientowanej, na okres przejściowy. Gdyby się cokolwiek stało i nie sprzedałabym szpitaliku, przedłużymy umowę na następny rok, z podwyżką około dwudziestu procent. Teraz kolej na ciebie. Czy będziesz tu pilnował i przyjmiesz posadę, którą nazwiemy stanowiskiem konsultanta, czy... wyjeżdżasz ze mną na Florydę? Ja pakuję moje rzeczy natychmiast, gdy tę dziewczynę będę mogła samą zostawić. A wydaje mi się, że nawet gdybym odleciała dziś wieczór, ona by nie dała sobie w kaszę dmuchać. Bystro jej z oczu patrzy, nawet obawiałabym się, że może zbyt bystro, no...

– Nie myślę, bym jechał na Florydę.

Nie odpowiedziała, nie skwitowała mojej uwagi najmniejszym słowem lub gestem. W domu zrobiłem jej kolację i podałem do stołu. Zażądała butelki burgunda z piwnicy. Przyniosłem, otworzyłem i napełniłem kryształowy pucharek.

– Może być, dobre młode wino z okolic Cote d'Or. Idź sobie na górę.

– Pani lubi wino, Olgo Andriejewna...

– Gdy żył mój mąż, wypijaliśmy butelkę we dwoje do kolacji, nigdy nam nie szkodziło, teraz wypijam sama i to mi najwyraźniej nie służy, jak sam wiesz.

– Niczego nie zauważyłem, Olgo Andriejewna.

– Tobie się coś stało dzisiaj, rozmawiasz ze mną jak swój własny starszy brat, co spędził połowę życia w Carskom Selje.

– W mojej rodzinie nie było arystokratów, ale spędziłem swoje lata w Leningradzie, to miasto jest arystokratą, samo w sobie na przekór czasom i wszelkim ustrojom, to się udziela, szczególnie poetom i wykładowcom Wergiliusza.

– Co ty będziesz robił, gdy ja wreszcie sprzedam ten interes pana Kotoffa?

– Prawdopodobnie będę pisał wiersze, w końcu jest to jedyne zajęcie, które mi sprawia niekłamaną przyjemność.

– Za czyje pieniądze?

– To jest bardzo istotne pytanie. Prawdopodobnie za swoje. Dobranoc, Olgo Andriejewna.

Wyszedłem do kuchni, parzyłem sobie herbatę. Czekaając, aż się woda w czajniku zagotuje, właśnie w tej chwili, moje niejasne i niepewne przeświadczenie, że tak daleko żyć nie mogę, bo

mi życie cieknie jak z ordynarnie stłuczonego garczka, przemieniło się w wyraźne postanowienie. Nareszcie po tylu miesiącach, jeśli nie latach, stojąc w kuchni przed czajnikiem z gotującą się wodą, wiedziałem na pewno, że mogę spojrzeć na siebie niczym starszy brat, jak wyraziła się Olga. Wtedy właśnie pomyślałem, że zrobię coś wreszcie na skalę mi właściwą i po prostu... stanę się sobą. Z dziesięcioleciem, które mi przybyło tego popołudnia i wieczora, i które naprawdę czułem w sobie niemal fizycznie, jak zbiór przeżytych doświadczeń i jak prawdziwy ucisk czasu na myśli i na organizm, nagle... byłem po prostu starszy, samotny, dojrzały poeta na obczyźnie, choć między dobrymi ludźmi, omal w przedśmionku ziemskiego raj. Nalewając herbatę do szklanki ze srebrnym uchwytem, powiedziałem do siebie „nareszcie dorosłem”. Wiedziałem, co chcę zrobić i czułem, że muszę; już zaraz, natychmiast. Pomysł był prosty i zdumiałem się, że na niego nie wpadł wcześniej. Po prostu – jeszcze wczoraj nie miałem ani siły, ani ochoty, ani nie czułem potrzeby zrobienia czegokolwiek. Ale uświadomiłem sobie w końcu, jak bardzo jestem samotnym, przedwcześnie starzejącym się osobnikiem rasy przeznaczonej na wymarcie. Wcale nie chciałem umierać, pragnąłem żyć... tylko inaczej niż do wczoraj, w zgodzie ze sobą i swoją duszą, którą odczuwałem jak coś mieszkającego we mnie na prawach lokatora. Nie mogę i nie chciałbym się z nią rozstawać, muszę jej dorównać.

Przez chwilę wydało mi się, że uraziłem Olgę swoją cierpką odpowiedzią... Bo gdybym cokolwiek wytłumaczył, że nie chcę zaczynać znowu czegoś w moim życiu od samego początku w zupełnie nowym mieście, daleko gdzieś w tropikach, wśród palm, papug, krokodyli, insektów. Bóg wie jeszcze czego, trudno mi nawet było sobie wyobrazić, gdyż nigdy nie zawiąłem w tropiki choćby na kilka godzin w tym moim żeglowaniu przez życie bez należytego steru. Chciałbym jej powiedzieć, że te wille i domki, rozłożone wśród zieloności na stokach łagodnych wzgórz, przekrojonych zdecydowaną obecnością potężnej rzeki, to wszystko, co się składa na pojęcie Tarrytown, spełnia moje marzenia i zarazem mieści całą moją wyobraźnię na temat biblijnego raj. Dla mnie raj musi składać się z czterech pór roku i przez mój raj musi toczyć się majestatyczna rzeka, nad którą latają mewy i rybitwy, i musi mi pachnieć zbutwiałą trawą i wilgocią, ciągnącą od brzegów. Chciałbym w moim raj oglądać obłoki obrzękłe od majowych deszczyków, chcę widzieć zboże rosnące i dojrzałe, i pragnę brodzić po kostki zanurzony w żółkłych, zeschniętych liściach jesieni; chciałbym mieć i zachować to wszystko, co jest poecie niezbędne do pisania wierszy. Tak się nauczyłem je pisać, w takim anturazie, i nie myślę, bym się na stare lata przeistoczył w gorącego Zulu z upalnych tropików. Chciałbym Oldze to wszystko powiedzieć, zasługiwała po stokroć na to całe moje słowiańskie gadulstwo wykolejonej duszy.

Wróciłem na górkę do mych pokoików. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Wyciągnąłem się na łóżku, lecz tylko przez moment. Usiadłem na wprost okienka z widokiem na Hudson. Rzeki nie można było dostrzec poprzez ciemność wieczoru, zadymkę... Ciasno mi było i jakby duszno. Czułem, że jeśli zostanę tu na noc, mogę się rozchorować. Zszedłem na dół. Olga Andriejewna kończyła właśnie resztę burgunda. Zapytałem, czy mogę wejść. Ucieszyła się.

– Chciałem panią, Olgo Andriejewna, przeprosić.

– Nie kojarzę, za co mnie przepraszasz.

– Bardzo cierpko skwitowałem pani ofertę wyjazdu na Florydę.

– Chcesz zmienić zdanie?

– Tego nie powiedziałem. Chcę pani szczerze, jak umiem, podziękować za troskę i ciotczyną wręcz opiekę. Moja matka, gdyby żyła, byłaby pani bardzo wdzięczna... ja także jestem; tylko nie powiedziałem tego dziś w samochodzie i za to przepraszam.

– Thres charmant, mon cousin.

– Madame Kotoff, życzę pani dobrej nocy.

Włożyłem płaszcz i wyszedłem do budki telefonicznej. Płatki śniegu przemieniły się w mokry, marznący deszcz.

Malutkie sopleki, niczym igły kłuły w policzek, gdy wiatr je nanosił z ukosa, wiejąc od rzeki. Postawiłem kołnierz. Telefonowałem do Koszer-Damy.

– Wiem, że pani późno chodzi spać, dlatego dzwonię mimo złej pory...

– Ja jeszcze nie śpię, czy stało się coś Oldze?

– Raczej mnie...

– Znowu zachorowałeś?

– Wręcz odwrotnie. Dorosłem. Właśnie w tej sprawie musimy się pilnie spotkać. Jutro rano będę na lotnisku, a potem chciałbym koniecznie usiąść z panią w biurze lub na osobności. Chcę wciągnąć panią w aferę finansową.

– To brzmi obiecująco. Przyjeżdżaj.

Aby nas sprzedawcy nie podsłuchiwali, zaprosiła mnie na górę, do swojego mieszkanka. Z podstarzałego fotela ze sfatygowanymi sprężynami, które odczuwałem na pośladkach – widziałem przez okno cały placyk z niewielkim ruchem samochodowym. W głębi wieża kościelna przypominała ludziom, że Bóg istnieje.

– Chcę kupić majątek pana Kotoffa: szpitalik, dworek w Philipse Manor, cadillaca i dwa psy.

Spojrzała na mnie bez specjalnego zdziwienia. Co sobie pomyślała, nie wiem, gdyż była

zawsze, od kiedy ją znałem, całkiem dobrą aktorką na zawołanie. Robiła wrażenie, jakby się tym zbytnio nie przejęła.

– Tak, no i co..?

– Bez pośrednika tego nie załatwię, chciałbym więc panią wciągnąć do tego spisku.

– Czy ty masz jakieś pieniądze?

– Na adwokata.

– Słuchaj, po co ci to wszystko..?

– Przyzwyczailem się do Tarrytown, chciałbym tam kiedyś po latach, dłuższych czy krótszych, złożyć swoje członki do grobu. Uważam, że to jest świetne miejsce do życia i umierania, nie spotkałem drugiego takiego na ziemi. Wydaje mi się, że świętej pamięci pan Kotoff zasługuje na to, by porządny człowiek wszedł w jego buty, które zostawił, a nie jakaś szumowina.

– Skąd możesz być pewien, że mu teraz na tym zależy?

– Nie jestem, ale przypuszczam.

– Szpitalik da ci pieniądze na rachunki, żywność i zachcianki, a na starsze lata zrobi cię milionerem. Ale dworek jest równie stary, co zaniedbany, ogromny, skoro nie masz licznej rodziny... cadillac także się już przechodził, ...do czego ci są potrzebne psy?

– Do domu się przyzwyczailem, poza tym bez tego dworku będzie nam trudno uzbierać jakieś pieniądze dla Olgi Andriejewny, mój plan wyłożę za chwileczkę, w cadillacu dobrze się czuję, a psy polubiłem, dlatego chcę nabyć to wszystko jako komplet.

– To interesujące. Kładź swoje plany na stół. Chcesz herbaty?

– Dziękuję, nie chcę niczego, proszę mi załatwić tę transakcję.

– To jest to, czego pragniesz, jakby zabawki jakiejś..? Opowiedziałem gospodyni krótko, lecz bez żadnych niedomówień, dlaczego Olga Andriejewna zdecydowała się sprzedać swój majątek, osiedlić się w Miami na Key Biscayne.

– Czy ona znowu zaczęła popijać? – spytała.

Nie odpowiedziałem, dopiero po chwili zauważyłem ze zdziwieniem:

– Co znaczy: „znowu”?

– Może nie powinnam wspominać. Przed laty Olga lubiła sobie każdego wieczoru dogodzić paru szklaneczkami. Mąż bardzo się z tego powodu martwił, wyjeżdżali do wód i kurortów, aby ją odzwyczaić, wciągając w rygor sanatoryjny, wiem, że kompletnie to zarzuciła po jakimś czasie, prawdopodobnie szkodziło jej tu i ówdzie. Bałam się, że po śmierci Kotoffa znowu się odezwie stara blizna na charakterze...

– Odnosiłem wrażenie, że oboje przepadali za dobrym obiadem z wykwinnym winem...

– Tak, ale gdy on kładł się spać, zwłaszcza po jego pierwszym ataku serca, kiedy się wywiązała choroba wieńcowa i lekarze doradzali mu dłuższe godziny odsypiania w łóżku, Olga lubiła wstać lub wcale się nie kłaść, zejść sobie na dół do piwniczki i zakropić czymś mocniejszym. Po co ja ci to mówię... strzępię swój jęzor na mojej przyjaciółce.

– Czy dawniej także mieli chłopca do samochodu, psów i zakupów..?

– Trzymali służącą, starą Rosjankę, o chłopcu nie słyszałam, dlaczego pytasz..?

– Tak sobie, wracajmy do rzeczy.

– Coś musiałeś wymyślić, skoro przyszedłeś mi kręcić głowę transakcją, nie mając grosza przy duszy.

– Zgodziła się przyjąć od tych dwu szubrawców, jak ich sama określiła, połowę ceny!

– No, dobrze. Czy ty myślisz, że potrafisz prowadzić szpitalik dla starców..? – powiedziała to raczej z pretensją niż jako zwyczajne pytanie.

Wykonałem rękoma bliżej nieokreślony ruch:

– I tak, i nie. Tak, bo lepiej to zrobię niż Olga Andriejewna, nie, bo się na tym prawie że nie znam. Kupię więc szpitalik z fachowcem zatrudnionym od jakiegoś czasu. Poza tym wydaje mi się, że gdybym nie był, kim jestem, zostałbym księdzem, popem, może nawet biskupem, czuję w sobie złoża nieprzebranej cierpliwości, dzielenie ludzkich nieszczęść nie jest mi obce od czasów, gdy tylko siebie pamiętam. Domyślam się, że wiem, co to bieda i ból. Resztę... reszty się nauczę, proszę pani...

– Rozmawiałam właśnie z moim nieboszczykiem mężem ja z nim często gawędzę. Pytałam go, czy mam cię wyśmiać, czy zawracać sobie głowę...

– No, i co powiedział?

– Żebym sama zdecydowała.

– I jaka jest pani opinia?

– Szukasz opinii, czy pomocy?

– Może źle się wyraziłem, widzi pani, jeśli mnie pani teraz spuści ze schodów i każe po mnie pozamiatać, tamta para oszustów sprzeda majątek pana Kotoffa byle komu, a nam przypadnie okazja do zrobienia czegoś z niczego. To przecież takie amerykańskie...

– Ty, ty, najpierw naucz się mówić w tym języku, potem będziesz mnie patriotycznie uświadamiał. Ledwie postawił nogę na tej ziemi, już mi senatora udaje.

– Nie chciałem pani urazić.

– Wcale mnie nie uraziłeś. Wiesz, powiem ci szczerze. Wydaje mi się, że ja ci ten majątek sprzedam, mam tylko wątpliwości, czy ty będziesz wiedział, co z tym dalej począć. ...No, ale... jeśli się przewrócisz, Olga Andriejewna odzyska tytuły własności i sprzedamy to jeszcze

raz komuś innemu. Wy tłumaczę jej, że nie ryzykuje niczego więcej z tobą niż z każdym kupcem, przyproszonym przez tamtejsze biura pośrednictwa.

– Zapomniałem powiedzieć, że ukrywam pewną niespodziankę dla Olgi Andriejewny, powinna ją zachęcić do skorzystania z mojej oferty. Otóż, w tym dworku znajduje się pokój, raczej całe niezależne studio z łazienką i tarasem dla gości. Oglądałem to gruntownie, z tarasu można by opuścić schodki do ogrodu i naokoło domu prowadziłyby oddzielne wejście. Ten salonik gościnnie zobowiązuję się trzymać wyłącznie do dyspozycji Olgi Andriejewny, bez wynagrodzenia, jak długo ja będę właścicielem i jak długo Olga będzie żyła i życzyła sobie. Mieszkając w Miami, dobrze jest pamiętać, że tu w Metropolii kawałek dawnego domu własnego i męża stoi zawsze otworem, bez proszenia, bez łaski, bez anonsowania się. Dam jej klucz i będzie mogła przyjeżdżać, mieszkać, używać bez mej zgody, ile tylko zechce, kiedy tylko zechce.

– Chytry z ciebie Polaczek.

– Ja to daję po dobroci, chociaż... chytrość to także cecha klechy z powołania.

– Maszeruj do banku. Przywieziesz mi czek autoryzowany na sumę tysiąca dolarów – zamyśliła się i po chwili dodała – przynieś mi go na dwa tysiące. Bez depozytu nie mam co zaczynać rozmów z Olgą. Widzisz, to jest wojna psychologiczna, nawet z przyjaciółmi, powiedziałabym, że im bliższy przyjaciel, tym bardziej wojna jest pełna nerwów. Widok czeku i wypełnionych formularzy z nagłówkami robi większe wrażenie niżeli przypuszczasz. Nie, żeby to było ważne, to wszystko jest funta kłaków warte, cała ta pisanina pośrednika. Wiesz, co mój mąż zwykle mawiał, gdy we dwoje prowadziliśmy nasze biuro? Kładł palec na ustach i niczym dzieciom w przedszkolu pokazywał klientom, by siedzieli cicho jak trusie, bo „pracownik może się pomylić, nie daj Boże”. To nam pozwoliło kontrolować kupców i ciszę w biurze, niemal uroczystą, przez te nudne i żmudne chwile pisania. Wychodzili zwykle po takiej mszy odprawionej przez męża w poczuciu, że już po wszystkim, po kontrakcie, a może i zamknięciu. Nic się nie wydarzyło, po prostu, przyjęliśmy zadatek. Stary Kotoff często powtarzał; zanim umarł, że prezent nie jest istotny, lecz sposób jego zapakowania. My, pośrednicy nic innego nie robimy, jak tylko pakujemy ludziom prezenty, które sami sobie kupili. Ale gdybyś ich zapytał, kto im to sprawił, powiedzą: „pośrednik”. To jest sztuka artystyczna...

Pojechałem więc do banku po pieniądze. Podjąłem o tysiąc więcej, w gotówce dla siebie. Z banku miałem niedaleko do modnego butique z włoskimi rzeczami tylko dla gentlemanów. Kupiłem za siedemset dolarów świetny garnitur zrobiony przez Oscara De la-Renta, stosowny jedwabny krawat, no i buty – włoskie arcydzieło sztuki rzemieślniczej za przeszło sto

pięćdziesiąt zieleńców. Wybrałem także dwie koszule, jedną popołudniową i jedną na wieczorowe okazje. Szalik francuski, świetnie harmonizujący z całością. Zapłaciłem za to wszystko gotówką, ku zdziwieniu personelu. Obiecałem krawcowi osobny napiwek, więc powiedział, że będzie gotów z nogawkami spodni w niecałą godzinę.

W tym czasie odwoziłem czek do biura. Formularze oferty już czekały do podpisania.

– Rozmawiałam z Olgą właśnie przed chwileczką. Umówiliśmy się dziś na wieczorną herbatę. Chciałabym, abyś się w pobliżu kręcił, możesz być potrzebny. Ona musi mi to dzisiaj podpisać i jeszcze tego wieczora zadzwonić do adwokata, że sprzedała, boję się, że w przeciwnym razie może do rana ochłonąć. Taki wystudzony przez noc sprzedawca, to najgorsze лихо dla pośrednika, marudzi niczym chore dziecko, wszystko mu źle, niedobrze...

– Czy mam panią zawieźć do Tarrytown i przywieźć z powrotem?

– O, nie, mój drogi, może ja liczę przeszło sto lat, ale sama prowadzę swoje interesy i mój samochód. No, niech ci się szczęści dziś wieczorem – podała mi rękę. – Wiesz – wtrąciła jakby w zdumieniu – że ja ci dobrze życzę.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem. Wywarło to ogromne wrażenie na sprzedawcach.

– Wiem – odpowiedziałem – dlatego tu jestem.

– Nie musisz mi zalewać, nie jestem łasa na komplementy, przyszedłeś, bo byłeś pewien, że ja potrafię załatwić ci transakcję z Olgą, skoro przyjaźnimy się od przeszło trzydziestu lat...

– Ma pani rację, to szczerą prawdą, ale że ufam pani, to następna sprawa. Czy wpisała pani psy do oferty, bo nie sprawdziłem, podpisując.

– Zapomniałam. Nalegasz? Potrzebna ci para jamników..?

– Psy się do mnie przyzwyczyły, nie chciałbym im zrobić święstwa.

Nanieśliśmy odpowiednią poprawkę. Spieszyłem się po odbiór garnitur, stamtąd ruszyłem co prędzej, by zdążyć na piątą, nie chciałem, aby Olga Andriejewna czekała na mnie przed szpitalikiem. Przez moment pomyślałem sobie, że może zatelefonuję i powiem, że samochód się zepsuł, aby raczej skorzystała z taksówki. Pojechałbym do Manhattanu, do katedry, do sklepów z książkami, wszedłbym potem do baru w Pierre Hotel albo do Plaza, gdzie jeszcze nigdy nie byłem, gdyż zdawało mi się, że za drogo dla mnie. Jednak zmieniłem zdanie i gonilem co sił i zręczności autostradą w stronę Westchester, by zdążyć po Olgę Andriejewnę. Skoro płaci mi każdego tygodnia, nie mogę jej odsyłać do taksówki, a samemu sączyć białe wino w snobistycznym hotelu tylko dlatego, że mi taki okres w życiu naszedł, że postanowiłem zostać hrabią na dorobkiewiczowskich śmieciach.

Wieczorem przebrałem się w nowy garnitur, krawat i koszulę. Wyszedłem z domu zanim pośredniczka zdążyła wsadzić tu swój nos. Czytałem w „Time'sie” o restauracji, której sława

wybiegała poza najbliższą okolicę. W miejscu, gdzie kiedyś Mark Twain chciał się osiedlić na letnie miesiące i kupił trochę placu, stała teraz restauracja Tappan Hill, z pięknym widokiem zimą i jesienią, gdy gałęzie z liśćmi nie przesłaniały bogato zalesionych, łagodnych wzgórz po przeciwnej stronie Hudsonu. Zdecydowałem, że pojedę tam na kolację. Kelner zaprosił mnie do stolika przy wielkim oknie wyglądającym na pergolę i pobliskie sosny kanadyjskie. Tuż za oknem harcowała wiewiórka. Żółtawe światła intymnie stonowane czyniły wnętrze bardzo sprzyjające do rozmyślań. Mimo zmierzchu, drzewa rysowały się na tle nieba, rozjaśnionego odbiciami lamp całej miejscowości u stóp restauracji.

Zamówiłem małą butelkę Rothschilda sprzed pięciu lat i przeglądałem kartę. Skosztowałem wino, było prawie tak wyśmienite jak Chateau la Tour. Powąchałem, pachniało sadami z ciepłych okolic. Nigdy w życiu nie byłem we Włoszech, we Francji, obiecałem sobie, że w przyszłym roku, jeśli zdrowie pozwoli, wybiorę się w połowie września, gdy dojrzeją winogrona. Nagle poczułem się nieswojo, zdawało mi się, że pocę się pod pachami. Wiedziałem już, że mi ta kolacja zaszkodzi. Powiedziałem kelnerowi, że zmieniłem zdanie, wypilem jeszcze jedną lampkę wina, zapłaciłem szybko rachunek i wyszedłem do samochodu. Walet przyprowadził mojego cadillaca przed front lokalu, otworzył drzwiczki, dałem mu dwie jedyńki. Wybiegł za mną metre de restaurante, dopytywał, czym się zraziłem. Wy tłumaczyłem mu, że mi się tu bardzo podobało i wkrótce przyjdę na obiad, lecz dzisiaj nagle źle się poczułem. Spojrzał na mnie ciepło i z sympatią.

– Mam nadzieję, że nic groźnego, panie...

– Zwyczajny wrzód żołądka, niedawno zaleczony. Pomógł mi wsiąść do samochodu i zamknął za mną drzwiczki. Zjeżdżałem krętymi alejami, stromo spadającymi ku głównej ulicy. Czułem ssący głód po tych dwóch lampkach wina. Zatrzymałem się na Broadwayu, kupiłem hamburgera u McDonalda. Pojechałem z torebką do parku nad Hudsonem, po drodze zabierając z domu psy. Usiadłem w ciemnym, pustym parku, rozwinąłem z opakowań gorącą bułkę z wołowiną, cebulą i pomidorowym sosem. Jadłem ze smakiem, a głód nie ustawał. Musiałem się także podzielić z psami. Przełykając hamburgera, zapytałem siebie w pewnej chwili, po co mi to wszystko... ale czułem zaraz, że skoro to już się stało, teraz nie potrafiłbym bez tego żyć.

Zawołałem na psy, krzątające się zwawo w pobliżu. Poklepałem samca po zadku i powiedziałem:

– Ty będziesz Kniazem. – Zaraz potem przygarnąłem sukę do mego biodra i ochrzciłem: – A ty budzisz Cariewna.

Rozmigotane światła Nyack, odbite fantazyjnymi smugami w tafli rzecznej, znowu

przypominały mi baśniowego motyla.

W rok później zamknęliśmy nareszcie transakcję. Aż tyle czasu potrzebowali stanowi urzędnicy, by poprzesuwać papiery z jednej półki na drugą. Czekać przez te wszystkie długie miesiące, sam dorastałem do nowej roli. Jakby na podkreślenie, że wszyscy jednakowo się starzejemy i lata i miesiące robią swoje w ludzkich życiorysach, byłem świadkiem ważnych zdarzeń wśród najbliższych moim myślom. Z gazet i telewizji dowiedziałem się, że Irina została szczęśliwą mamą. Chciałem poznać szczegóły, więc zadzwoniłem na Florydę do Olgi Andriejewny. Powiedziała mi, że młoda mama jest w siódmym niebie, a dzieciak dorodny i zdrowy niczym syberyjski zwierzak. Najbardziej byłem ciekaw, czy Irina wraca na scenę. Zdawałem sobie sprawę, że najlepsze lata młodzieńczego wigoru i sprawności fizycznej ma już poza sobą. Ta wielomiesięczna przerwa z szokiem dla organizmu, bo na pewno rodzenie dziecka jest w zdrowiu baletnicy wstrząsem na skalę trzęsienia ziemi, mogłaby uziemić najbardziej wzniosłe dusze i orle osobowości. Ale Irina miała wrócić na scenę i to niebawem. Zawsze miałem przekonanie, że jest fenomenem o posturze drobnutkiej, filigranowej kobiety. Jej życie potwierdzało moje przeświadczenie. Byłem ciekaw, jaka ona będzie, po tej przerwie i z matczynym odczuciem. Jaka zjawi się na scenach? Jak dawniej – dziewczęca, zaczarowana nimfa z romantycznych baletów, czy nowa zupełnie Irina, której jeszcze nie znałem i nie mogłem sobie wyobrazić? Gdy tylko trafi na afisz, polecę czym prędzej, nawet gdyby rzeczywiście trzeba było lecieć za pomocą pilota, skrzydeł i pieniędzy na bilet lotniczy.

Więc wreszcie zatelefonowała moja pośredniczka. Rozpoznałem natychmiast jej głos, chociaż wydał mi się nieco inny niż zazwyczaj, był zwolniony i bez energii, którą zawsze ta niezmordowana kobieta zdawała się tryskać we wszystkie siedem dni tygodnia.

– Za kilka dni mamy zamknięcie transakcji. Zostały pewne sprawy do omówienia, między mną a tobą... skoro leżę w szpitalu, musisz przyjechać...

– Co się stało, coś poważnego..?

– Mój wiek jest poważny.

– Dlaczego pani wcześniej nie dała znaku życia, przyjechałbym..., od jak dawna pani w szpitalu?

– Słuchaj, leżenie w szpitalu to moja sprawa, to wyłącznie osobiste przeżycie, nikt za ciebie nie zniesie bólu i nikt za ciebie nie będzie umierał. Ja jeszcze się nie wyprowadzam z tego świata, po prostu nadużyłam zaufania bożego, traktowałam się ostatnio niczym dwudziestoletnia dziewczynka, a jestem staruchą przeszło stuletnią – ciągle powtarzała ten żart, przypomniałem sobie – więc mi się organizm zbuntował i powiedział „nie”. Teraz muszę

odleżeć. Przyjedź jutro, załatwimy sprawy, jutro będę miała pomoc, więc załatwimy wszystko szybciej, abyś miał czyste ręce, gdy pójdziesz na to zamknięcie transakcji.

Po odłożeniu słuchawki zastanowiłem się, co znaczyły te słowa. Spojrzałem na swoje dłonie, jakbym rzeczywiście coś na nich mógł wypatrzyć. Nie. Były czyste.

Nazajutrz jechałem do szpitala. Kupiłem bukiet pięknych gerberów i pudło z czekoladkami Perugina.

Gdy wchodziłem do pokoju, właśnie wynosiła się stamtąd fryzjerka. Moja pośredniczka, wpół siedząca z oczyma przymkniętymi, o białych policzkach mimo śladów makijażu, zdawała się znacznie starsza niż ją ostatnio widziałem. Nie odpowiedziała mi ani słowem na powitanie, lecz wskazała dłonią, bym przyciągnął sobie fotelik i usiadł tuż koło jej łóżka. Rozpakowałem kwiaty i spytałem salową o jakiś wazon. Położyłem czekoladki na stoliku obok. Znowu skinieniem głowy zdawała się wyrażać grzecznościową aprobatę.

– Jak się pani czuje, mógłbym w czymś pomóc..?

– Chwyciłam arytmie serca, bo hasałam jak dziewczynka, moje serce i moja arytmia, niczego nie dokazesz, nawet gdybyś był lekarzem. Czuję się dobrze jak na moje lata, ale jak ty..?

– Ja, chyba świetnie.

– Powinieneś się czuć fatalnie.

– Dlaczego..?

– Przygotowałam ci transakcję, jest gotowa do zamknięcia, zrobię z ciebie milionera, ku zdziwieniu wszystkich, twojemu najbardziej; ty w zamian postanowiłeś, za przeproszeniem, zerznąć tyłek starej pośredniczce, bo skoro stare pudło pomalutku się rozsypuje, to ją należy ogolić, jeśli się daje. Niepotrzebnie mieszkałeś w Leningradzie, bo wyziera ci dusza raczej wiejskiego sklepikarza, co lubi niedoważyć.

Zrobiło mi się gorąco i nieprzyjemne mdlenie łaskotało mnie w żołądek. Gdybym się tygodniami głowił, nie przeczułbym tego, co mnie tu czekało w szpitalnym pokoju. Przez moment zdawało mi się, że to mało stosowny żart starego człowieka, oni lubią złośliwe żarciki w niewygodnych sytuacjach.

– Za co mnie pani tak okłada kijami..?

– Naprawdę nie wiesz..?

– Daję słowo honoru.

– Powiedzmy. Nauczę cię wobec tego rozumu, którego nie doksztalčili rodzice. To nie moja robota, ale uczynię to dla ciebie. Pamiętasz, przyszedłeś dawno temu, przed rokiem, opowiedziałeś, co chcesz kupić, za ile i na jakich warunkach..?

– Jakby to było dziś...

– Słowem się wtedy nie odezwałam, chociaż powinnam była otworzyć drzwi i poprosić kogoś z moich chłopców-sprzedawców, by cię wystawił na chodnik. Ty, zamorskie byle co, śmiesz mnie zostawić tylko z komisowym? Zmilczałam, pomyślałam sobie, nie będziemy dzielić pieniędzy na nieistniejących transakcjach. Najpierw doprowadzę interes do końca, a wtedy zatańczymy. A teraz posłuchaj, co ci powie stara Żydówka, bo nikt inny w życiu ci tego nie wytłumaczy i nie nauczy, a bez tego żadnej kariery nie zrobisz. Zaoferowałeś mi komisowe, uważając, że to straszliwe pieniądze dla samotnej staruchy. Nie wiem, czy to dużo, czy mało. Wiem, że ja ci daję całą, gotową transakcję, robię z ciebie milionera. Co byś powiedział, gdybym zadzwoniła, że niestety, mogłam ci załatwić tylko pół transakcji? Powiedziałbyś, że zgłupiałam na starość, nie istnieje coś takiego jak połowa transakcji? Ale dla ciebie istnieje coś takiego jak połowa komisowego, połowa zapłaty za całą robotę. Synu, niepotrzebnie mieszkałeś w Leningradzie, chyba, że całe dzisiejsze pokolenie jest jak ty, psu na buty... Wracając do rzeczy... Gdybyś tu przyszedł i zapytał, czy raczyłabym w ogóle pomyśleć, by przyjąć taką powsinogę na swego partnera i kupić do spółki cały ten kram, to bym jeszcze zrozumiała i od razu ci mówię, że bym odmówiła. Nie lubię zadawać się z byle kim. Ale... potrzebujesz ludzkiej pomocy i czasami dajesz się nawet lubić, więc odesłałabym cię do kogoś, kto może zechciałby podać ci rękę i zaryzykować. Daję ci partnera, chcesz, bierz, nie, „praszczaj”.

Urwała, spojrzała na mnie i nagle szczerze, szeroko, głośno się roześmiała. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Wyjść z pokoju, przeprosić i pocałować w rękę, za pomocą magicznej sztuczki wymazać z pamięci całe dzisiejsze spotkanie..?

– Znaczą się... – przebąknąłem cichutko.

– Tak, czy nie?

– Załatwione, proszę pani. Jeśli coś wypadło nie tak jak trzeba, to nie z winy moich intencji. Miałem bardzo świetne intencje...

– Ja wiem, dusze poetów i nicponi zadrukowane są od spodu dobrymi intencjami. Piękne kwiaty mi przyniosłeś, dziękuję.

– Miałem nadzieję, że panią ucieszą.

– Judy – zawołała. – Judith!

– Jestem, ciociu – usłyszałem tuż za sobą.

Ktoś jeszcze był w pokoju, chociaż nikogo nie dostrzegłem, gdy tuż wchodziłem. Kurtyna, pomyślałem, pomieszczenie było oddzielone kolorową kotarą nieznanego mi przeznaczenia. Stamtąd właśnie usłyszałem: „jestem, ciociu”. Odwróciłem się. Zobaczyłem twarz młodej

kobiety i kędzior bujnych, czarnych włosów spadających na policzek.

– Judy, przynieś mi teczkę z papierami.

– Już daję, ciociu, proszę.

Spojrzałem na kobietę, gdy przemierzała pokój. Była szczupła, lecz nie chuda, prawie mojego wzrostu, nieco młodsza, gęste włosy opadały na szyję i ramiona. Oczy miała jakby zdziwione i nieco wilgotne, pod szerokimi brwiami, schodzącymi się prawie u nasady kształtnego nosa z wyraźnym wygarbieniem pośrodku. Podobała mi się, zwłaszcza, że spostrzegłem jej nogi; były zgrabne, długie, widocznie całe to młodsze ode mnie pokolenie urodziło się na długich nogach, niezależnie od położenia geograficznego i języka, którym się porozumiewało. Poczulem przyływ obleśnego gorąca na policzkach i spociłem się pod pachami; wiedziałem, że ta dziewczyna była niemym świadkiem całej naszej rozmowy z pośredniczką i chłosty, jaka mi została wymierzona cichymi słowami osłabłej, starej kobiety ze szpitalnego łóżka.

Przyniosła walizeczkę, otwierała mosiężne zamki, wyjęła plik żółtych kopert, wertowała, kładła to wszystko na stoliku przy łóżku.

Bez słowa podpisałem umowę partnerską z tym kędziorem czarnych włosów. Dostałem kopie, jak powiedziała, dla mojego adwokata.

– Judy wie co robić w czasie zamknięcia transakcji. Ja będę w łóżku czekała, gotowa do rozmów w razie potrzeby, przez telefon. Uważajcie na adwokatów, gotowi są spartolić każdą transakcję w ostatniej chwili, kiedy wydaje się, że wszystko zostało już załatwione. Poznałeś Judy w moim biurze..?

– Nie, pierwszy raz właśnie...

Wróciła oczyma do dziewczyny, wskazała palcem na mnie:

– To jest ta niedojda z Leningradu, com ci kiedyś opowiadała.

Zobaczyłem dłoń wyciągniętą w moją stronę. Ucisnąłem, była ciepła i miękka, o delikatnej, białej skórze z niebieskimi żyłkami, niczym rysunczki cienkim piórkiem. Wydało mi się, że ta dłoń jest spracowana od skrzypiec.

– Ale ciocia zrobiła ci pranie – usłyszałem.

– Nic mu nie zaszkodzi, gdybym czuła się silniejsza, jeszcze bym go wyprasowała. Dobrze to robi młodym ludziom, jeśli się ich czasami namydli i do pralki wpuści.

Chciałem zażartować, że to była najdroższa pralnia w moim życiu, ale bałem się, że to wypadnie raczej niezdarnie i moja pośredniczka może znowu stracić do mnie cierpliwość.

– Zawołaj salową, żeby mi wody przyniosła, wodę do picia, czystą bez żadnych dodatków. I zostawcie mnie samą, bo muszę teraz popracować nad moim steranym sercem.

W milczeniu wstałem, ucałowałem dłoń i wyszedłem na palcach, jakby kobieta już zasnęła. Zaczekałem na korytarzu na Judith.

– Czy jesteś muzykiem? – spytałem, aby podtrzymać rozmowę.

– Przeciwnie – zaśmiała się – jestem księgową, z dala od artystów. Ciocia mówiła, żeś z Leningradu...

– Jestem znowu z dala, w Wilnie się urodziłem i grzebałem w piachu, w Leningradzie dowiedziałem się co to głód i pierwsza miłość, w Gdańsku studiowałem, żeby było śmieszniej łacinę i wiersze Wergiliusza...

– Światowy człowiek z ciebie – ni to spostrzegła, ni zakpiła sobie. – Dlaczego pytam, bom ciekawa, gdzieś wyczytałam, że to najpiękniejsze miasto poza Włochami...

– Ale ja nigdy nie byłem we Włoszech.

– A znowu ktoś mi opowiadał, że do początku tego stulecia nie mieli żadnej kanalizacji, tylko epidemie dżumy przeplatane choleraami...

– To by się zgadzało, plagi kochały to miasto.

– Pytam, bo chcę pojechać na wycieczkę w przyszłym roku, są takie tury do Helsinek i Leningradu, bo wiesz, chciałabym raz jedyny zobaczyć balet Czajkowskiego na scenie tam, gdzie się począł.

– W końcu jesteś księgową czy baletnicą..? Poza tym, jesteśmy partnerami.

– Nie wiesz o tym, że matematycy pięknie grają na fortepianie, a księgowi biegają do opery albo na balety? Może nie wszyscy, ale ja przepadam.

– Świetnie, wobec tego pomożesz mi w sprawach baletowych.

– Tańczysz wieczorami, w tym szpitaliku? – znowu wtrąciła półdrwiąco.

– Zaraz po zamknięciu transakcji czeka mnie lunch z komitetem zaufania nowojorskiego baletu, który będzie dostawał połowę płatności hipotecznych. Taka była wola pana Kotoffa, którego majątek twoja ciocia pomaga nam kupić bez pieniędzy.

– Ciotka rozplywa się nad tobą, mówiła, że wymyśliłaś tak błyskotliwą transakcję...

– Część tych rozplywań dziś właśnie na mnie opadła, sama byłaś świadkiem.

– Och, nie przejmuj się, ciocia jest wspaniałą aktorką. Ale w duszy, najzacniejszym aniołem, jakiego spotkałam.

– Przyjemnie mi, że dzięki aniołowi mam współnika... ale ja także za nią przepadam. Czy pójdziesz ze mną na lunch? Chcę trochę potargować się z nimi. Dostaną wszystkie należne pieniądze zgodnie z zapisem pana Kotoffa, ale skoro ja będę wypisywał czek, chcę mieć coś do powiedzenia w tym balecie.

– Rozpędzasz się po krzesło w radzie zaufania..? – spytała nie bez uznania w głosie.

– Nie potrzebuję ich foteli, chciałbym jednak wymusić na nich przynajmniej raz na pewien czas wystawienie jakiegoś baletu słowiańskiego, boję się, że się na mnie obrażą.

– Dlaczego?

– Bo nie ma dobrych baletów słowiańskich...

– Nie bądź naiwny, zachowujesz się jak człowiek z innej planety. Chcesz, mogę z tobą pójść, ale ty jesteś bossem, pamiętaj, ty będziesz podpisywał czek, więc ty masz coś do powiedzenia, oni coś do wysłuchania.

– Właśnie boję się, że im tego nie potrafię wytłumaczyć, przynajmniej elegancką angielszczyzną.

– Dobrze, ja im to powiem, za ciebie, ale musisz pamiętać, że w tym kraju obowiązuje zasada, że kto płaci, ten pyszczy.

Podobało mi się. Powtórzyłem na głos i po cichu dodałem, że to raczej ona, Judy, powinna była kupić sobie interes pana Kotoffa. Z takim zaufaniem do siebie mogłaby zarządzać majątkiem, aż by niejednemu w pięty poszło. Umówiliśmy się, że ją odbiorę ze stacji w Tarrytown w dniu zamknięcia transakcji, gdyż Judy mieszkała na Manhattanie i nie posiadała samochodu.

Jadąc do domu, bardziej myślałem o spotkanej dziewczynie, aniżeli o nadciągających emocjach, które już na mnie czekały za kilka dni, mnie – pana na włościach po zmarłym Kotoffie.

Za ostatnie uratowane w portfelu dolary postanowiłem zjeść lunch w restauracji Tappan Hill, razem z Judy. Mieliśmy na to zaledwie parę kwadransów, później Olga Andriejewna przed swym odlotem na Florydę chciała na zebraniu pracowników przedstawić nowego właściciela.

Po drodze wstąpiliśmy do domu. Psy wypadły i jęły ujadać na Judy.

– Boże, jamniki! – zawołała i roześmiała się głośno.

– Ja ich nie wybierałem, ja je dziedziczę. Pozwól, że ci przedstawię, ten jest Kniazem, a tamta Cariewną.

Dziewczyna znowu zaśmiała się głośno, dźwięcznie, wypełniając tym śmiechem całe wnętrze cichego domu. Pokazałem jej salon, kuchnię, moje pokoiki na poddaszu, gościnne studio Olgi Andriejewny. Judy stała przez dłuższą chwilę przed portretem Kotoffa.

– Właścicielka tego nie zabiera..? – zdziwiła się.

– Obiecałem, że przeniosę do studio i zawsze ten portret będzie na nią czekał, ilekroć przyleci tu z Florydy, na stare śmieci. Wołała w ten sposób.

Dziewczyna weszła do kuchni, rozejrzała się, uchyliła drzwiczki lodówki.

– Czy karmiłeś psy? – spytała.

– Tak, ale powinniśmy wyjść na chwilę, aby się przewietrzyć.

– To je wyprowadź, a ja tymczasem trochę się odświeżę i przygotuję coś na lunch. Tu jest sporo jedzenia w lodówce. Przywieź chleb, bo nie mogę znaleźć i może trochę białego wina. Za wino zapłacisz trzy dziewięćdziesiąt dziewięć i za chleb sześćdziesiąt dziewięć centów. Zaoszczędzę ci czterdzieści pięć dolarów i trzydzieści osiem centów, jak na początek, zanim jeszcze nie obejrzałam twego majątku, widzisz, jak dobrze jest mieć księgową...? I nie szwendać się po restauracjach.

– Zwłaszcza, gdy się jest wykładowcą łaciny, który pisuje wiersze. Zaoszczędzimy i te trzy dziewięćdziesiąt dziewięć, bo w piwniczce są skarby pana Kotoffa, które nabyłem, czy raczej dostałem jako prezent na dodatek do cadillaca i psów. Zejdź na dół i wybierz, na co masz ochotę.

Gdy wróciłem z psami, przywożąc pieczywo, Judy właśnie otworzyła butelkę białego Medoc sprzed kilku lat.

– Ta piwnica jest chyba więcej warta niż twój przechodzony cadillac – powiedziała na powitanie. – Siadaj do stołu, bo wystygnie, zrobiłam rata tui...

– Co takiego?

– Siadaj, zobaczysz, posmakujesz, nazwa i pomysł prosto z Nicei, ale nic nadzwyczajnego. Tanie, kurze jajka, trochę papryki, bakłażanów, cebuli, czosnku, pieprzu i soli, boczku i sera, i dużo pomidorów, wymieszane na patelni, na ostrym ogniu, do tego powinno być „pół paryskiej”, mowa o cienkiej długiej bułce, dobrze spieczonej, lecz w Tarrytown pewnie tego nie dostaniesz.

Bardzo mi smakowało. Od pierwszej szklanki wina zaćmiło mi się w głowie, bo prawie nie jadłem od wczoraj. Usiadłem wygodniej, założyłem rękę na poręcz krzesła i patrzyłem przez okno w ogródek, gdzie dogorywały azalie zwiastując początek lata.

Psy poderwały się i podbiegły do drzwi. Usłyszałem głosy na ścieżce przed furtką. Adwokat przywiózł ze swego biura Olę Andriejewnę. Korzystała ze swego studia od kilku miesięcy, gdy tylko przerobiłem werandę, otwierając osobne wejście.

Zapukałem i spytałem, czy nie napiłaby się z nami wina przed zebraniem.

– A co to za dziewczyna urzęduje w kuchni? Słyszałam kobiecy głos.

– Dziś rano spotkała ją pani w biurze adwokackim. Moja nowa partnerka od tego wszystkiego, włącznie z psami.

Olga uśmiechnęła się kącikiem ust, na chwilę zdjęła okulary i przetarła szkła. Założyła je na powrót, spojrzała z ledwo dostrzegalnym uśmieszkiem, powiedziała jakby sama do siebie,

ale dobrze usłyszałem:

– Będiesz miał ciekawe życie pomiędzy Iriną a tą układną Żydóweczka...

– Czy napije się pani lampkę wina?

– Nie, dziękuję, chcę się położyć i odetchnąć po raz ostatni powietrzem z mego, z byłego mego ogrodu. Zapraszam cię na lampkę wina na lotnisku, przed odlotem samolotu. Mam nadzieję, że odwieziesz mnie na lotnisko, tym razem z grzeczności.

– Czy pani jest przykro, że to wszystko sprzedała, pozbyła się Tarrytown, bo ten sarkazm..?. – Zakończyłam pewną część mego życia, może całe moje życie się skończyło, teraz będę oczekiwała na dzwonek od Najwyższego, kiedy mnie zawezwie. Ale na to byłam i jestem przygotowana, nie, nie żał mi niczego, ani jednej chwili mi nie żał, a że mogłaby potrwać nieco dłużej, widzisz, dobrego nigdy nie jest człowiekowi za dużo, dlatego nigdy nie jest przygotowany na śmierć, jak ja nie byłam przygotowana na to, że zegar dobiegł końca dla pana Kotoffa. Kiedyś mój także stanie, źle musiałeś mnie zrozumieć, nie żałuję niczego i wyjeżdżam z uczuciem pewnej radości, że tyle było mi sądzone dobrego przeżyć tu, w Tarrytown... Zostaw mnie teraz samą.

Wróciłem do kuchni, usiadłem w milczeniu przed oknem, spoglądając na azalie.

– Trzeba je będzie dzisiaj jeszcze podlać – powiedziała Judy.

– Znasz się na ogrodnictwie? – spytałem.

– Nie ma Amerykanki, która by nie czuła się trochę ogrodniczką. Mój ojciec miał bardzo piękny dom w Rego Park, z różami, azaliami, do nas – do mnie i mego brata – należało podlewać je co dzień, a w letnie upały po kilka razy dziennie.

– Judy, niczego nie wiem o tobie, poza tym, że jesteś księgową i chcesz w przyszłym roku polecieć do Leningradu, by zobaczyć balet Czajkowskiego na scenie Kirowa.

– Czy to nie wszystko, czego ci potrzeba? – spojrzała na mnie wilgotnymi oczyma i zdawało mi się, że pyta naprawdę i wierzy w to pytanie z całą powagą dorosłego człowieka.

– Judy, czy masz męża i dzieci..?

– A dlaczego pytasz..?

– Przed chwilą Olga Andriejewna, była właścicielka tego kramu, któryśmy dziś kupili, wspomniała, że będę tu miał ciekawe życie. Nigdy nie miałem nudnego życia... chciałbym wiedzieć, z kim się będę teraz nudził lub zaciekawiał, jak ona to określiła.

– Mój narzeczony już od przeszło dwóch lat buduje kombinat w Indii, jest zastępcą głównego konstruktora i przyjeżdża do Nowego Jorku co roku na pięć dni. Nie myślisz, że to zwariowane życie?

– Zupełnie – przytaknąłem machinalnie. – Pora jechać na zebranie.

Spotkaliśmy się dopiero późnym wieczorem. Co prawda, zebranie trwało przez jedną minutę, ale musiałem Olgę Andriejewną odwiedzić do domu, a Judy na stację, do pociągu.

Pracownicy już od dawna wiedzieli, kto będzie im szefował. Niczego się przecież nie da ukryć przed salowymi. Zostałem przedstawiony w ciągu kilku sekund prostym stwierdzeniem: „oto nowy właściciel”, resztę zajęło mi ściskanie rąk zatrudnionym kobietom. Właśnie wtedy wszedł tęgi chłop, brudny jak przysłowiowe nieboskie stworzenie i powiedział, że uporał się z czyszczeniem pieca na gorącą wodę i że chciałby dostać zapłatę do łapy, bo mu forsa potrzebna. Odesłałem więc salowe i kucharkę do robót, a sam tłumaczyłem rzemieślnikowi, że nie dostanie żadnych pieniędzy ani dziś, ani jutro, wyślę mu czek możliwie najwcześniej, gdy tylko będę mógł. Ponarzekał i poszedł sobie. Tak rozpocząłem urzędowanie na własnym.

Gdy wróciłem ze stacji kolejowej, usiadłem w gabinecie, odgarnąłem stosy notatek i rachunków, zagłębiłem się w fotelu i pomyślałem sobie, że gdyby mnie ktoś spytał teraz, jak się czuję, powiedziałbym, że jestem tym wszystkim po prostu przygnębiony. „Po co mi to było..?”

Jeszcze tego dnia rano tylu było ludzi wokół mnie i nagle zostałem sam. Podniosłem słuchawkę, chciałem zadzwonić do domu do Olgi Andriejewny i poprosić, by ze mną zjadła, co się w lodówce znajdzie i wypila ostatnią lub jedną z ostatnich butelek Chateau La Tour. Odłożyłem po sekundzie słuchawkę. Włączyłem mikrofon i wezwałem dyżurną. Spytałem, czy mamy wolne łóżko w męskim pokoju.

– Jeśli potrzeba, da się zrobić. Mamy wolne łóżko w sali kobiecej i kobietę w jednoosobowym pokoiku, gdy ją przeniesiemy, ten pokoik może służyć, komu tylko będzie potrzebny.

– Zgoda, proszę to jutro przygotować, abym wieczorem miał wolne łóżko dla mężczyzny.

Szukałem długo w notesie adresu lub telefonu, lecz widocznie zapodział się przez te długie miesiące niepamięci. Dopiero przy pomocy operatorki centrali z New Jersey odnalazłem właściwy telefon do tego domu emerytów z miasteczka starców nad Atlantykiem.

Słuchawkę podniósł mężczyzna i choć nie rozpoznałem głosu, domyśliłem się, że to właściciel. Przypomniałem mu swoje nazwisko i imię mojego ojca, przypomniałem mu, w którym pokoju drzemie na fotelu i powiedziałem, że chciałbym go przetransportować do mego domu.

– Znakomicie sobie pana przypominam – w głosie czułem pewien ton niezrozumiałego zażenowania – wie pan, szukaliśmy pana tu i ówdzie, lecz czy to adres miałem mylny, czy się gdzieś nam zagubił, dosyć, że nie byliśmy w stanie się z panem skontaktować jakiś czas temu,

widzi pan, pański ojciec zmarł przed paroma miesiącami...

Cisza w słuchawce. Także milczałem, gdyż nie byłem przygotowany, że usłyszę te słowa, więc trzymałem słuchawkę w dłoni, czując, że ją powinienem odłożyć. Niczego się już nie da zrobić – ani dla mego ojca, ani dla mnie, ani dla naszych stosunków, i już nigdy się nie dowiem, który to był, ten mój ojciec.

– Gdyby pan przesłał nam swój adres lub mi go teraz podał, udostępnię panu kilka papierów, które po nim zostały, zdaje się, że również z niezapłaconymi rachunkami, ale drobnymi, nie warto o tym mówić, szczerze nam przykro, lecz pański ojciec naprawdę był schorowanym człowiekiem i jeśli mogę się tak wyrazić, nie spodziewaliśmy się w zasadzie niczego lepszego, umarł bez bólu na ponowny wylew krwi w czasie snu...

– Dziękuję – odłożyłem słuchawkę. Wezwałem znowu dyżurną. – Proszę nikogo nie przeprowadzać, już niepotrzebne.

*

Pełen niepokoju, pojechałem z Judy do miasta na spotkanie z komitetem zaufania baletu miejskiego, który od przyszłego miesiąca miał otrzymywać comiesięczne płatności; połowę tego, co zgodnie z zapisem pana Kotoffa należało się Oldze Andriejewnie.

Spotkałem towarzystwo starszych pań, z ozdobą jednego mężczyzny, ale za to głuchego jak pień i bez aparatu słuchowego, bo właśnie – jak powiedział – wczoraj go zgubił, a nowy dostarczy mu firma szwajcarska z Zurichu specjalnym kurierem za kilka dni.

Gdyśmy wyłożyli naszą sprawę... posiedzenie się urwało. Panie po prostu zaczęły wychodzić, aż wreszcie zostaliśmy z Judy sami w pięknym pokoju obwieszonym gobelinami, przed stołem zastawionym kawą i ciastkami. W końcu przyszła sekretarka i powiedziała, że panie i ten pan muszą się naradzić, a to im zajmie trochę czasu, może parę godzin, może parę dni, nie ma sensu, abyśmy czekali.

– Znaczy się, Judy, grzecznie nas wykopali.

– Można to tak nazwać – odpowiedziała niespeszona. Ja czułem się jak po oblanym egzaminie, na którym zależało mi, by go zdać. Coś zepsułem niechcący, jakbym dotknął nieznanego mi mechanizmu o delikatnej strukturze. Chciałem się nim posłużyć, a on się rozpadł.

– Judy, powinniśmy ich przeprosić?

– Dlaczego, my ich?

– Bo to oni się obrazili, a nie my.

– Ale my mamy pieniądze. Pamiętaj, w tym kraju człowiek, który ma pieniądze, nigdy nie przeprasza.

– Nigdy?

– Prawie nigdy. Gdy chodzi o pieniądze, nigdy.

– Ale im nie poszło o pieniądze. Chyba się obrazili, że taki chłystek finansowy jak ja, znajda zza oceanu, jak mówi twoja ciocia, śmie szantażować komitet zaufania.

– Myśmy im złożyli propozycję, oni to opacznie zrozumieli jako próbę nacisku. Takie jest i zostanie na przyszłość nasze zdanie o dzisiejszym zebraniu. Nie przepraszamy. Zbieramy się.

– Przesadziliśmy trochę, prawda, Judy?

Spojrzała na mnie, roześmiała się i znowu stwierdziłem, że ani na jotę nie czuła się speszona naszą sytuacją.

– Być może, troszeczkę. – Położyła swoją dłoń na mojej ręce, jakby chciała pocieszyć.

Zgarnęliśmy nasze teczki, wyszliśmy pożegnani dosyć uprzejmie przez sekretarkę. W samochodzie spytałem Judy:

– Czy mam im wysłać list z wyjaśnieniem..?

– Niczego. Zaczekaj, oni się pierwsi odezwą.

– A jeśli nie?

– Chcesz się założyć?

– Nie, Judy, jestem tym wszystkim zmęczony, tym, co dziś, co wczoraj i co przedwczoraj, chyba należy mi się urlop.

– Jak do tej pory jeszcze się nie przepracowałeś – wtrąciła półżartem, w którym wyczułem ten jej charakterystyczny sarkazm, tak naturalnie mi wygarnięty, że nie można się było nawet poczuć dotkniętym.

Pomyślałem sobie, że stare panie chyba jednak miały rację, że pozbierały swoje laski i okulary, przeszły do innego salonu dopić swoje kawy i przegryźć chudymi ciasteczkami ze zdrowotnych sklepów. Gdyby każdy, kto im daje pieniądze, czegoś w zamian sobie życzył, balet przemieniłby się w powiatowy dom kultury, gdzie nikt co prawda nie zna się na sztuce, lecz pragnie wykazać się przed rodziną i znajomymi, jaki z niego mecenas. Obiecałem sobie, że wbrew zaleceniom Judy, napiszę list do prezesa komitetu, krótki, po prostu, by zapomnieli o całej sprawie. Z czasem, po kilku miesiącach, sama przyschnie.

Wieczorem miałem znowu kłopoty z żołądkiem, o których zapomniałem już od dobrych paru miesięcy. Znowu mnie mdliło i zarazem czułem wilczy głód. Łyknąłem pigułki, które dostałem od lekarza na podobne wieczory i ugotowałem kurę. Ale ptaka zjadły moje jamniki, sobie zostawiłem tylko porcję na potem. Wypiłem chciwie rosół i położyłem się spać.

Obudził mnie telefon. Miałem go tuż przy łóżku, lecz zanim sięgnąłem do aparatu,

odczekałem chwilę, by oprzytomnieć. Było ciemno i cicho, nie miałem pojęcia, która godzina. Albo szpitalik, albo Judy, pomyślałem, sięgając po słuchawkę.

– Andriej..? Andriej Władimirowicz Kuroski? – usłyszałem moje imię, imię ojca, powiedziane pięknym, leningradzkim akcentem.

– Tak, to ja. Z kim rozmawiam?

– Mówi Irina.

Nie rozpoznałem jej głosu! Przecież dźwięków jej mowy w życiu nie słyszałem, raz jedyny, gdy wręczał tomik poezji, potem w wiele lat później, gdy szeptała z Olgą przy stoliku, gdzie ja siedziałem przypadkowo w czasie lunchu, prywatny kierowca sprowadzony na salę w charakterze kuzyna.

– Dostałam twój telefon od Olgi Andriejewny. Powiedziała, że mogę do ciebie śmiało dzwonić, chyba jest późno w Nowym Jorku, bo u nas w domu zupełnie się ściemniło...

– Dobry wieczór – nareszcie przerwałem potok jej słów i moje milczenie. – Dobry wieczór – powtórzyłem.

– Zwróciłam się do Olgi Andriejewny z prośbą o pomoc w kłopotliwej sprawie, a ona odesłała mnie do ciebie, twierdzi, że to jakby ona sama załatwiała, czy to prawda, czy dobrze, że dzwonię?

– To najszczerza prawda – przytaknąłem z rosnącym przejęciem.

– Dzisiaj w południe – mówiła Irina – rozmawiał ze mną kierownik miejskiego baletu z Nowego Jorku...

– Ach, o to chodzi...

– Oni chcieliby zażegnać wojnę, zanim wybuchnie, dzwoniли do Fiedii, by cię nakłonił do ustąpienia, ale wiesz, co Fiedia powiedział? Że to bardzo świetnie, że ktoś wreszcie dał im do zrozumienia, co myśli o repertuarze.

– Ale ja niczego nie wspominałem w sprawie ich linii repertuarowej.

– Powiedz mi, co się tam właściwie stało?

– Nic, zaproponowałem, by kiedyś zespół wystawił słowiański balet, wspominałem o polskich tekstach Szymanowskiego i Karłowicza.

– No i co?

– Wstali i wyszli z sali, zostawiając mnie z moją księgową i niedopitą kawą... – Usłyszałem jej żywiołowy, serdeczny śmiech w aparacie. – Czuję się, jakbym tam poszedł nieogolony i niemyty lub w inny sposób ich obraził, właśnie chciałem jutro napisać liścik z prośbą o zapomnienie.

– Nie masz zamiaru wstrzymać im płatności, które obiecał pan Kotoff? Bo oni się tego

obawiają.

– Dostaną wszystkie należności co do ostatniej kopiejki, mogą być spokojni, jeśli trzeba, wyślę w tej sprawie telegram do prezeski komitetu zaufania.

– Andrieju Władimirowiczu, mam lepszy pomysł. Będę pojutrze w Nowym Jorku przelotem do Londynu i spotykam się z kilkoma osobami z zespołu, organizujemy coś w rodzaju lunchu na chybicka w hotelu. Może przyjdź na ten lunch, pogodzę cię z prezeską i przy okazji porozmawiamy o słowiańskich baletach, bo widzisz, ja chciałabym im zaproponować „Pas de Deaux” Czajkowskiego, ja byłabym choreografem, twoje roszczenia byłyby spełnione, bo Czajkowski też Słowianin i publiczność miałaby coś z tego, jeśli znasz ten baletik...

– Pamiętam cię tańczącą „Pas de Deaux” na naszej scenie.

– Tak..?

– Tak...

– Nasza sekretarka zadzwoni do ciebie, powie kiedy ten lunch, dobrze..?

– Wspaniale, madame Irina, przyjdę, gdzie trzeba i zrobię, co mi doradzisz... I nie musimy korzystać z pośrednictwa zacnej Olgi Andriejewny, bo znamy się dłużej...

– Tak..?

– W prosty sposób. Ja ciebie znam, a ty mnie nie, to jest bardzo dobra i trwała znajomość.

– Jak ja lubię rozmawiać z naszymi ludźmi – roześmiała się szeroko, dźwięcznie, odsapnęła wprost do słuchawki, znowu się roześmiała i zakończyliśmy rozmowę.

Wstałem z łóżka, bo już mi było nie do spania. Gdy zaśwyciłem światło, zegarek pokazał, że już po północy, już lub dopiero... Ubrałem się. Książ wbiegł i wskoczył na łóżko. Sapał z zachwytu, że nie musi na mnie czekać aż do świtu albo i dłużej. Nie wiem, dlaczego jest taki pewien, że wyjdzie zaraz na spacer. Szukałem Cariewny, ale zapodziała się gdzieś. Znalazłem ją w spizarce z nosem wścibionym pomiędzy stare słoiki. Pewnie zwąchała tam polną mysz, o tej porze roku często mnie odwiedzały. Zawołałem na nią. Czulem, że muszę wyjść, bo mi w domu za ciasno.

*

Judy musiała przyjeżdżać codziennie, inaczej nie byłoby w banku pieniędzy nawet na chleb, a co tu mówić o pensjach dla pracowników. Psy ją polubiły, nie mówiąc o mnie.

Gdy wchodziła, dom wydawał się cieplejszy. Po swej cioci miała słabość do herbaty, niczym prawdziwa Rosjanka. Zaczynałem więc od wyciągania z kredensu czystych, lub myłem dwie wywleczone spośród sterty brudnych naczyń, filiżanki.

Któregoś dnia wrzuciłem dwie torebki dobrej, indyjskiej herbaty i zalałem wrzątkiem.

Judy przyniosła z szafki butelkę, dobrze napoczętego jeszcze przez Olgę Andriejewnę, rumu Baccardi.

Rum z herbatą szybko nas rozgrzał. Od rana chciałoby się powiedzieć, że furda z troskami i wybiec daleko z domu, może do ogrodu pełnego kwiatów albo sadu brzoskwiniowego... Nalałem jeszcze nieco rumu. Był krzepki, piekący, gorzkawo-słodki, pachniał słoneczną pogodą. Judy musiała odczuć podobny smak w ustach, bo powiedziała:

– Dokąd chciałbyś pojechać..?

– Do sadu.

– Wiesz, dokąd ja? Nie zgadłbyś. Puerto Rico. Pojechałabym na trochę, żeby umoczyć nogi w tej czystej, spienionej wodzie z piaskiem na plaży, tak bym sobie szła i szła plażą nad wodą, między palmami a pianą rozbitych fal, które są takie ciepłe, ciepłutkie, cieplejsze od powietrza, zwłaszcza o tej porze roku. Słuchaj, polecimy na Puerto Rico! Zanim do Leningradu...

– To za daleko.

Ale miałem ochotę gdzieś z nią pojechać. Zgarnąłem, co było w lodówce, do papierowej torby. Dołożyłem jeszcze z piwniczki butelkę młodego Medoc. Włożyłem to wszystko do przenośnej lodówki. Zgarnąłem dwa koce i zaniósłem ten cały kram do samochodu.

Po godzinie rozbiliśmy obozowisko w Sunken Meadow. Dzień był wietrzny, rześki, powietrze przezroczyście, suche. Gdy zjeżdżałem z wyniosłości autostradą Sagtikos w dolinę Sunken, zobaczyliśmy w przedniej szybie wody Zatoki, jakby akwarelę sprzed dziesięcioleci, i brzeg wyraźnie rysujący się linią lądu Connecticut z zabudowaniami, które z ogromnej odległości przypominały kreski luźno rzucone tuszem na srebrzystosiny pokład morza. Od wody ciągnęło chłodem. Słońce południowe jednak ciągle dawało znać o sobie. W każdej najmniejszej dolince i zakolu bezwietrznym – zdawało się, że pyszni się pełnia lata i promienie doskwierały niemal dokuczliwie. Pachniało sosnami, iglastym poszyciem wydm, szyszkami. Znad wody, razem z chłodem, nadciągał posmak psujących się skorupiaków i tak charakterystyczna woń przystani rybackich na Long Island.

Nie byliśmy sami. Opodał nas roztasowało się emerytowane stadko miejscowych karcarzy. Różni w karty, popijali nalewki i wyglądało na to, że przez caluśki dzień będą w te karty różni z przerwami na opróżnienie wielkich, obładowanych turystycznych lodówek.

Odeszliśmy na tyle, by nam nie przeszkadzali, by ich nie słuchać, choć widzieliśmy doskonale, jak się zwijali przy karcianym stoliku. Za plecami mieliśmy piaszczystą skarpe z uwieszonym chojarem, który zdawał się, że spadnie nam zaraz z korzeniami i poturła się nad brzeg wody. Przed nami – plaża, syпки, czysty piasek, zadeptywany ptasim plądrowaniem

zabawnych, chudych nóżek młodych mew i rybitw. Drewnianym pomostem co jakiś czas przechadzał się albo leciwy facet w kaszkiecie, z wędką, z torbami i piwem, albo młode hałaśliwe dziewczyny, budząc na chwilę ciszę parku ochryplym dźwiękiem tranzystorowej muzyki.

Gdy tylko rozłożyliśmy nasz kramik, poczuliśmy się wilczo głodni. Zjedliśmy więc. Ubyło wina z butli. Przyjemnie rozgrzewało nas od środka i czułem to uspokajające ciepło, którego byłem ciągle niesyty, więc czekałem, aż mi z krwią powędruje do najdalszych komórek w stopach i palcach. Siedzieliśmy na wielkiej, zwęglonej od góry, kłodzie drewna. Skąd się wzięła, Bóg raczy wiedzieć. Może jesienny sztorm wyrzucił ją jak wieloryba na brzeg i doturlał aż tutaj, niemal pod stopy wysokiej skarpy wydmowej... może kiedyś coś tu było sklecone, jakaś szopka rybacka, buda na sprzęt, która spłonęła i tylko grube baleostały się poszukiwaczom wszelkiego porzuconego dobra. Owinięci swymi kocami czuliśmy słońce pelzające nam po włosach i ramionach. Koc zwolna nasiąkał ciepłem i także rozgrzewał. Chłodny wiatr znad wody ocierał się o twarze, studził nosy i brody, nawiewał zapachu toczonych bakteriami skorupiaków: ni to gorzkie, ni to słonawe, ni to cierpkie... Przypomniała mi się woń tranu z lat dziecięcych, którym matka dokarmiała mnie, codziennie pakując do buzi łyżkę tego paskudztwa w zastępstwie wszelkich brakujących witamin i białek.

– Piłaś kiedyś tran?

Musiałem jej wytłumaczyć, co to jest takiego ów tran, nigdy nie słyszała. Okryłem nas razem moim kocem szczelnie, aż po brodę. Przygarnąłem jej ramię, czując jak miarowo, spokojnie oddychała.

– Nie zimno ci?

– Wspaniale. To wino grzeje mnie jak słońce w Puerto Rico. Gorzej, bo muszę wygrzebać się z tego puszystego wełniaka.

– Dlaczego?

– Potrzeba mnie goni.

Odrzuciła koc. Patrzyłem, jak wstała z drewnianego bala, przeciągnęła się, unosząc do góry ramiona, zaczerpnęła głęboko wdechu, aż bluzka uniosła się w talii ponad spódnice, zobaczyłem niebieskawą halkę czy koszulkę, cienką, niemal przezroczystą.

– Słuchaj, zaziębisz mi się!

Nie odpowiedziała. Przeciągnęła się jeszcze raz. Patrzyłem na jej stopy zanurzone w połowie w sypkim, wygrzonym piachu, śniade, szczupłe łydki z lekko zarysowanym kształtem mięśni, z początkiem letniej opalenizny. Nagle opadła mnie przemożna tęsknota do

kobiecego ciała. Odrzuciłem koc, zerwałem się z kłody, objąłem mocno Judy ramionami od tyłu, jej włosy rozwiewały się tuż przed moim nosem i ogarniały całą twarz, łaskocząc, pachnąc, smakując... Wyczułem jej chudziutkie łopatki na swej piersi oraz miękką wypukłość pośladków na mych udach. Pocałowałem ją w ucho i za uchem w szyję.

– Ja naprawdę muszę – roześmiała się, odsunęła moje ramiona sprężystym ruchem i pobiegła w stronę drewnianego pomostu i zabudowań dla przyjezdnych plażowiczów. Stałem samotnie, czekając aż wróci. Teraz bez koca, wiatr tarosił mi nogawki spodni, wsmyknął się za rękaw koszuli, grzebał mi we włosach i starał się przeniknąć do samej skóry. Obiegł mnie przyjemny, dziarski dreszczyk. Mocno wciągnąłem w płuca woń skorupiaków. Woda, łamiąc grzywę nad brzegiem plaży, toczyła swe łapki piany jakby szeleszcząc, szepcąc, gaworząc z piaskiem, kamykami i muszlami.

Wracała. Wyciągnąłem obie dłonie, a gdy podała mi swoje, powiedziałem jej, że teraz nie mam nic i nikogo poza nią. I to była prawda.

Usiedliśmy na osmalonym balu. Okryłem kocem ją i siebie, drugi zarzuciłem na nogi. Pod tym kocem odnalazłem jej dłonie, przez chwilę siedzieliśmy tak, czując radosne przenikanie własnego ciepła. Uniosłem dłoń, wsparłem na jej szyi, zwróciłem jej głowę i pocałowałem w czoło, potem w nos, brodę, uszy i potem już całowałem tylko usta. Nie to, że całowałem, po prostu przywarłem mocno wargami do jej ust i szukałem językiem ciepła jej podniebienia. Gdy zwilgotniały jej wargi, wyssałem, przełknąłem jakbym połykał jakiś ziołowy napój. Rozpinałem nerwowymi palcami bluzkę, aż poczułem śliską obłość koszulki na piersi. Przesunąłem dłonią poniżej, tam niżej było cieplej, niemal gorąco, odnalazłem zamek spódnicy i rozpiąłem, teraz moja dłoń swobodnie przesunęła się do krocza, zmiąłem palcami koszulkę, wymacawszy koronkowe obramowanie, a potem już tylko gorąca miękkość jej nóg. Przygarnąłem ją mocniej ramieniem, aż poczułem niecierpliwe, zdyszane serce Judy, bijące szybciej niż zawsze, jakby w pośpiechu lub przestraszu.

– Dobrze tak z tobą – szepnąłem.

Chyba ją te banalne słowa podekscytowały, gdyż dreszczyk obiegł jej ręce, piersi i nogi. Zbezwładniała mi nagle w rękach, zrobiła się wiotka, niemal bez mięśni, bez kostek, jak roślina. Chwyciłem majteczki i zsunąłem, aż poczułem delikatną gęstość włosów. Krzyknęła, nie odrywając warg od moich ust. Drgnęła jakby chciała podnieść się i zerwać, uciec... Ogarnąłem mocniej i rozsunąłem nieco jej uda, palce zanurzyłem w mokrą, gorącą delikatność ciała.

– Nie, nie – szepnęła – nie, zostaw, nie rób tego, błagam, proszę... – szepnęła w gorączce tak żarliwie, że aż mnie otrzeźwiło.

– Dlaczego nie?

– Wstydę się powiedzieć... nie... proszę...

Zapewniłem ją krótkim, szczerym szeptem:

– Nie bój się.

Zawierzyła. Naprężone mięśnie w kroczu zelżały. Mogłem pieścić ją tam dłonią, łagodnie i czule. Oszalał mi ten rozbudzony z nagle zmąty dotyku, cały zgromadzony w opuszkach palców. Przycisnąłem mocniej, poruszałem palcami szybko, coraz spieszniej czując, jak w Judy nabrzmiewa nerwowe napięcie. Potem Judy uniosła się, przywarła mocniej ustami, nagle zadrżała, krzyknęła i odtajała... Wiedziałem, że teraz rozkoszuje się smakiem po raz pierwszy poznanym. Obciągnąłem spódnicę, poprawiłem koc i objąłem oburącz jej głowę. Całowałem z czułością i pełen radosnej ulgi, jakby to na mnie spłynęła ta chwila nagłego odtajania.

– Dobrze ci... – ni to spytałem, ni upewniłem się.

– Mój ty... – szepnęła jeszcze zdumiona tym swoim niedawnym odkryciem.

Opatuliłem ją w drugi koc, podparłem ramieniem, by się jej wygodniej siedziało prawie w pół leżąc; oboje milczeliśmy, patrząc przed siebie na wodę, zmarszczoną i szarą. Zatoka stała w ciszy tuż opodal, otwarta ku jasno sklepionym niebiosom. Przymknąłem powieki. Musiało minąć trochę czasu. Ocknął nas dziwny dźwięk, ni to klepanie bosych nóg po piasku. Spojrzałem.

Zobaczyłem samotnego jeźdźca. Koń był kary, lśniący, wypasiony, wesoły i chętny do truchtu; jeździec – w dżinsach, boso, w kaszkiecie, z szalem – bardziej ku ozdobie niż przeciwko wiatrom. Fala, ścieląc się po brzegu, chwytła końskie kopyta i zmywała je pianą i wtedy słyszeliśmy ten dźwięk.

Chłodek się zaczął dobierać pomimo koców, które nas szczelnie opatulały. Przygarnęła się do mnie w poszukiwaniu ciepła.

– Wino przestaje grzać – szepnąłem.

Coś pewnie chciała powiedzieć, ale nie mogła dobrać słów, usłyszałem przewlekłe westchnienie pełne prawdziwej ulgi, niczym zapowiedź czegoś, co pozostało jedynie w jej myślach... Nie chciałem pytać. Odrzuciłem koc, zacząłem zgarniać naczynia, śmieci, resztki, aby to było gotowe do zabrania.

– Lubisz jeździć konno? – krzyknęła do mnie.

– Nie wiem. Raz tylko w życiu próbowałem, gdy byłem jeszcze bardzo młody, ziemia bardzo daleko, daleko od stóp, tyle pamiętam...

– Ja kiedyś jeździłam, parę razy – po przerwie dodała: – chciałabym mieć i konia, i jacht,

taki biały z masztem i żaglem i białym kołem sterowniczym...

– Życzę ci rasowego konia i białego jachtu.

– Nie rób ze mnie słodkiej idiotki.

– Wstyd, jak możesz. Przecież ja cię bardzo, bardzo lubię i jeśli tylko chcesz jacht, dałbym ci. ...Ale nie mam.

– Co ty robiłeś w życiu, zanim zostałeś kierowcą Olgi Kotoff? Pisywałeś wiersze?

– Różne rzeczy. Przeprowałem się przez Atlantyck... A przedtem uczyłem młodzież szkolną historii mojego narodu. Na dodatek łaciny. Wydawałem wiersze.

– Nie chciałbyś zostać tutaj nauczycielem?

– Czego?

– Historii.

– Nie.

Umilkliśmy. Nie czułem się na siłach, by jej wytłumaczyć, że historia mego narodu jest tak osobista dla mnie, tak bolesna i bardziej tycząca serca niż rozumu, że można ją tylko przyrównać do miłości. Lecz bałem się, że ona tego nie zrozumie, a w dodatku nie miałem ochoty na rozmowę o historii. Stałem twarzą zwrócony do brzegu i wody, słysząc jak drobna fala szemrze, padając na piasek i rozmywając się w jego porowatej masie.

W oddali jeździec zawrócił konia i skierował w powrotną drogę. Jeszcze go nie słyszałem, gdyż był daleko, aby wyłowić tapanie kopyt.

Nagle poczułem ciepło na moich policzkach. To ręce Judy. Odwróciłem się. Stała tuż przy mnie, na pół ogarnięta kocem. Spostrzegłem jej szczupłe ramiona w bluzce z podwiniętymi rękawami, bosa stopy zanurzone w wilgotnym piasku. Roześmiała się, zarzuciła połę koca na moje ramię.

– Spiłam się chyba – szepnęła, śmiejąc się równocześnie.

Okryłem nas szczelnie kocem. Przywarliśmy do siebie i poczułem ciepło jej piersi, bioder i nóg w mocnym przygarnięciu. Mimo swetra i spodni, mimo jej odzienia, wyczuwałem to łagodne, ssące przenikanie ciepła. Zanurzyłem usta w jej włosach i wciągnąłem nozdrzami zapach skóry, włosów, lakieru, wszystkiego, co mi samemu uzmysławiało Judy. Zamknąłem powieki, ciągle wyraźnie dostrzegając ją wyobraźnią. Odnalazłem jej dłoń. Ogarnąłem i uściśnąłem lekko, odpowiedziała mi takim samym uściskiem palców. Wtedy, z rosnącym biciem tętna w szyi i w skroniach, przesunąłem jej rękę do moich spodni, nerwowo wcisnąłem ją poza pasek, aż poczułem chłód jej palców na podbrzuszu. Jakby drgnęła, sapnęła mi tuż przy uchu, uchwyciła moje ramiona drugą ręką, a gdy pchnąłem jej dłoń zupełnie bezwolną poniżej, gdy dotknęła nabrzmiałego członka, zdawało mi się, że cichutko

jakby zakwiliła, potem – już bez mojej nachalnej gorączki i nakłaniania – sama, łagodnym i pieszczącym ruchem, okryła go palcami. Wtedy nadciągnęło to jak spieniona fala; z szumem w głowie, ze stukotem serca, z tłukącą się arterią w szyi, gdzieś tam poczęte aż w stopach, radosne spięcie uwolnienia, jakby porażenie prądem w nagłym dreszczu i w tej łapczywej zadysce. Wyjąłem ze spodni dłoń Judy, jeszcze gorącą i moką, schyliłem głowę i pocałowałem długo, z serdecznością, w szczerzej, niemej podzięce...

Wtedy usłyszałem klaskanie, chlupot i pochrapywanie zwierzęcia. Gdy otworzyłem oczy, spostrzegłem najpierw włosy i czoło Judy, dalej wodę szarosiną, o tej porze dnia powleczonej kolorem nieba, a potem owego jeźdźca boso na koniu, chlapiącego bryzgami fali tuż opodal nas obojga. Odruchowo mocniej owinałem nas kocem. Wydało mi się, że w sylwetce konia, rysach jeźdźcy i łagodnym ciepłym posmaku wilgotnego powietrza znad wody – ukazuje mi się nierealny krajobraz niewypowiedzianego piękna; nawet gotów byłem powiedzieć do siebie, że mi pięknie. Gdy wróciliśmy do domu wieczorem, chciałem napisać przy lampie kilka linijek wiersza o samotnym jeźdźcu nad brzegiem Zatoki. Lecz nie mogłem wydobyć z umysłu właściwych słów. Już od kilku dobrych lat nie zanotowałem ani jednego dobrego wiersza. Teraz nagle chciałem, ale mnie nie odwiedziła ani Euterpe, ani Erato.

*

Następnego dnia nie pojechała na noc do swojego domu. Spała w bibliotece, gdzie rozleniwiała się potężna kanapa pana Kotoffa, zimna i bezpieczna od czasów jego odejścia.

Przyszła na śniadanie w szlafroku Olgi Andriejewny. Już przyczesana, lecz z resztą słodkiego zaspania w oczach i na policzkach. Natychmiast rozbudzała uczucie męskiego rozczulenia. Gdy spojrzałem na jej smukłe, białe nogi z łydkami, na które chciało się spojrzeć i na stopy, też jakby jeszcze zaspane, promieniujące ciepłem lub obietnicą ciepła – zrozumiałem, co mi się stało. Nie byłem pewny, czy kocham Judy, ale mogłem zdjąć i zdjąłem natychmiast ładny portret Iriny ze ściany w mojej sypialni.

– Meblujesz się? – usłyszałem.

– Znacznie gorzej, promyku, rozwiodłem się po raz drugi w moim życiu.

Spojrzała na portret, zrozumiała i aż zanosła się od szczerego śmiechu, w którym było tyle ciepła...

Psy nie mogły się doczekać, więc skończyliśmy śniadanie. Na dworze tego dnia był napływ lata, przyniesiony wiatrem znad Południowej Karoliny i Georgii. Wyszedłem tak, jak stałem.

– Pójdę z wami... – tak powiedziała, jakby nas było troje, poeta, Książ i Cariewna.

Poszliśmy do parku Kings Point, który o tej porze dnia był pusty i dziki. Lubilem pewne

miejsce. Spory gąszcz krzewów, karłowatych drzew, omotanych płataniną lian, pnączy i traw, sięgających kolan, bo nigdy tutaj niekoszonych. Puszczałem psy luzem, a sam wdrapywałem się na skarpe, skąd miałem rozległy widok, jak z potężnych płócien Churcha, na otwartą panoramę odległych wzgórz i pagórków po drugiej stronie Tappan Zee, rzeki rozlanej tu w ogromne jezioro Tappan, spięte stalową klamrą mostu, który wiódł na Zachód, prawie tak mityczny jak w staroegipskich psalmach pogrzebowych, gdy „szło się na Zachód, ku zmartwychwstaniu wiecznemu”.

Tego ranka pokonałem ten dziki gaj z Judy. Nie puszczałem jej dłoni, jakbym się bał, że gdy się wyswobodzi, oddali się, zniknie niczym coś nierealnego. Spieszyłem się, prawie biegiem przemierzaliśmy dróżkę wśród sosen i świerków, skręciłem pod górkę, w dziką kępę krzewów, przedzierałem się, rozchylając gałęzie, czasem z pośpiechu nie ogarniałem wszystkich i wtedy cięły mnie po rękach, po ramionach i policzkach. Nie czułem bólu, za to pachniało mi świeżo wyssanymi sokami ziemi, czerwcowym smakiem przekwitania.

Wyniosłość się urwała, spoza krzewów ujrzeliśmy taflę rzeki, spokojnie płynącej między zalesionymi stokami w stronę Atlantyku. Uklęknąłem na trawie, przyciągnąłem Judy, objąłem dłońmi jej głowę i całowałem oczy, brwi, czoło, uszy; szukałem palcami jej zamka od spódnicy.

– Tutaj? – spytała.

– Tu. Zdejmij.

W jej pytaniu była już decyzja. Byłem szczęśliwy. Patrzyłem jak rozpinała z wolna, jakby w zamyśleniu, zamki spódniczki, zdejmowała ją ukazując nogi. Dotknąłem majteczek pokazując, by je także ściągnęła.

– Słuchaj, zdaje mi się, że właśnie zaczęły się dni, kiedy mogę zająć w ciąży. Nie mam przy sobie niczego.

– To i dobrze Judy. Chodź tu bliżej i połóż się. Strzeliła ku mnie oczami, usta jej zadrżały, jakby zaraz miała się roześmiać albo rozplakać. Opuściła ramiona w bezruchu, czekając na mnie.

– Ale coś mi daj pod plecy, bo trawa kłuje. Rzuciłem swoją koszulę. Wciągnąłem Judy pod siebie nerwowo i z drżeniem i przyłgnałem do jej cieplej, drobnej, dyszącej szybko postaci. Przez chwilę byliśmy jednym ciepłym stworzeniem z dwoma bijącymi sercami. Nagle coś zakotłowało się tuż za naszymi plecami. Krzyknęła. Coś gorącego owiało moje nagie ramiona, usłyszeliśmy radosny skowyt i dyszenie. Wścibski, mokry i nagrany ryjek jamnika wsunął się pomiędzy nasze twarze. Gorący, rozbiegany jęzor chlasnął moje usta i nos Judy. Równocześnie drugie psisko dobierało się do moich pośladków. Zerwaliśmy się i...

wybuchnęliśmy jednocześnie tak hałaśliwym śmiechem, że aż echo odezwało się gdzieś nad rzeki. Pozwoliłem psom nacieszyć się do woli. Głaskałem Kniazia, Judy przebierała palcami za uchem Cariewny.

– Opatrzność uwolniła psy ze smyczy – powiedziała – aby uchronić nas od grzechu.

– Od jakiego znowu grzechu..?

– No, wiesz...

– Słuchaj, jeśli mąż idzie ze swoją żoną w krzaki poza domem, to nie jest żaden grzech tylko łamanie przepisów porządkowych miejskiego parku.

– Czyżbyśmy się mieli pobrać?.. – spojrzała na mnie, starając się pokryć zmieszanie.

– Pobierzemy się w tej chwili, bo mamy właśnie tę chwilę wolną dla siebie, kiedy już jedno przestało być żonate, drugie zaręczone i żadne nie leży w szpitalu. Jest słoneczny ciepły dzień, mamy dwu świadków, Kniazia i Cariewnę, zatem wciągaj spódnicę, bo na razie nic z tego nie będzie, jamniki uratowały mnie od ojcostwa. Gotowa?

Spojrzała na mnie ze śmiechem, rozbawiona.

– Uklęknij, podaj mi dłoń, ja uklęknę przy tobie. Uścisnąłem mocno jej cienkie, chłodnawe i delikatne palce.

Uniosłem nasze ręce ku słońcu.

– Gdzie ty, Kaja, tam ja, Kajus, powtarzaj.

– Gdzie ty, Kajus, tam ja. Kaja – usłyszałem jej głos cichy i nieco drżący z ukrywanej emocji.

– Teraz w domu zapalimy świecę zamiast lampki oliwnej, której nie mamy...

– Mamy – przerwała mi z cichutkim, intymnym uśmiechem – w żydowskim domu powinna się znaleźć lampka i u mnie jest, przywiozę nam, do sypialni, Kajusie...

Roześmieliśmy się oboje serdecznie i długo. Powiedziałem:

– Wiesz, niezależnie od stulecia i rytuału, w końcu pan młody całuje pannę młodą.

– Całam twoja, Kajusie...

– A z podróżą poślubną, to co?

– Należy mi się – odpowiedziała z powagą wymaganą do gry.

– Do Olgi Andriejewny, po błogosławieństwo, z braku rodziców..?

– Coś ty, ja chcę naprawdę, bo albo jestem twoja Kaja, albo się w to nie bawię, a w podróży poślubnej to chcę być wzięta w prawdziwym extra hotelu, w prawdziwym ogromnym, młodomażeńskim łożu, w satynowej pościeli, w jedwabnych szlafrokach, a na śniadanie chcę dostać tradycyjny bukiet pięknych kwiatów od zarządu hotelu i butelkę szampana, którą się urznię do nieprzytomności, bo w picciu wina też jestem zielona.

- Znam tylko jeden taki hotel na świecie – powiedziałem – „Astoria” w Leningradzie.
- Poczekam z tym wszystkim, aż mnie tam weźmiesz...

*

Tego wieczoru Kaja pojechała do swego mieszkania, aby przez noc spakować rzeczy i rano miałem ją stamtąd zabrać samochodem; od jutra – pod jednym dachem.

Więc kawalerski wieczór! Albo się urznąć, albo wiersze pisać, albo jedno i drugie. Przyniosłem z piwnicy butelkę Baccardi, nalałem do szklanki, dodałem dwie kostki lodu. Smakowałem, było wspaniałe: jak mogłem wcześniej nie odkryć błogosławionej słodkości rumu z Porto Rico..? Druga szklaneczka posmakowała mi jeszcze lepiej niż pierwsza. Zachciało mi się popatrzeć na rzekę z mojego dawnego poddasza. Wziąłem butelkę, szklankę i kubek z lodem, poszedłem na górę. Usiadłem przy oknie, z którego widać było światła drugiego brzegu, rozblaski Nyack. Siedziałem tak przez chwilę, najpewniej – przez dłuższą chwilę. Z szuflady wyjąłem papier i sięgnąłem do mego notatnika, by spisać dzień zaślubin. Kaja. Więc byłem zaślubiony? To dlaczego mi smutno? Wiem, dlaczego. Wiem, tylko udaję przed samym sobą. Zdejmowanie portretu Iriny ze ściany... dlatego mi smutno. Moja wspaniała leningradzka zorza roztopiła się w ciepłe południe... Niepowtarzalnie piękna, gdy tańczyła na scenie, była rzeczywiście niczym zorza północna, drżąca, daleka, jakby nierealna. Zamieniłem moją zorzę polarną na piękną i mądrą Żydóweczkę z Rego Park i teraz – zamiast pisać wiersze, będę pisywał sprawozdania finansowe. Upadek poety.

Następna szklaneczka. Powiedziałem do Iriny: „mój wspaniały łabędziu ze zwariowanych baletów Czajkowskiego”. Usłyszałem coś, jakby echo z dołu, z bawialni, albo mi się wydało. Spojrzałem na rzekę i nagle mi się to rozjaśniło, szybko zapisałem:

*Widziałem most na rzece Hudson
most przez Tappan Zee.*

Szklaneczka. Hartowany wiatrami znad Ładogi, osiadłem w słonecznym rajku zwanym Tarrytown, wdziałem tutejsze spodnie i trampki, nauczyłem się rozmawiać, zaleczyłem wrzody żołądka, przywykłem do dwóch psów i zapragnąłem być bogatym. Inni, którzy pisali wiersze, poutykali się w różnych pseudo-katedrach pseudo-uczelni, próbowali amerykańską młodzież rozkochać w naszej śpiewnej poezji, a studenci woleli słuchać o Carycach i wampirach. Zdawało mi się w Montrealu, że jestem po drugiej stronie. Co za śmieszna pomyłka. Zajęło mi wiele czasu, by zrozumieć tak czysto i klarownie jak teraz, patrząc na światła Nyack, że cały Antlantyck jest na wschodzie i to wielkie wspaniałe miasto, trochę jakby ogłupiałe i te wszystkie rajskie przyległe okolice, cały ten łagodny krajobraz zalesionych wzgórz i zaludnionych dolin – to wszystko jest na wschodzie. Święta rzeka

Hudson jest dzisiejszym Rubikonem, a jej stalowe mosty, to jakby nowe słupy Herculesa... Tam, po drugiej stronie, gdzie płoną blaski Nyack – tam jest Zachód, mityczny jak z psalmów żałobnych starożytnych Egipcjan, którzy po śmierci odchodzili na Zachód; my chcemy na Zachód, słońce zachodzi ku Zachodowi, a on jest na wyciągnięcie ręki. Widzę go przez moje okienka na poddaszu. I wtedy ułożyło mi się to w poetyckim wersie:

*Widziałem most na rzece Hudson
most przez Tappan Zee.
Poetów pluton, obszargańców –
boso szli.*

„Tak jest” powiedziałem do siebie, „boso przez Hudson, amerykańska, chyba indiańska rzeka i słowiański pomysł, jak by ją tu przekroczyć...”

Pół szklaneczki, bo zabrakło rumu w butelce. Zszedłem do piwnicy. Znalazłem piętnastoletnie Margeaux, skarb. Gramoliłem się schodami na górę i nie mam pojęcia, jak się to mogło zdarzyć. Noga mi się obsunęła na nierównym schodku, poleciałem w dół, a za mną piętnastoletnie Margeaux. Usłyszałem brzęk szkła i poczułem na swych nogach chłodną wilgoć przemoczonych spodni. Czyżbym był tak pijany, że spadam ze schodów i tłukę skarby świętej pamięci pana Kotoffa?

Trzeba mi coś lekkiego na przepłukanie żołądka po butelce rumu. Wziąłem na górę młodzietki, cienki burgund. Otwierając go w kuchni zobaczyłem swoje spodnie – całe w Margeaux, zdjąłem i rzuciłem w kąt z brudami do jutrzejszego prania. Burgund rzeczywiście chłodził od środka, jak spragniony człowiek wypiłem duszkiem szklaneczkę. Pomyślałem, że powinienem zadzwonić do Iriny, przeczytać wiersz, pierwszy od lat, i przeprosić za tę zdradę mej miłości, mego człowieczeństwa, mojej niepisanej poezji. Ale zanim to zrobię, najpierw muszę ponaprawiać szkody. Przyniosłem z drugiego pokoju portret Iriny, wlażłem na stołek i chciałem go zawiesić. Dlaczego wypadł mi z ręki? Szkło rozbrzękło, rozsypało się po podłodze, spojrzałem na twarz mojej zorzy północnej z okruciami szkła, zrobiło mi się tak przykro, że nagle zacząłem płakać jak małe szczenię.

„Muszę do niej zadzwonić”, powiedziałem na głos, wycierając oczy. Ale nie mam telefonu, na pewno jest zastrzeżony, z informacji go nie dostanę. Nagle – rozsądne skojarzenie: Olga Andriejewna... Wykręciłem numer, podniosła słuchawkę. Wytłumaczyłem jej, dlaczego muszę natychmiast porozmawiać z Iriną i dostałem numer do jej posiadłości. Olga spytała, czy nie wypięłem ciut za wiele tego wieczoru. Do diabła, skąd ona może wiedzieć, kiedy jej tu nie ma..?

Połączyłem się z gosposią lub sekretarką, musiałem tłumaczyć, ktom zacz i że

„przyjaciół”, w końcu jednak usłyszałem Irinę:

– Co z wami, Andrieju Władimirowiczu?

Przeczytałem jej wiersz. Długa cisza. Ona:

– W tym coś jest... ładnie powiedziane... ale jakby mi czegoś brakowało, może – sama nie wiem, może pointy..?

Opowiedziałem historię stłuczonego portretu. Rozbawiła się, ale na krótko:

– Andriej Władimirowicz! Koniec na dzisiaj, teraz proszę wytrzeźwieć, a porozmawiamy przy innej okazji – odłożyła słuchawkę.

Gdy w pamięci długo jeszcze powtarzałem ton i dźwięk jej głosu, zawiało mi jakby wiatrem znad Ładogi, zapachniało naszą rzeką i wtedy to się samo ułożyło słowami:

Widziałem most na rzece Hudson

– most przez Tappan Zee.

Poetów pluton, obszargańców – boso szli.

Podpity księżyc parska srebrem,

a w moich oczach –

Newa szkli.

Wziąłem brulion i pisałem: „Wszyscy próbowali, ale nikt nie przeszedł. Nie pytajcie Nagrodzonych, oni pary nie puszcza, światowe nagrody przeniosły ich kolorowym balonem. Boso nie daliby rady, ale tego nie powiedzą. Spytajcie prostych, Nienagrodzonych”.

Spojrzałem na papier, był zroszony czerwiecią, amarantem, za jasne to na Margeaux, musiałem się zaciąć, po raz pierwszy w życiu pisałem, rosząc papier własną krwią, jak prawdziwi poeci siedzący w prawdziwych łagrach.

Wezmę butelkę tego burgunda, kieliszka nie trzeba, skoro pijaliśmy gruzińskiego szampana prosto z butelki, to może i pan Burgund się nie obrazi, że będzie wzięty prosto z flachy; pójdę nad rzekę, zdejmę buty, spróbuję wody, aby się przekonać, czy naprawdę nie da się przejść. Nie mostem, ale wprost – przez rzekę. Nie? Chrystus chodził po swoim Hudsonie suchą stopą, a poeta by nie mógł..? Biorę psy, idę spróbować...

*

Od Wydawcy:

To nie Kaja, lecz inspektor policji z White Plains (powiatowego miasteczka) znalazł notatnik Kuroskiego w kilka dni po wypadku. Ponieważ, jak do tej pory, nie znaleziono szczątków poety, pamiętnik niczego nie wyjaśnił, również dobrowolne zeznania Olgi Andriejewny oraz Iriny nie rozjaśniły tajemnicy zaginięcia Kuroskiego – różne tworzyły się teorie. Najpierw ta krew na kartce z wierszem. Zgoda. Notatnik wyjaśnił sprawę, poeta zaciął

się tłukąc po pijanemu butelkę Margeaux. Potem – bezśladowe zniknięcie. Bo nawet jeśli chciał boso przez tę wodę, to gdzie się zapodziały buty. Królewski park w Tarrytown to nie centrum Manhattanu, nikt by ich tu nie ukradł, następnego dnia leżałyby tam, gdzie je Kurowski zostawił. Nic, tylko butelka po burgundzie na kamieniach oblizywanych wodami Hudsonu. Dopił się więc do samego końca i... wpadł do wody, czy też chciał boso na drugą stronę i zabrało go, i poniosło ostrym prądem w głębinę Atlantyku. Inspektor stwierdził, że w przypuszczalnych godzinach wypadku lub samobójstwa, był silny odpływ i Hudson wtedy niesie tysiące ton wody do Atlantyku, w pośpiechu znanym tylko górskim rzekom.

Odzyskane psy... Nie zabierałby psów, jeśli zamierzał się utopić, lub podobne głupstwo, na przykład – boso przejść na drugą stronę Hudsonu.

Status poety jest określony w aktach jako „zaginiony” i tak będzie przez lata. Kaja, ani wdowa, ani porzucona, nie będzie mogła zlikwidować spółki, przejąć całego majątku. W papierach Internal Revenue Service wpisuje „partner zaginiony”, brak podpisu.

W jakiś rok później zniknął z map Leningrad, a powrócił St. Petersburg. Jak to pisał poeta, „plutonami wracali” wschodni „obszargańcy”, Rosjanie, Polacy, Czesi, Żydzi, Węgrzy i Rumunii – jak kto mógł, ale głównie – znów jakby poeta powiedział: „boso wracali...”

W drugą rocznicę ślubu i zaginięcia Kajusa, Kaja przyniosła nam wydruk komputerowy notatnika poety. Postanowiliśmy to wydać bez pewności, że mamy na to copyright.

Policja zamknęła teczki z papierami. Olga Andriejewna zmarła na atak serca. Irina wznowiła karierę zawodową z ogromnym powodzeniem i blaskiem rozgłosu.

Tylko Kaja lubiła sobie wieczorami usiąść w pokoiku na poddaszu z widokiem na Hudson, czasem czytała tłumaczenie notatnika, czasem pochlipywała, samotna Kaja – w oczekiwaniu Kajusa, który wyszedł z domu i nie wrócił, głąskała starzejącego się Kniazia i podstarzałą Cariewnę i lubiła powtarzać wiersz, który nie był Kuroskiego, lecz sławnego poety z czasów Wielkiej Wojny, a który zaczynał się słowami:

*„Czekaj na mnie i ja wrócę
tylko bardzo czekaj...”*

Koniec

Tarrytown 1983 – Warszawa 1999

**Opowieść banalna
czyli
„Bzy w Pensylwanii”**

Czerwcowy dzień pełen nowojorskiej duchoty. Żółtawe popołudnie wilgotne i spocone, z tą zadyszka ozonu, spalin i morskiego nawiewu pachnącego algą. Jaka ulga, wejść z ulicy do chłodu marmurowych przestrzeni Trumpowego atrium. Wszedł tam, do tego atrium przy Piątej Alei, on, stary siwy, niedźwiedź, który już nie może, zjechał w dół do miejsca, gdzie u stóp kaskady, sączącej się z wielu pięter po marmurowej ścianie – czekały stoliki, głównie na zagranicznych turystów spragnionych wody i chłodnego powietrza. Tu się umówił.

Przed kilkoma dniami, gdy siedział w ogrodowym fotelu przed swoją cottage. Jak w każde przedwieczory, zadzwonił telefon. Zostawił swojego „Times'a”, przysunął stolik ostrożnie, by nie wyrzucić lampki z czerwonym winem i sięgnął po aparat. Usłyszał:

– Proszę pana, jestem z Ossolineum, doktor Agata Poznańska, jakże się cieszę, że wreszcie pana słyszę. Szukamy pana od tygodni...

– Przepraszam, pani doktor Agato, w jakiej sprawie?

– Nasze wydawnictwo przygotowuje od pewnego czasu antologię polskich dramatopisarzy współczesnych, mnie przypadła przyjemność i kłopot napisania pańskiego hasła. Wszystko mi się urywa na roku, kiedy pan wyjechał z kraju.

– Ja nie wyjechałem, raczej wyleciałem. I to z hukiem, i szybko.

– Wiem, wiem, przejrzałam prasę z tamtego czasu...

– O, jaka naukowa pedanteria. Więc do czego mogę być potrzebny?

– Muszę z panem przeprowadzić wywiad, by uzupełnić lukę, chyba dokładnie trzydziestoletnią..?

Więc umówił się z pracownikiem Zakładu Ossolińskich, doktorem literaturoznawstwa, aby... aby co? Udzielić wywiadu, jak mu zapowiedziała przez telefon? Co będzie miał do powiedzenia? Siedział przy stoliku w umówionej zielonkawej koszuli, z herbem wytłoczonym na kieszeni, i wsłuchiwał się w szepty spadającej kaskady, patrzył na rozbłyśki kropel w delikatnej jasności stonowanych świateł, był zły na siebie, za to spotkanie, które mu przerwało smakowanie czerwonego wina i czytanie codziennej gazety we własnym zakwieconym, czerwcowym ogrodzie, przed własnym domem, pod nieobecność chorej żony na wózku inwalidzkim w zakładzie długotrwałego leczenia, on, stary niedźwiedź, w którym

już wygasł wszelki płomień i tylko skóra została, starzejące się mięśnie i nerwy, chyra siwa na głowie i oczy trochę zmęczone i przyczerwienione od tego ozonu i od wina przez lata, dziesięciolecia... Siedział więc zły na nią, że w ogóle zadzwoniła i na siebie, że się umówił. Niby go to nie obchodzi więcej, wyrósł jak ze starych spodni. Kiedy ostatni raz oglądał siebie na scenie? Lata, lata, dziesięciolecia... Gdy przyjeżdżał do Warszawy, młodziutki i odpalony w szaroniebieski mundur pilota, błyszczący od tajemnych znaków, klamer i naszywanych – zamiast prawdziwych wojennych medali – wojskowych błyskotek, panie przepadały, redaktorki hołubiły, dziennikarki lubiły się z nim prowadzić, a publiczność klaskała. Sztuki szły, co rok – co dwa – jedna – albo i więcej; pogodne sztuki, prosty dialog, dość inteligentny i dowcipny czasami, nie bez rozpędu na przyszłe lata męskiej, dorosłej dramaturgii o prawdziwym smaku dojrzałego życia. Matka wypełniona po brzegi zachwytem nad synalem, najbardziej lubiła kwiaty znoszone po każdej premierze. Widzów ściągaly gładkie sztuki, oklaski ciepłe, zawsze cieplejsze, gdy wparadowywał na scenę, by się uklonić, w swoim niebieskawym mundurze pilota, obszytym tajemniczymi znakami... A potem przyszło zwolnienie z wojska za brata w Ameryce, niebieskawy mundur z błyskotkami zastąpiony siwym i bez naszywek i migotliwych blaszek. Były miesiące, dobre parę lat, od rana do wieczora, krótkich przelotów na trasach krajowych w cywilnych liniach; i we mgle, w deszczu, w śniegu, słońcu, po zmierzchu – lot do Wrocławia, lot do Katowic, do Szczecina, w tych starych LID-kach, Iłach czternastkach, prostych i prymitywnych jak auta dostawcze. Trasy międzynarodowe: – poza jego rozkładem, też za brata w Ameryce. Wreszcie była ta pierwsza sztuka, jakby pierwsza w życiu prawdziwa kobieta w młodym, lecz dojrzałym wieku, świeża i bez perfekcji, lecz pachnąca życiem po raz pierwszy. Niedopuszczona na afisz. Zaginiona w zakamarkach cenzuralnych.

Przypomniał sobie znowu (po dziesięcioleciach) swój pierwszy lot zagraniczny. Rozległy niż nad południowym Bałtykiem, pas startowy kurzył się i pieniał od lejącego deszczu, zamknięte lotnisko szczecińskie, pułap był... nie pamiętał teraz, widoczność mniejsza niż trzysta metrów. Miał już za koszulą zrobione wyliczenia i trasę, spodziewał się, że LID-kę zatankowano na powrót do stolicy, odczekał aż mechanicy odeszli na papieroska, oni zawsze wychodzili na papieroska z powrotem do hangaru, więc się wsmyknął do kabiny z nagle rosnącym ciśnieniem, nerwowo i niezgrabnie jak początkujący praktykant po egzaminie, oświetlił instrumenty, rozłożył swoją trasę. Dopiero, gdy pchnął dźwignię gazu i gdy silniki ruszyły pełnym obrotem, gdy maszyna zaczęła kołować, gdy schwycił pas startowy na mierniku – był spokojny i jakby patrzył na siebie samego z fotela drugiego pilota. Szybki, krótki start – parę kwadransów jak po grudach, niczym po wyboistej, leśnej drodze, gdzie

zamiast ciemnych koron miał deszczowe, granatowe chmury niemalże wprost w kabinie. W szarówie i wicherze niżu bałtyckiego dopadł lotniska Kastrup. W godzinę później był już odpytywany przez duńską policję, a następnego dnia oskarżony o „spowodowanie bezpośredniego zagrożenia dla życia pasażerów i załóg przez wtargnięcie bez zezwolenia w rejon lotniska” i za lądowanie, które tylko pijany, maniak lub desperat mógł przedsięwziąć.

Chrytusowe lata, trzydzieści trzy, przepłynęły przez głowę, przez życie, przez wszystko. Ta doktorowa od literatury, gdy się tylko dosiądzie, rozłoży swoje naukowe akcesoria i spyta: „Co pan napisał?” i zaraz potem: „dlaczego pan niczego nie napisał?” Jak jej to wytłumaczyć – i sobie?

Chłodny odprysk wody z nieodległej kaskady spadł mu na czoło, drugi na policzek, woda była przyjemnie zimna i przyjaźnie kojąca. Miał ochotę, stary niedźwiedź, wgramolić się do basenu i przetrzeć się mokrą dłonią po ustach, nosie, oczach, dzisiaj nie najlepszych przez ten ozon i przez wczorajsze wino. Siedział w zakątku, gdzie od dawna rośnie daktylowa palma i gdzie w grudniu stawiają drzewko bożonarodzeniowe ze złotymi kulami dekoracji, skąd miał właściwe spojrzenie na schody zwożące ludzi na dół do przestrzeni wypełnionej kaskadą, stoliczkami i zielonością. Lada chwila miał ją rozpoznać po polskim dzienniku nowojorskim z czerwonym tytułem, który powinna wedle umowy trzymać w ręce.

Poznał ją natychmiast. Wyglądała inaczej niż ludzie z tłumu, ze schodów ruchomych. Wyczuł intuicyjnie, że to jest ona, jakby inaczej ubrana, z tą europejską porządnością, twarz widział z profilu, o wyraźnych rysach słowiańskich, sposób w jaki trzymała głowę, niby zwyczajnie, a inaczej niż kobiety, które widywał na ulicy i w sklepach. I dopiero potem spostrzegł szary numer dziennika z czerwonym tytułem. Chciał jej zamachać swoim egzemplarzem i teraz, na rozpoznanie – jak się umówili – położył na stoliku, by jej ułatwić kontakt oczyma, lecz była zbyt zajęta rozglądaniem się w atrium, musiała być zaskoczona, olśniona?... jak wielu, wielu turystów zjeżdżających schodami po raz pierwszy. Więc wyszedł naprzeciw.

– Pani doktor Agato, Michał Zdun.

– Och, panie Michale, bardzo się cieszę, nareszcie się pan odnalazł.

– Proszę, pani doktor....

– Czy nie można prościej?

– Pani Agato.

– Lepiej.

Usiedli. Przez chwilę patrzyli na siebie z bliska. On pomyślał: jaka mądra, słodka twarz. Ona pomyślała: jaki sympatyczny, starszy facet. Oboje byli zaskoczeni. Nie tego oczekiwali.

– Czy ja się mogę rozejrzeć? W czymś takim jeszcze nie byłam.

– Bo czegoś takiego nie ma, drugiego.

Oprowadził ją po atrium, rozmawiali o marmurach Ivany, kaskadach Donalda, palmach i japońskich turystach. Wzięli z bufetu cappuccino dla niego, sok pomarańczowy dla niej, dla obojga po kawaleczku prawie polskiego jabłeczniaka, ale za Trumpowskie ceny.

Usiedli znów naprzeciw, stoliczek wąski o mało ich nie łączył, zamiast rozdzielać.

– No więc, niech pan opowie, co pan tu robi?

– Najpierw, co pani tu robi, u licha? Nie przysłali pani samolotem w celu zrobienia ze mną wywiadu. Jak to mówicie w kraju, jestem prywatnym człowiekiem, zamiast kandydować do Nobla, czytam książki, piję wino w moim ogrodzie.

Ona:

– Jestem tu już tak dawno, że zaraz odlatuję. Całe trzy miesiące. Stypendium Fundacji. Zbieram skrzętnie i mozolnie wszystko, co się da wyszperać po Świętej Trójcy Nowojorskiej: Tuwimie, Wierzyńskim, Lechoni, przygotowuję habilitację.

– O Lechoni..?

– Tak, a co..?

– Gość ma pośmiertnie cholerne szczęście. Ciągle ktoś tu przyjeżdża z nadzieją, że go znajdzie żywego. Gdyby widział, kto jest tym razem, ciepło by mu się zrobiło w tej ziemi, w której leży, chociaż pewnie by nie docenił, bo należał do klubu, jak słyszałem.

– Co pan chce powiedzieć?

– Że mądrość i urok rzadko chodzą w parze. Pani się to przydarzyło.

Powiedział za dużo, za szybko, za wcześnie? Teraz wszystko skisnie zaraz na samym początku, nim się cokolwiek zdążyło rozpakować i zacząć.

Skwitowała śmiechem, ale musiało się jej spodobać, może trafiło w tę krztynę narcyzmu, żyjącego w najbardziej nawet surowej kobiecie. Pomyślał, „aurea prima, złoty wiek, dojrzała osoba z pierwszymi śladami tak zwanej drugiej młodości, ale jak szalenie młoda, co najmniej dwadzieścia pięć lat z plusem poniżej mojej półki”.

On:

– Jaki to piękny wiek, już doktor, stypendia, podróże...

– Sława i pieniądze? – podchwyciła. – Ani sławy, ani śladu pieniędzy, jeno ciężka robota.

– I od tej ciężkiej roboty tak panią wyszlachetniło, niech pani spojrzy w lustro, widać młodą dziewczynę i piękną naukowczynię.

– Nie można z panem rozmawiać.

– Chciała pani wywiad, no to pani ma, czego chciała.

Jak się spodziewał, wyjęła z podręcznej torby akcesoria do prowadzenia wywiadów. Czego tam nie miała, nawet aparat fotograficzny, taki sprytny, że robił zdjęcia we wnętrzach bez błyskania ludziom po oczach. Zabrała się do roboty:

- Zawód?
- Uśpiony dramaturg.
- A tutaj?
- Emerytowany pilot.
- Żona?
- Izabela.
- Zawód?
- Lekarka w stanie spoczynku.

Szybkie, uważne, bystre spojrzenie. Cisza. Więc nie musi powiedzieć o wózku inwalidzkim. Wiedział, że teraz nadchodzi, zaraz będzie to pytanie.

Uprzedził:

- Niczego nie napisałem.

Znowu to szybkie, bystre, uważne spojrzenie. Cisza.

- A próbował pan?
- Wielokrotnie, zwłaszcza po wypadku, kiedy miałem dużo czasu i pieniądze z ubezpieczenia.

- Czy mogę wiedzieć, co się stało?

– Tak, oczywiście. Nic nadzwyczajnego. Widzi pani, pani Agato, gdy przywiało mnie do Ameryki umiałem wykonywać tylko dwie czynności: prowadzić samochód i pilotować samolot. Pilotów oni tu mają swoich jak psów, cudzych nie potrzebują, więc jeździłem taksówką, nie taką żółtą z licznikiem. To był „car service”, zabierałem z domów różne starsze panie, aby je podrzucić do Bloomingdale, Sterna, Marcusa, czy jakiejś restauracji. Bardzo mnie lubiły i dostawałem czasami solidne napiwki. Zostały same bardzo zawiedzione, kiedy nareszcie znalazłem sobie moje latanie. Instruktor pilotażu w prywatnej szkole lotniczej. Głównie cessny... co to jest? Bardzo popularny samolot sportowo-turystyczny. Taka mniej więcej latająca taksówka. Kiedyś, zaraz po starcie, mewa wpadła mi do silnika, w końcu mi zgasł, pas był krótki, tylko dla sportowych samolotów i zanim się obróciłem, zabrakło mi wysokości i musiałem siadać przed betonowym pasem. I fotel uszkodził mi dwa kręgi. Naprawili mnie terapeuci, ale to nam zajęło parę lat i tak się skończyła moja błyskotliwa kariera pilota. Tak, że ani latam, ani piszę.

- Dzieci?

– Negatyw.

– Przy okazji nauczę się języka lotniczego – roześmiała się.

– Negatyw. Ani słowa o tym więcej. O dzieciach i o lataniu.

– No to weźmy się za pańskie pisanie.

– Wiedziałem, że to mnie czeka. Nie chciałem się umówić z panią, ale mnie próżność zmogła. Moje hasło, mój narcyzm. A pani ma taką mądrą, rozumną, delikatną twarz... Bardziej pani do aktorek niż do naukowców.

– Przestań-że, panie Michale...

– Jeszcze raz, co pani tu robi?

– Szukam Janty, Wierzyńskiego, Lechonia, Tuwima, ich nowojorskich śladów. Tak od kilku miesięcy. Odlatuję za parę dni, nareszcie, choć nie skończyłam mojej pracy, będę musiała kiedyś tu wrócić, tu jest tyle wspaniałych różności, zagadkowych, nieprzyjemnych, poplątanych nowości, sensacji. Panie Michale, muszę się przed kimś pochwalić, znalazłam wiersze, wiersze nigdy niepublikowane i coś więcej. Ujął jej dłoń i pocałował, zanim zdążyła cofnąć.

– A to co?

– Wyraziłem swoje gratulacje bez słowa.

Znowu jej śmiech. Zaczynał to lubić, jej śmiech, oczy, rzęsy, czoło, włosy – to jakby z przyjemnego snu. Trzeba przeżyć szybko, zanim się człowiek nie obudzi.

– Mąż?

– Jeszcze jaki, lepiej nie pytać, bohater narodowy, albo prawie-że, poseł na sejm, wiecznie w stolicy.

– Dzieci?

– Córa, przepiękna i mądra...

– To po mamusi – wtrącił.

– Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę z nią w domu.

– Szczęśliwa?

Teraz ona dotknęła jego dłoni. Miała ciepłe palce o delikatnej skórze. Dotknięcie – przebiegło mu prądem aż do głowy.

– Czy ja mam wywiad z panem, czy pan ze mną, panie Michale..?

– ...Pani Agato...

– Muszę zrobić panu zdjęcie do dokumentacji. – Wzięła leżący obok aparat i z wprawą osoby, która się tym zajmowała wielokrotnie, strzeliła dwie klatki ze zbliżenia.

– Pani Agato, czy nie można by tego wywiadu jakoś rozłożyć na rozdziały, dzisiaj

pierwszy, jurto drugi i pojutrze trzeci, możemy nawet zmienić dekoracje. Nie musi być zawsze tutaj.

– Czy to jest propozycja? – zapytała z uśmiechem człowieka, który został mile zaskoczony.

– Podanie z prośbą.

– Muszę się zastanowić – po przerwie – nic już nie muszę, chyba przyjmę tę prośbę, panie Michale, bo mnie pan zauroczył. Tylko że ja odlatuję i to już nie jest żart, całkiem poważnie: spędzam ranki i wieczory, pakując moje dobra, jutro składam sprawozdanie fundatorom stypendium, pojutrze mam rano gazetę, coś jakby ze mną wywiad, czy rozmowa, a potem teatr na Broadwayu, a potem jest następny dzień, kiedy jadę do Amerykańskiej Częstochowy... sfotografować aleję zasłużonych. Też dla dokumentacji.

– To dziwne i świetne, bo ja także jadę do Doylestown.

– Kiedy?

– Powiedzmy w tym samym dniu. Pokażę pani cmentarz wojskowy z husarzem na koniu, mój starszy brat tam leży, mam kilka spraw do załatwienia, wezmę cooler, jak to jest po polsku? Z jedzeniem i wodą i będziemy mieli piknik, i z powrotem sam przywiozę panią do miasta.

Dopiero jadąc do domu na Long Island poczuł, że się w nim coś roztapia, roztaja... aż do załzawionych oczu, nie tylko winem i ozonem, tym razem. Czerwone światła samochodu, jadącego przed nim, rozmazały się jakby deszcz przeleciał po szybie. Żółtawe lampy rytmicznie odliczały jardy szarej, betonowej ściany tunelu, przyhamował trochę, by puścić ten samochód sprzed siebie. I kiedy zrozumiał, że jej twarz i jej głos, oczy i śmiech, łączą się ze wszystkim, co dobre, światłami oper, sal koncertowych, tyłu zapamiętanych wspaniałości, kolorów, melodii, wzruszeń i wrażeń, uniesień – wtedy on, siwy niedźwiedź, który już nie może, zrozumiał, że dotknęło go – olśnienie, źle powiedziane. Ona go olśniła, tak po polsku, – „został olśniony” to już z innego języka, którego przez tyle lat używał, jak potrafił. Jakie to niewiarygodne, aby w szarym tunelu, w kompletnej i bezbrzeżnej samotności, w aucie, które jest zatrzaskiem, i tunelu, który jest super-zatrzaskiem – nagle doznać błogosławionego stanu uczucia olśnienia.... tu, na łagodnym łuku zakrętu podziemnego, zanim się i tuba, i droga nie zaczną wspinać ku światłu dziennemu.

I nie wiedział, że w tej samej chwili ona, idąc do łóżka w swoim fundacyjnym, ciasnym pokoiku, z oknem na St. Marks Place – powiedziała do siebie głośno: „ten siwy, starszy facet zupełnie mnie kupił, zostałam nabyta w Ameryce na trzy dni przed odlotem”.

Cała Pensylwania to niczym podróż do Krynicy, tylko roślinność bogatsza. Z Nowego Jorku to godzina szybkiej jazdy autostradą aż do rzeki Delaware, która dzieli (albo łączy) stan New Jersey ze stanem Pensylwania. Dawniej trzeba się było klekotać wzdłuż tej rzeki i przez stary, wąski most, zawsze dziurawy, który wiódł od razu do centrum miasteczka New Hope, które różni się tym od Kazimierza nad Wisłą, że ludzie mówią innym językiem. Ale nareszcie wystawili nowiuški most z automatem do płacenia myta, tylko 25 centów, z ominięciem Kazimierza. Stąd już tylko ze dwa kwadransy pomiędzy zielonymi wzgórzami od farmy do miłośnicy i z miłośnicy poprzez łąki, pastwiska do kolejnej farmy. Na podróżnych czyhają, jak pajęczce zasadzki na ofiarę, sklepy, sklepiki, stragany z książkami, wystawy z malarstwem, oficyny z rupieciami pod nazwą antyki, bary, kawiarnie i restauracje, i stadniny koni, wszystko to razem rozsiane wzdłuż wąskiej szosy zwanej turystycznym Edenem. Nieco dalej, na uboczu jakby, poza miasteczkiem Doylestown, stary ojciec Zembrzusi, kiedy jeszcze był młody i krzepki, miał któregoś dnia widzenie i zasiał – jak z Nowego Testamentu – ziarno. Z tego ziarna wyrosła Amerykańska Częstochowa.

*

Nie wiedział, gdzie jej najpierw szukać, gdy przyjechał zajrzał do bazyliki, grały organy jak wielkie grzmoty i było kilkoro ludzi, lecz nie ona. Stamtąd poszedł na wzgórze, gdzie zaczynał się cmentarz. Obok bramy, zaraz po lewej ręce, była wpół pusta aleja zasłużonych. Właściwie to wygląda na łąkę ze skoszoną trawą, a tu i ówdzie tylko jakby ospałe marmury chwające ludzkie żywoty. W Ameryce nie ma grobów, są tylko krzyże i pomniki, ziemia jest zrównana z trawą często strzyżoną, bez miedzy, bez granic, tak że właściwie trudno zgadnąć, po kim się chodzi, spacerując między „grobami”. Najwięcej księży, w końcu to pauliński cmentarz, a pojęcie zasłużony jest bezkresne jak horyzont w pogodny, suchy dzień. Tu jej jednak też nie było. „Pewnie dopadła jakiegoś paulina, egzaminuje go, co zrobił, a czego nie, może nawet przy tym jej czarodziejskim uroku niewinnego stworzenia – udało się jej wedrzeć do pokoju ojca Zembrzusińskiego...?” I jeszcze pomyślał, że lepiej zrobi, jeśli weźmie się do tego, po co tu przyjechał, do grobu Tadka i swojego.

Naprzeciw alei zasłużonych lub łąki – jest poletko szarych, granitowych krzyży, ustawionych w równe szpalery jak na zbiórce, wszystkie dokładnie takie same – cmentarz wojskowy. Nie ma grobów, nie ma pomników, tylko te krzyże, niskie, małe, tak że trzeba się schylać, aby przeczytać napisy wyryte w granicie, tą samą czcionką, czy tym samym liternictwem, jeden w jeden. Wziął się do roboty, dla której tylko miał tu przedtem przyjechać. Granit brata chwycił trochę zielonej bakterii, a z boku przywarła huba lub coś podobnego. Włożył chirurgiczne rękawiczki, zaczął to wszystko czyścić.

– Kto to jest Tadeusz Zdun? – usłyszał.

Zerwał się zaskoczony. Stała tuż przed nim, szczupła, bardzo szczupła, wyniosła, z tą delikatną twarzą, w małych okularach z cieniutką metalową oprawką w kolorze perlistym, które przydawały jej niewymownego uroku. Wiatr przeleciał po pasemku włosów na czole. Wydała mu się tak piękna, jakby wymarzona siostra lub córka, swoja własna.

– Mój brat, pani Agato...

Przerwała raptownie, zniecierpliwiona:

– Czy możesz przestać z tą panią i panią, Michale?

– Piękna Agato, czytaj: data urodzenia, śmierci, kampania wrześniowa, kampania afrykańska, Monte Cassino.

– On też tam był?

– I wyżył, wszystkie kampanie wyżył, prócz nowojorskiej.

– Co masz na myśli?

– Dwóch szubrawców rzuciło się na niego, gdy wieczorem wyszedł z zebrania weteranów, a że był chłopem o silnej ręce i przez całe życie zawodowym żołnierzem, postanowił łobuzom przyłożyć, tylko że nie miał noża przy sobie, w odróżnieniu od nich. Mój brat zmarł w dzień później od ran klutych w okolicy serca...

Uklękła i zaczęła się modlić pół szeptem, pół głośno, więc też ukląkł i podchwycił modlitwę. Klęcząc jeszcze, wyszeptała:

– Czy był do ciebie podobny?

– O, tak... Zresztą, chyba tak...

Podał jej rękę, gdy wstawali, ale już nie wypuścił. Jej dłoń była ciepła i miała gładką skórę. Stali przez chwilę w zupełnej ciszy, aż usłyszeli z daleka wesoły rozgardiasz stada kanadyjskich gęsi. Patrzyła na nie oczyma zachwyconego człowieka, który widzi coś po raz pierwszy.

– Jak tu jest... pięknie, z tym cmentarzem. Przed kwadransem dostałam błogosławieństwo samego ojca Zembrzuskiego, jestem... uroczysta.

– Więc chodźmy stąd, coś ci pokażę.

Prowadził ją rzędami grobów w stronę wielkiego konia z husarzem i jego pancernym skrzydłem, dominującym nad całym wojskowym cmentarzem. Prowadził ją za rękę, dopóki nie zatrzymał się na pustym poletku między dwoma krzyżami znaczącymi groby.

– Widzisz, to jest sekcja lotników. Zostało jeszcze kilka pustych działek. Tutaj leży człowiek mi nieznan, a tu, z drugiej strony – mój najlepszy kumpel nowojorski, ten z którym wytrąbiliśmy całe jezioro wody i wina, wylicytowaliśmy wiele tuzinów szlemów.

Zamilkł przez chwilę, puścił jej dłoń i skończył:

– A tę farmę pośrodku ja kupiłem.

– Przestań. To nie jest grecki teatr, to jest podrobiony Mrozek...

Zrobiło mu się przykro i ona to zauważyła. Dotknęła jego ręki. Powiedział:

– Już widzę, czego nie wiesz. Przecież ty jesteś z kraju. To w RAF-ie, angielskim lotnictwie i wśród Amerykanów, gdy pilot spadał po zestrzale i zarywał się w ziemię, mówiło się, że kupił sobie farmę. To jest jakby ostatni adres pilota. Mówiłem ci, że działek zostało niewiele. Przyjemnie mi wiedzieć, gdzie będę, kiedy wezmą z mojej półki.

– Czy możemy stąd odejść? Zrobisz mi zdjęcie przy husarze.

– Zrobię ci. Dużo zdjęć. Zanim skończymy tę rozmowę: co by się stało, gdybym zaprosił cię na mój pogrzeb. Załatwię to z moim adwokatem. Będzie moja bratanica z mężem, prawdopodobnie, z dzieckiem, prawdopodobnie, i będziesz ty. Kiedyś tam, będzie mi przyjemniej umierać w jednym z obrzydłych szpitali, gdy będę wiedział, że po tym wszystkim, bratanica i ty w końcu przyjdziecie do mnie. Hm?

– Dlaczego tu nigdzie nie ma kwiatów? – spytała szybko, jakby chcąc przerwać tok jego myśli.

– Bo nie wolno.

– Nie wolno kwiatów?

– Co kraj, to obyczaj. Jeśli przyniesiesz, nikt ich nie wyrzuci, ale wyobraź sobie ten straszliwy bałagan i śmietnik między grobami, lepiej tak, czysto, przewiewnie, prosto...

Usiedli potem na ozdobnej, drewnianej ławce z ornamentem, zapewne darowiznie jakiegoś górala. Za plecami była polska łąka lokalnych noblistów pod dowództwem generała Andersa, przed sobą widzieli u podnóża husarza fascynujące poletko wojskowych krzyży, dalej były wzgórza, zielonawe roztoki, odległe osady, cała ta przestrzeń wypełniona wiejskim pojęciem ciszy.

– Czy musisz wracać?

– Tak, chociaż nie skończyłam swojego.

– Pojutrze? Nie można przepisać biletu?

– To bardziej skomplikowane, niżeli myślisz – odwróciła się twarzą i dotknęła jego dłoni – chciałoby się trochę zostać....

Pocałował odruchowo jej dłoń. Oboje poczuli się tym jakby zaskoczeni.

– Czy poznałeś kiedykolwiek, któregoś z tych wielkich, o których mam pisać?

– Tak, tak, pana Kazia Wierzyńskiego, jaki był wspa.....

– Nie mogłeś mi tego wcześniej powiedzieć? Muszę z tobą zrobić wywiad.

– Ile razy mogę być inwestygowany, zostań dłużej, opowiem ci o panu Kazimierzu i o paru innych.

– Wiesz, poznałam panią Walentykę....

– I słusznie, powinnaś, i także znasz już Wittlinową, i wszystkie inne panie.

– Skąd wiesz...?

– Nietrudno zgadnąć, kogo tu możesz poznać.

– I ciebie znam.

– Ja nie piszę, ani nie jestem wdową po jakimś piszącym. Jestem spoza kalendarza. Jak mówią w twoim kraju – jestem prywatną osobą i nie pisuje się prac doktorskich o moich starych sztuczkiach. Wystarczy mi hasło. Jakbym nie wypisał się z wojska. No i co tu znalazłaś?

– Aj, Michale, jakie mam wspaniałe odkrycia, mówiłam ci, mam kilka nigdy, nigdzie niedrukowanych wierszy, mam jednoaktówkę wielkiego poety, listy znalezione, niedrukowane, zaczęte i nieskończone powieści...

– Poczekaj – przerwał jej z nagłą poważnością – przecież to jest sensacja!

– No, powinna....

– Agato, przepraszam cię.

– Bo?

– Traktowałem cię jak dziewicę akademicką, nasłaną z Ossolineum, żeby przetrzepać ludziom życie w celu popisania jakichś monografii, haseł, których i tak nikt nie czytuje, poza autorami.

– Przeprós za to.

Dotknął jej włosów, nachylił się i pocałował w skroń. Po raz pierwszy odczuł jej zapach i nagle zapragnął powiedzieć jej coś bardzo miłego, ale dopiero po dłuższej chwili dodał:

– Chodź. Mam coś do załatwienia i musimy kupić wałówkę na piknik, który tu wydamy. Jakąś miłą stąd, w miasteczku są całkiem dobre delikatesy.

Przyzwoliła się prowadzić za rękę. W chwilę później zatrzymali się w centrum pensylwańskiej miściny. Wprowadził ją do baru, który znał od dawna. Teraz przystanąła obok wysokiego krzesła tuż przed ladą, nie bardzo rozumiejąc.

– A ty co tutaj?

Michał zlecił barmanowi:

– Dwa szampany, proszę.

Gdy wysokie kieliszki ze złocistym płynem stanęły przed nimi, podał jeden jej, drugi wziął w swoją dłoń.

– Serdeczne, uczciwe gratulacje, słodki naukowiec nasz albo mój...

Wzięła swój kieliszek, on dotknął podnóżkiem swego w jej szkło. Kieliszki nie z kryształu, odezwały się cichym nieśmiałym brzękiem. Siedzieli w milczeniu na barowych stołkach, pili szampana. Kiedy była w połowie swojego, zobaczył jej twarz nagle inną niż dotychczas, wciąż ten delikatny wdzięk i uroda, lecz bez uroku; coś bardzo smutnego lub dzikiego... Zanim zdążył się wystraszyć jej twarzy, jej oczy teraz przewężyły się, zmarszczki wokół nich, aż do skroni, zadrgały, nigdy nie widział jej zmarszczek, w oczach jej zwilgotniało, aż wielka przetrzymana łza stoczyła się po twarzy i spadła na kontuar baru i tam się rozbita. Zdjął jej okulary, położył obok kieliszków, wyjął chusteczkę i powoli osuszał jej oczy.

Spojrzała na niego i chciała się roześmiać, głos jej pękł i zacichł. Wycierał nową łzę. Chciał bardzo tę łzę zebrać wargami – swoimi wargami suszyć jej oczy – ale byli w barze i się zająknął.

– Com zrobił, że jest źle?

– Kupiłeś mi szampana... Chodźmy stąd.

Wrócili na tereny bazyliki. Rozłożyli przywiezione jedzenie, ale rozmowa się nie kleiła i nikt nie jadł. Oprócz nich przy stołach piknikowych była rodzina polska, kilka osób, dość głośnych, a dzieci grały w piłkę na łące zasłużonych.

– Skończę czyszczenie krzyża mojemu bratu i pojedziemy do domu.

Uporał się szybciej niż należało, gdyż ciągle widział tę spadającą łzę. Jeszcze miał do wypielenia trochę chwastów na swojej działce, ale zanim skończył, wyczuł raczej niżeli usłyszał, że nadchodzi. Usiadła na trawie, przysunął się do niej. Oparła głowę na jego ramieniu, czuł jej włosy w swoich ustach. Zapach jej włosów i jej skóry przenikał go i budził fizyczny dreszcz nie do pohamowania.

– Wiesz, Michale, dzisiaj rano rozmawiałam z mężem, żeby ustalić, kto i jak odbierze mnie z Okęcia i przeniesie do Wrocławia, no i co w domu słyszać, jak bardzo moja córka tęskni za mną...

Odsunęła się od niego, wyciągnęła na trawie i głośno, prawie krzycząc, mówiła:

– On do mnie, że mnie kocha i tak już od dwudziestu bez mała lat, można siwizny dostać od takiego kochania. Ja mówię mu, że wracam z torbą pełną smakołyków naukowych i literackich, że zrobiłam odkrycia... a on nic, że mnie kocha i nie będzie na lotnisku, jego sekretarz mnie odbierze, a oni mają posiedzenie komisji. Mój mąż jest politykiem, co gorsza posłem na sejm. I tak zawsze było. Wylądowałam w Ossolineum, nic. Obroniłam doktorat, nic. Wydałam książkę, nic. Ludzie mnie lubią, nic; ludzie mnie cenią, moi promotorzy, profesorowie, cała ta czereda naukowa życzy mi jak najlepiej, pakują mnie w habilitację, nic:

„Że mnie kocha”. Nareszcie ktoś mi postawił szampana za moje odkrycia, człowiek, którego widzę drugi raz w życiu. Diabelnie jest ciężko z mężem, który cię kocha... Zrobiło mi się cienko, cieniutko, gdy dostałam szampana; no i masz, Michale, nie to, co chciałeś, ale to, co dostałeś.

– To dlaczego nie zwąchałaś się z jakimś cholernym naukowcem od Mikołaja Reja, razem byście grzebali w papierach, razem pisali, razem nasładzali się wzajemnie...

– Muszę ci powiedzieć, Michale, całą prawdę. Miałam długą przygodę, zadałam się z kimś i puściłam... – Spojrzała na niego i sama nie była pewna, czy powinna mówić – po co ja ci o tym...

– Bo nie masz sobie z kim pogadać, musiałaś to przywieść do Ameryki, w dodatku na cmentarz.

– Masz rację, to miejsce, ono wykoleja myślenie. Można tutaj mówić i mówić, czego byś nie powiedział w kawiarni, ani w parku, ani nawet w domu.

– Może w łóżku...

– E, w łóżku lepiej jest robić co innego.

– Szanowny naukowcze, masz praktyczne poglądy.

– No i wpadłam. Teraz będziesz o mnie myślał jak o jakiejś niedokochanej rajfurze. To wcale tak nie było.

– Więc, jak?

Taką historię usłyszał, resztę sobie dopowiedział i wyobraził.

*

Jej spowiedź:

To wszystko zaczęło się u mnie heroicznie, niczym wielki koncert fortepianowy. Musisz sobie wyobrazić: ja, studentka polonistyki, on starszy o dziesięć lat, z historią, nie tylko pijał kawę z przyszłym prezydentem z wąsami, ale obdarowywał jego dzieci jakimiś prezencikami, z przyszłą panią prezydentową wymieniał policzkowe pocałusy, ludzie przezywali go czasem dolnośląskim Lechitą, w ciągłych rozjazdach, tajnych i zawodowych, w tej nieustannej bieganinie solidarnościowej, taka postać trochę jakby z kronik rewolucyjnych, brakowało tylko szabli albo banderoли, a miałbyś powstanie listopadowe; więc myśmy byli razem, ja na czwartym roku i w czwartym miesiącu ciąży, i on, za którym leciały matki, żeby dotknąć jego marynarki, poklepać po plecach, wiesz, by się lepiej miał. Przędliśmy cienko, gdyby nie jego matka i moi starzy... nie byłoby o czym mówić. I kiedy nastąpiła noc generała, mojego męża zwinęli na początku, był na specjalnej liście super-groźnych, wiedzieli, gdzie go szukać, bo tej nocy nie spał w domu. Sama zostałam w naszym mieszkaniu przy Tęczowej, aby lepiej

brzmiało dla kontrastu; i czekałam, brzuch mi rósł, w piątym miesiącu, w szóstym, w siódmym i nic się nie działo. Generał nie upadał ani na duchu, ani na sile, mąż siedział w obozie, rodzice mnie dozywiali, zaczęły się kłopoty z ciążą, musiałam całymi dniami leżeć w łóżku... albo moja matka, albo jego, sprzątały mi, opierały mnie i żywiły. Oblanie egzaminów semestralnych było gwarantowane, nie chcę być, Michale, patetyczna, bo będę tylko śmieszna, ale kiedyś nagle zachciało mi się spuścić z mojego balkonu na dół, to było czwarte piętro, nie, nie, czuję, że się wzdrygnąłeś, ja bym tego nigdy nie zrobiła, ja sama, co innego, ale ja miałam dziecko w sobie, dziewczynkę, lekarze powiedzieli. Już miała imię, Anusia.

Któregoś dnia usłyszałam dzwonek, jeden, drugi, myślałam, że mama zapomniała klucza i zwlokłam się z łóżka, żeby otworzyć. On był, jakby to określić, nieznacznego, drobnej budowy, ale wysoki, bardzo szczupły, o delikatnej twarzy z chłopięcym uśmiechem, czarne, prawie lśniące włosy, czarny meszek pod nosem, młody mężczyzna, ale jeszcze z taką szczenięcą buzią. Gdy powiedział pierwsze słowa, już wiedziałam, o co chodzi.

– Niech pani się nie obawia, nikt za mną nie szedł. Jest bezpiecznie.

Wpuściłam go. Przyniósł mi trochę pieniędzy, jakieś zagraniczne smakołyki, sardynki, szynkę w puszcze, nawet papier toaletowy. Organizacja, powiedział. Zważali, że jestem w kłopotach, przysłali pomoc i słowa zachęty, „żeby przeczekać”. Miał na imię Łukasz, od razu nazwałam go Łukaś, bo mi jakoś tak wydał się wrażliwą chudziwą. Wyznał, że to jego pierwszy rok w szkole w roli nauczyciela śpiewu po średniej szkole muzycznej i liceum pedagogicznym. Jeszcze mówił, że jako muzyk jest ostatnią ofertą albo ciężką ofertą i głównie lubi czytać stare książki, wolałby raczej uczyć dzieci historii albo literatury. Ucieszył się najwyraźniej, kiedy mu powiedziałam o swojej polonistyce i zmartwił oblanymi egzaminami. Gdy przyszedł następnym razem, dość wstydliwie dał mi gruby brulion i z tym jego szczenięcym uśmieszkiem, który mnie brał, jakbym czuła do niego jakąś słabość, powiedział, że to jego wiersze i skoro jestem taka uczona w literaturze, na czwartym roku studiów, pewnie mu rzeknę jakieś uczciwe słowo, co w tych wierszach, czy jak we wszystkim, co robi znowu zostanie ostatnią ofertą... Przeczytałam wiersze, gdy poszedł sobie do domu. Michale, wiersze były młodziutkie, czasem po prostu kiepskawe, ale coś w nich było. Właśnie tak mu powiedziałam, zapytał, czy nie mogłabym ich poprawić, to znaczy – tam zakreślić, gdzie są koślawe. Któregoś razu przyniósł wiersz nawet nie dla mnie, tylko dla przyszłej Anusi. Byłam tak wzruszona, że się poryczałam, ciąża mnie kopnęła, padłam do łóżka, on zaś grzał ręczniki letnią wodą według mojej instrukcji, ja przykładalam je do brzucha, by uspokoić dziecko. Tak się fatalnie zakończył jego pierwszy wieczór autorski. Przy którejś wizycie spytał, czy może zostawić paczuszkę na przechowanie do następnego

spotkania. Zgodziłam się bez wahania. To były pieniądze dla rodzin internowanych, dużo złotych, ale i sporo dolarów. I tak zostałam kasjerką, nawet nie dorosłam do kasjera, byłam zwyczajną skarbonką, przychodzili – wrzucali, przychodzili – zabierali, kiedy potrzeba... Raz, bardzo wcześnie rano, prawie o szarówce, dwa dzwonki, wiedziałam, że to znowu on, ale co za jakaś nagła sytuacja.

Otworzyłam. Michał, to byli ubecy. Dziecko mnie natychmiast wyrznęło, gdy tylko otworzyłam drzwi, więc siadłam na progu, trzymając się za brzuch, oni musieli wciągnąć mnie do środka, chcieli posadzić na łóżku, ale się obsunęłam, więc siedziałam na podłodze, z głową opartą o łóżko. Pamiętam, jeden zbir mówił do drugiego:

– Ona będzie rodzić.

I wtedy mnie ścięło: zrozumiałam, jak muszę wyglądać i to następne tąpnięcie, tak się zaczyna poronienie? Ale nie straciłam ciąży, siedząc na podłodze przy moim łóżku, kiedy pół tuzina zbirów cywilnych i mundurowych trzepało moje mieszkanie. Dobrali się do pieniędzy szybko, wcale ich nie skrywałam tak bardzo, wiedziałam, że jeśli kiedyś wpadnę, to znajdą wszystko.

– Zabieramy? – jeden do drugiego.

– Ona będzie rodzić – ten drugi powtarza.

– Wołaj Gienka. To nie nasza robota.

W jakąś chwilę później zjawił się starszy mężczyzna, pomyślałbyś, urzędnik z rady narodowej, do emerytury niedaleko, musiał być ważny rangą, bo zbiry stały w pozycjach wyraźnego szacunku. Obejrzał mieszkanie, dobrze mi się przypatrzył.

– Ona będzie rodzić – znowu to samo.

– Widzę przecież – rzucił nieuprzejmie, dał im znak ręką, jakby chciał ich wykićkać z mojego mieszkania.

– Bierzemy? – pytają.

– Przesłucham na miejscu – zdecydował. Nie sposób tego wytłumaczyć, jak się czuje kobieta, gdy wie, że ją zbiera na poronienie. To nie jest ból, tylko jakieś takie umieranie od środka, za chwilę cała ta ciąża wyleci, ale nie dołem, lecz przez usta. A on do mnie, że albo załatwimy sprawę, albo musi mnie zabrać. Jeszcze mówił coś o porodzie w karetce milicyjnej, coś o mojej dziewczynce i obiecał mi umowę, jakby zgodę sądową. Ja zrobię to, on tamto. Ja powiem, skąd pieniądze i kto przynosił, on zlikwiduje kanał, zabroni tej osobie pod groźbą sądu i tęgiego wyroku, w najlepszym razie obozu, praktykowania zakazanej działalności. Powiedział, że jeśli mnie każe zabrać, zajmą się mną jego pomocnicy, krótko mówiąc, dał mi do zrozumienia, że ma ograniczoną kontrolę nad swoimi zbirami.

Chyba zemdlałam, bo nagle byłam mokra, on zaś trzymał mój aluminiowy garnek z resztką wody.

– My i tak znajdziemy człowieka. Ciebie zabierzemy, a tutaj w mieszkaniu zrobimy zasadzkę, to takie proste, działało w czasie niemieckiej okupacji, dzisiaj funkcjonuje tak samo. Albo dwoje ludzi będzie dobrze poturbowanych, prawdopodobnie na dodatek poronisz, albo załatwimy to jak ludzie, którzy mówią tym samym językiem.

– Jak będzie wyglądało „zabranianie człowiekowi zaprzestania działalności niezgodnej z prawem” ? Jak bardzo będzie pobity?

– Nie ze mną. Ja nie biję ludzi. Nie może pani w to uwierzyć? Czy same tylko drapichrusty, łapserdaki, wyrzutki społeczne i dusiciele pracują w organach sprawiedliwości, tak pani uważa? Taka pani naiwna? Przecież nasłuchiwała się pani różnej polityki w domu, przy mężu, wszystko jest bardziej skomplikowane, po obu stronach.

– Co mam zrobić?

– Muszę znaleźć tego człowieka i dostać jego oświadczenie o zaprzestaniu działalności niezgodnej z prawem pod groźbą sądu i wyroku. To wszystko.

– A jeżeli on, czy ona, odmówi.

– Będzie osłem lub oślicą.

– Więc ja to zrobię. Sama wezmę od niego właściwe oświadczenie, czy mogę dostać formularz?

– Niech pani nie robi z siebie dziecka. To jest prawny dokument. Ja przygotowuję oświadczenie, ale podejrzany musi je podpisać w sądzie u sędziego.

Wtedy, Michale, coś jakby przekreśliło się w mojej głowie. Może złapałam coś, co nazywają rozstrojem nerwów. Zaczęłam tak strasznie ryczeć, jechałam do rygi, ryczałam i znowu rzygałam, on się przestraszył, że to się zaczyna poronienie, i ja też... Pamiętam, że prosiłam o pisemne zapewnienie od majora, on był majorem, że mój chłopiec stanie przed sądem i złoży zobowiązanie. Bez bicia, bez więzienia.

– Będzie aresztowany na kilka dni, zanim nie dostanie terminu sądowego, to zwykle trwa parę dni, sędzia odeśle go do domu po złożeniu oświadczenia.

Chciałam to załatwić z majorem, uratować chłopaka. Gdy on coś pisał, ja chyba znowu straciłam przytomność. Ocknęłam się w szpitalu. Miałam ciągle swoją ciążę. Następnego dnia lekarka zwolniła mnie ze szpitala, ale kazała leżeć w łóżku, przez dwa, trzy dni, a potem, aż do porodu, jak najwięcej leżeć. Zadzwoiła po taksówkę. Pielęgniarka sprowadziła mnie na dół do samochodu. Nikt mnie nie pilnował. Mieszkanie znalazłam splądrowane, ale niczego innego się nie spodziewałam. Nikogo nie było. Cisza. Wystraszyłam się. Mają go! Nigdy nie

pytałam go, gdzie naprawdę mieszka, nie miałam adresu, żeby pojechać i sprawdzić. Ale pomyślałam sobie, że to jest właśnie pułapka. Ktoś musi mnie śledzić i ma nadzieję, że prosto z domu pojedę do chłopaka, sama ich tam zawiozę, na samo miejsce. Postanowiłam czekać.

Wieczorem dzwonek. Major. Przeraziłam się. „Zaczynamy od początku?”

– Niech pani mnie wysłucha, ja tu nie jestem służbowo, właściwie wcale mnie tu nie ma, rozumie pani, my teraz wcale nie rozmawiamy ze sobą. Niech pani kogoś wyśle do Łukasza (zna imię!), on potrzebuje pomocy.

– Rany Boskie, coście mu zrobili?

– Nie, nie, on żyje i ma wszystkie kości całe, nic mu nie będzie, ale został źle uderzony, chyba przez zwyczajny przypadek, niechcący, źle został uderzony i potrzebna mu jest pomoc, przez chwilę, ale pani tego nie usłyszała ode mnie.

– Ja nie wiem, gdzie on mieszka.

Napisał adres i podał mi. Więc go mieli.

Majora więcej nie spotkałam. Po upadku generała mój mąż mówił, że major został oczyszczony z zarzutów i nadal pracuje w policji, chociaż ze zrozumiałych względów zmienił województwo.

Łukasza zobaczyłam w łóżku, okrytego prześcieradłem. Jakoś tak leżał, powiedziałabym, niezręcznie. Gdy weszłam, wydał coś, co powinno być okrzykiem radości, ale zamieniło się w miałknięcie kota.

– Co ci zrobili?

– Przyłożyli mi w genitalia.

Zerwałam prześcieradło. Nogi trzymał szeroko rozwarte. Zobaczyłam z przerażeniem wielkie, czarne od wylewu krwi, niczym ogromne śliwy...

– Rany Boskie, ty potrzebujesz lekarza, może chirurga.

– Opatrzył mnie doktor na milicji. Nic mi nie jest, mam leżeć, dopóki skrzep się nie rozejdzie, zrec pigułki na obłaskawienie bólu, ale gdy się nie ruszam, to mnie właściwie nic nie boli.

Zadzwoiłam do mojej lekarki. Szybko przyjechała. Potwierdziła opinię lekarza z milicji, trzeba leżeć i robić okłady. Moja mama przyszła z pomocą. Opowiadała mi, że gdy za młodych lat mój tatuś spadł z drzewa, z jabłonki, tak się grzmotnął i pokaraskał sobie szklanki, że leżał przez dwa tygodnie, albo i dłużej. Moja babcia okładała go zsiadłym mlekiem. Uruchomiłyśmy więc z moją mamą całą manufakturę zsiadłego mleka. Jechałam co dzień taksówką z tym moim brzuchem i zmieniałam Łukaszowi okłady. Już po kilku dniach wszystko zaczęło się ładnie goić... I wiesz, któregoś razu on powiedział, że już nie potrzebuje

okładów. Potraktowałam go jak własne dziecko i dla jego zdrowia byłam uparta. „Podnoś koszulę i już”. Szarpnęłam prześcieradło, on zasłonił twarz dłońmi, a ja zobaczyłam jego penis w pełnym wzwodzie. Tak mnie to rozculiło, że śmiałam się, śmiałam się i powiedziałam mu tak, jak się mówi, o pogodzie: „Czy ty, Łukasiu, myślisz, że nie widziałam członka w takiej pozycji? A nie wiesz, skąd mi się dziecko wzięło, męża mam i się nie wstydz”. Zaczęłam przykładać to zsiadłe mleko, ale musiałam być jednak nie tak zupełnie rutynowaną pielęgniarzką albo stanowczą mamą, bo przez nieuwagę, całkiem przez głupią nieuwagę albo moje wewnętrzne zapeszenie, trąciłam dłonią jego członka. I nie cofnęłam ręki, dotknęłam palcami, potem objęłam dłonią, a Łukasz ciągle trzymał swoje ręce, zasłaniając twarz. Wydał coś w rodzaju ni to jęknięcia, ni prośby, ni zachęty, „no-oo” ... wiedziałam, o co prosił, jakby skromne, niedoświadczone kiciątko. Masowałam, aż poczułam ciepło rozplywające się po moich palcach. Nie zadrżał, nie jęknął, jakby to nie on, nie jego rozkosz i nie jego sperma. Wytarłam jego i siebie ręcznikiem, założyłam opatrunek, wtedy odsłonił swoją twarz i w milczeniu wodził oczyma za mną, dopóki nie wyszłam z pokoju. Nazajutrz powitał mnie wesołym, łobuzerskim śmiechem. Od razu powiedział: „Dzisiaj będę grzeczny. Masz, tu, przeczytaj sobie”. Napisał mi nowy wiersz, który zaczynał się od słów „kocham cię całą”, wyznanie miłosne w formie krótkiego wiersza. Wiesz, Michale, dobrze jednak pracować z literatami, nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć. Gdzieś ten wierszyk mam do dzisiaj.

Wkrótce był już na tyle zdrowy, że okłady skasowaliśmy. Odwiedzał mnie, kiedy urodziłam moją Anusię, czasami wpadał do mnie do domu, przynosił to lub owo, długo rozmawialiśmy, od polityki do jego zmagani artystycznych. Niektóre wiersze nawet były drukowalne, poradziłam, żeby coś dał do drugiego obiegu i dobrze mu podszeptęłam, gdyż parę mu wydrukowali.

On wyleciał z posady nauczyciela, ja nie musiałam się denerwować sesją egzaminacyjną, bo wylali mnie z uczelni za działalność „niezgodną z prawem”. Gdy córka nieco podrosła, zaczęłam chodzić na uniwersytet, kolportując antyrządowe ulotki. Przynajmniej tyle mogłam zrobić dla siebie i moich konspiracyjnych kolegów. Żyłam z pomocy rodziców, trochę biżuterii, jaką miałam, wyprzedawałam, wszystkie białe kruki poszły do antykwariatu na rynku. Gdyby nie Anusia, nie wiem, czy przetrwałabym te kilkanaście miesięcy, to się tak łatwo mówi, jeśli się jest młodym, czas się ciągnie, to bardzo dużo złego czasu, całych tygodni, miesięcy za miesiącami... Tłumaczyłam sobie, że ludzie z poprzedniej okupacji mieli jeszcze gorzej, bo strzelano do nich niczym do bezdomnych kotów. Trochę potajało, mąż zaczął przysyłać listy, a raczej, męża listy nareszcie trafiały do mojej skrzynki na dole w korytarzu.

Za dnia chodziłyśmy z Anusią na spacerzy nad fosę, Podwałem aż do parku i z powrotem. Mała spała w wózku albo ssała smoka, ja trochę dożywiałam się tlenem i jakąś może skibką otuchy. Wieczorami kolportowałam bibułę konspiracyjną dla studentów. Łukasz pomagał mi coraz częściej.

Któregoś dnia, wracaliśmy dość późno, a że dzień był śliczny, ciepły i wszędzie pachniało latem, nawet o tej prawie nocnej porze wiatr był ciepławy, poszliśmy okreżną drogą nad brzegiem Odry, z lewej płynęła rzeka, z prawej były zieloności skarpy nadodrzańskie, krzewy parku, ściemniło się gwałtownie i brak jakiegokolwiek lampy czynił z tego zakątka śródmiejskiego, niemal peryferyjne ogrody. Zatrzymał mnie, dotknął... jak mam to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało jak straszliwa pierdółka? On, wiesz, poprosił, abym znowu popieściła jego penisa. Usiedliśmy na tej zielonej, trawiastej skarpie, osłonięci krzewami. Wyciągnęłam się na trawie. Nachylił się, zakwilił, jakby prosił o nagrodę lub jałmużnę. Milczałam, gdy zdejmował mi nieporadnie majtki, milczałam, gdy dotknął mnie, a potem nerwowo jak ostatnie szczenię rozpinał swoje spodnie i gdy poczułam go w sobie, to jakbym na nowo matką została. Niemal jak kazirodztwo... Był takim słodkim szczeniciem z ambicjami zostania chłopem na schwał. Gdyby ktoś nakręcił do filmu taką scenę: ja na trawie, oddająca się nauczycielowi śpiewu bez posady, który mógłby mi być młodszym bratem, wieczorem, w trawach nad Odrą, kiedy mój stawny mąż-polityk ciągle siedzi, lagruje się w nieskończone miesiące (co on robił w tym strasznym czasie, kiedy ja leżałam w trawach nad Odrą już dobrze po zmierzchu, widząc gwałtownie gęstniejące niebo), ludzie wyszliby z kina, opluwając scenarzystę.

*

– No i co? Jak myślisz, wyglądam na rewolucyjną dziwkę, czy rudą tchórzycę...? – spojrzała na niego, więcej w tym wszystkim czaiło się bólu niż prostego wyznania..

Powiedział:

– Jesteś matką-Polką.

– Co?

– Słuch ci odmówił, naukowcze? Jesteś polską mamą i nie zdajesz sobie sprawy, bo nigdy się nie wysłowię, aby ci wyłożyć, jak to wspaniale, żeś mi to wszystko powiedziała... Jeszcze dzisiaj przed południem znałem cię jako piękną kobietę, a teraz widzę cię tak, jakby cię chciał zobaczyć wytrawny malarz, piękny zarys i subtelne, cudowne wnętrza twoich oczu, twarzy, ciebie całej. Nareszcie widzę cię jak zjawisko... Czy nie obśmiesz mnie, jeśli coś dodam: brakowało mi tej części ciebie... na dobre i na złe zakochałem się w tobie. Boże mocny, którego dawno porzuciłem, jakie to wspaniałe, zupełnie jakbym doznał objawienia Ducha

Świętego.

Gdy wrócił do domu, nie mógł usnąć, nawet nie próbował się kłaść. Wyszedł do ogrodu. Pachniało skoszoną trawą. Długi, czerwcowy dzień zachodził chłodnym wieczorem. Pierwsze robaczki świętojańskie zaczynały swoje występy. Starał się przypomnieć sobie, gdzie może być jego waliza z literackimi szpargałami. Od kiedy żona zachorowała i wzięto ją do zakładu, sprzedał własny dom i osiadł w całkiem wygodnej, lecz skromnej, cottage na terenach posiadłości bratanicy i jej męża, w dolince, skąd wiele stopni prowadziło na górę, gdzie stał mini pałacyk tych dwojga, ich dzieci, ich gości, ich ogrodników, sprzątaczkę i jeszcze tuzina innych ludzi, usiłujących robić to i owo i zgarnąć pieniądze za usługi, najczęściej nikomu niepotrzebne. Trawę koszą co pięć dni, razem ze świetlikami. Tylko przed jego cottage pląsały płonącymi zygzakami, bo nie pozwalał na koszenie trawy częściej niż co dwa, trzy tygodnie. Więc ta waliza musi być gdzieś w piwnicy głównego domu. Poszedł, poszukał, znalazł. Zwłókł po tych schodach starą walizę, pamiętającą epokę statków pasażerskich z lat pięćdziesiątych, kiedy przeprowiał się przez Atlantycką, ciężką, pełną literackich szpargałów; otworzył ją w altanie, zapalił światło i przeglądał: teczki, kartki, pisanina – nic nie skończone, niewiele zaczęte. Znalazł początek rękopisu ostatniej sztuki, nigdy nie dopisanej do końca. Poczytał kawałki, resztę przeleciał wzrokiem, coś jeszcze z tego pamiętał. Zmierzch przemieniał się w ciepłą, bezksiężycową noc. Świetliki pulsowały jasnością niczym latające latarnie gdzieś daleko w przestworzach. Chciał jakby coś zacząć pisać, ale zanadto był jeszcze cały z nią lub ona cała była wokół niego, przy nim i w nim. On, stary niedźwiedź, który już nie może, zakochał się jak ubogi student w pięknej piosenkarce... I było mu z tym rozkosznie i słodko, jak za podchorążackich lat. Wziął kartki papieru, pióro i napisał:

„Fraszka na Agatę, prozą pisana pod tytułem: Cud w Atrium.

Onegdaj żył w Polsce młody dramaturg, któremu dobrze się wiodło. Pisał sztuki, jedna za drugą, przeplatane a to scenariuszem, a to słuchowiskiem radiowym. Nawet był nagradzany i namawiany na więcej. O mało nie zapisał się na amen. Gdy wreszcie dotarło, że więcej znaczy gorzej, tak się zniechęcił, że gruchnął maszynę, zgarnął do kieszeni jedyne 25 dolarów i ruszył przez Kastrup do Ameryki, by pogadać z bratem, odsapnąć od tego ganiań wokół własnego ogona. W Polsce był w swoim żywiole i dobrze płynął, a gdy wychynał z niego, cumując na drugim brzegu Wielkiej Wody, stało się z nim dokładnie to, co się dzieje ze stworzeniem, które ląduje na piasku. Tak się nawciągał amerykańskiej atmosfery, że z wolna zasnął w Panu. Jeżeli są śpiący rycerze, czy nie mogą być śpiący pisarze? Językiem prawnika: pisarze w stanie uśpienia?

Aż po wielu latach przybyła do Nowego Jorku w poszukiwaniu zmarłych dusz pani doktor

Agata. Na wyjeździe z Polski złapała redakcyjne zlecenie – wytropić Michała Zduna. Któregoś dnia, pełnego nowojorskiej duchoty, madame Agata zawiadzała Zduna do Trumpowego atrium przy Piątej Alei. Tam, w szmerze kaskady, zmywającej wielopiętrową ścianę marmurów Ivany, w kojącej zieloności palm Donalda, madame dokonała trzygodzinnego zabiegu na pisarzu. Nie minęło nawet kilka dni, a ruszyła reakcja dotleniania nieżywego. Zanim jeszcze doktor do spraw umarłych dusz odleciała do domu przez Atlantyk, on wywłókł ze schowka skórzaną walizkę pełną literackich szpargałów, między którymi leżały maszynopisy dawno zaczętych sztuk teatralnych, wziął papier, pióro i zaczął coś robić. Jedni powiedzą: cud, ale zaraz wpadną w podejrzenie. Jak to tak, przez całe życie – literatura, książki, studia, badania, doktorat – nagle pojechała do Nowego Jorku i kiedy nikt sprawdzić nie może – to zniosła cud. Niedowiarku, otwórz Biblię. A kto pojechał do Kany na ślub znajomych? Był już dojrzałym mężczyzną, gdy na prośbę mamy przemienił zwyczajną wodę w nadzwyczajne wino. Nigdy nie jest za późno na coś po raz pierwszy. Inni by powiedzieli, że zabieg madame Agaty ma podręcznikowe znamiona seansu bioterapii – leczenie bez dotyku to przecież ustalona już przyszłość medycyny. Jak zwał, tak zwał, a cud się stał! Kiedy Michał opowiedział przez telefon tę historię mężowi bratanicy, który jest farmakologiem i o pokolenie młodszym, ten skomentował rozmowę uwagą „dziewczyna zrobiła dobrą robotę” i na dodatek zafundował wujkowi praktyczną poradę „nie zapomnij jej wysłać ładną kartkę na Boże Narodzenie”.

(koniec części pierwszej)

Czcigodna Agato, załączam tę fraszkę jako dowód na piśmie, że mam papier i maszynę. Najpierw przyszło mi do głowy, żeby ci coś podszeptać, że może wyjąć z mojego hasła wszystkie noty o tym, com zrobił, a czego nie, a wkleić tę fraszkę, ale znowu sobie pomyślałem, że za takie propozycje mogą cię wylać z Ossolineum. Strata finansowa niewielka, lecz podobno bardzo sobie chwalisz swoje zajęcie. Skreślałam ten pomysł jako podejrzany, że może pisałem fraszkę po pijaku.

Rozpowszechnianie tego tekstu bez zgody autora jest zabronione. Jest to wyłącznie podyktowane moją troską o ciebie i twoją rodzinę. Gdyby fraszka trafiła do prasy i radia, prawdopodobnie setki listów spadłyby na twoją. Bogu ducha winną głowę, z prośbą o cudowne dotknięcie, bo wiesz, jak to z ludźmi, zaraz przyłożą własny rozumek: „jeśli wskrzesiła pisarza, to wskrzesi i stolarza”.

(koniec części drugiej)

Z letnim, gorącym pozdrowieniem

– Michał Zdun”

Radosny i odświeżony pierwszym tekstem, który skończył po długich latach, pił swoje czerwone wino, dopóki nie zasnął w altanie przy walizie pełnej literackich szpargałów.

*

„Będzie długi, literacki dzień, który, nie wiadomo, jak się skończy”, pomyślał sobie. Ubrał się w jedwabną, sportową koszulę, włożył na głowę letni kaszkiecik, uporawszy się z chyłą siwych włosów, by wyglądała filmowo, znalazł włoskie sandały, szurnięte przed laty do szafy, gdy żona się rozchorowała, golfowe skarpetki, był całkiem gotów do tej podróży w nieznane.

Rano zadzwonił do męża bratanicy. Szczęśliwie był w aptece, więc mógł to załatwić z nim, a nie kompromitować się przed bratanicą.

– Jeff, tu Mike. Jak leci?

– Fajnie, jak tobie?

– Nadzwyczajnie, właśnie złapałem problem od tej nadzwyczajności.

– Co jest?

– Potrzebuję jedną pigułkę viagry, bez recepty.

– Hm..?

– Tak. Przystojna kobieta. Chwyciłem się.

– Mike – Jeffrey wyraźnie się ucieszył – czas na ciebie, stary niedźwiedziu, abyś wstał z leża...

– Ona jutro leci z powrotem do Polski.

– Wpadnij do apteki, będzie czekało.

– O-key, Jeff.

– O-key, Mike.

W parę minut później musiał zadzwonić jeszcze raz.

– Jeff? Jak to działa? Na ile wcześniej mam to łyknąć?

– Na godzinę.

– Skąd, do diabła, mam wiedzieć na godzinę wcześniej, że będę potrzebował?

– Viagra działa do czterech godzin, ale z tego, co mi ludzie mówią, najlepsze rezultaty są po godzinie.

– Bóg zapłać, Jeff.

Jadąc po Agatę na Manhattan, odebrał viagrę z apteki. Schował do portfela między karty kredytowe. „Będzie długi, literacki dzień, który, nie wiadomo, jak się skończy.”

*

Zabrał ją z miasta i wracał teraz znów na Long Island, którą chciała splądrować w poszukiwaniu miejsc uświęconych niegdyś boską stopą Wierzyńskiego, Lechonia lub Tuwima, (zauważył, że Wańkowicz skreślony, bo zwyczajny pismak w odróżnieniu od boskich i nawiedzonych poetów). Wjechał w tunel pod East River – tym razem było całkiem pustawo, jechali szybko, szybciej niż pozwalały na to przepisy. Przyjechał po nią swoim lincolnem z otwartym dachem, wygodnym w środku, muzyką płynącą z czterech głośników. W tunelu radio zamilkło.

Zbliżał się do łagodnego zakrętu i wtedy jej powiedział:

– Tutaj, w tym miejscu, w szarym tunelu, spadło, czy zeszło na mnie objawienie. Zrozumiałem, że mnie olśniłaś jak wielka gwiazda albo lepiej: wschodzące letnie słońce.

Roześmiała się, lecz była jakby nieco zawstydzona tym wyznaniem zniecka i wyraźnie zadowolona. Wreszcie z ulgą usłyszała to, co chciała usłyszeć. Gdy lekko sterował kierownicą, by wejść w ten łagodny zakręt, przysunęła się do jego fotela i krótko, z radosną beztruską młokosa, pocałowała go w policzek.

– O, jakie świetne miejsce, najpierw olśnienie, teraz twoje usta...

– ...nad brzegiem pucharu, nie wygłupiaj się, Michale, chciałam ci dać znak, że tak cię lubię, jakbyś był bliskim mi człowiekiem przez ostatnie dziesięć lat...

– Wiesz, masz rację, to jest właśnie tak, jak powiedziałaś, ja cię czuję, jakbyś była ze mną, przy mnie, Agato...

– Hm?

– Może ja czekałem na ciebie przez całe moje emigranckie lata...?

– Wzruszenia w tunelu szarym i betonowym, to się może zdarzyć tylko w Nowym Jorku, Michale.

– W Paryżu też są tunele, nawet ludzie w nich umierają. Czy masz ubezpieczenie na pobyt zagranicą? I zapnij swój pas.

Wynurzyli się z tunelu, nagła jasność czerwcowego przedpołudnia spadła im na przednią szybę. I wróciło radio nagle – szeroko, śpiewnie, przyjemną, znaną z dawnych lat muzyką, oboje niemal równocześnie zawołali: „Co to jest, Boże, jakie to znane?”.

– Moja matka to śpiewała – powiedział.

– Moja córka grywa to na pianinie – dodała.

Znalazł jej dłoń, okrył swoją, nie cofnęła ręki i jechali tak w milczeniu, słuchając muzyki

sprzed lat, dopóki się nie skończyła.

– Inaczej prowadzisz samochód...

– Bo, co?

– Zawsze się denerwuję i prawie pocę ze zdenerwowania, nie mogę doczekać się końca jazdy, a z tobą czuję się zacisznie, jakbym siedziała w kinie i oglądała to nie w przedniej szybie, ale na ekranie.

– Może dlatego, że byłem pilotem...

– O, Boże, jak jestem tępa. Oczywiście, dotarło nareszcie, widzisz, nawet ja coś potrafię zrozumieć: po zawodowym lataniu odrzutowcami, prowadzenie samochodu to dla ciebie niewinna rozrywka.

– Z pewnością. O piątej popołudniu w Nowym Jorku albo na Long Island Expressway. Słodka niewiedza, jest akurat odwrotnie. Dopiero po starcie można sobie darować chwilę prawdziwej ciszy, odpoczynku i pojednania ze sobą. Tam na górze niewiele jest do roboty, można pomyśleć albo o pięknej kelnerce, albo o niezapłaconym rachunku od szewca. Wiesz, te dzisiejsze samoloty, którym przyleciałaś i którym odleczisz, potrzebują tylko jednego pilota i jednego psa. Spojrzała, wietrząc jakiś podstęp.

– Pilot siedzi tam w kokpicie i pilnuje automatycznego pilota, pies siedzi na drugim fotelu i pilnuje pilota, żeby niczego nie dotykał.

– Znowu swoje zaczynasz...

Opuścili autostradę zjazdem 39 w stronę Great Neck, mijali coraz to inne, ale podobne do siebie, osiedla eleganckich domów, kondominiów, klubów sportowych i stadnin koni dla niedzielnych przejażdżek.

– Przed laty były tu farmy, rosły kartofle, rzodkiewka i kalafiory, Polish valley.

– Dlaczego?

– Dlaczego polska dolinka? Bo na farmach pracowali Polacy, razem ze sławnym Melchiorem, który właśnie tutaj przesiedział swoje amerykańskie lata, ściślej mówiąc, to Królik pracował na farmie, a Melchior gadał, gadał, gadał i czasami pisał, ale gdy pisał, to robił to bardzo dobrze.

– Znałeś go?

– Tak, on mnie nazywał czcigodnym komunistą.

– Przecież uciekłeś.

– Cóż, to nie ma znaczenia, nawet po ucieczce nasze spojrzenie na świat i ludzi jest tak lewe, z lewej strony, że nie możesz znaleźć sobie miejsca. Tam czekają na ciebie z wyrokiem za tę ucieczkę, tutaj nikt ci nie wierzy i co poniektóry węszy jakiś skandal, jakąś konspirację,

może podwójny agent. Czy wiesz, ilu fajnych ludzi bało się mnie zapraszać na przyjęcia?

– Coś takiego?

– Pomówimy przy okazji. Chcesz najpierw do Sea Cliff, tak? Zobacysz, jakie to piękne, amerykańskie miasteczko, z dostępem do morza, twój ulubieniec tam bywał.

– Po pierwsze, nie ulubieniec, lecz wybitny poeta, o którym między innymi piszę swoją habilitację...

– Szanowny naukowcze, głębokie wyrazy przeprosin.

– To jest źle powiedziane po polsku, a on przyjeżdżał tu odwiedzać Skrzetelskich.

– ...Którzy mieli pensjonacik letni dla polskiej arystokracji po herbie i piórze.

Potem coś jej się skojarzyło, spojrzała na niego z wyrazem nowego zaskoczenia.

– Znałeś ich?

– Znałem.

– Znałeś Lechonia?

– On skoczył, zanim ja wylądowałem, dużo słyszałem o człowieku, że był zdolny jak szlag, chory na umysł i należał do klubu...

– Jak możesz tak...!?

– Czcigodny naukowcze, ty piszesz i miłujesz, ja znam ich takich, jakimi byli. Jeden ciągle miał katary i siąkał nosem, drugi był wariatem, trzeci leczył ziołami ciągle zatwardzenia...

– A ty? – zabrzmiało jak prowokacja.

– Ja? Mam kręgosłup, żonę w zakładzie na wózku inwalidzkim i swoje wieloletnie milczenie i za dużo czerwonego wina – pomyślał, że dla uczciwości należałoby dodać, że jest starym niedźwiedziem, który już nie może... przemilczał.

Znalazł jej dłoń, przyciągnął do swej twarzy i pocałował. Nie cofnęła. Więc opuścił swoją rękę z jej dłonią i trzymał lekko, czując jej miękką, delikatną skórę.

Zjechali w stronę Sea Cliff. Odnaleźli stary adres pensjonatu Skrzetelskich. Obiekt dawno został rozebrany do szczytu przez lokalnych kontraktorów, pojawiły się nowe domy. Czarujące, starsze małżeństwo, trochę takie z filmu „Nad złotym jeziorem” opowiedziało Agacie o dawnych czasach Sea Cliff, białorusyjskich sąsiadach i Polakach, koszących trawę co tygodnia. Dali się sfotografować, Agata wróciła do samochodu jakby trochę zadumana.

– Potraktowali mnie jak własną kuzynkę...

– Jeśli będziesz mniej kręciła się po Manhattanie, a więcej czasu spędzisz w miasteczkach, podmiejskich osiedlach, możesz załapać wujków i ciotek tuzinami. To jest amerykańska natura. Przy tym są tacy naiwni w swej szczerzej dobroduszości, że im wszyscy zrypują tyłki, Chińczycy, Rosjanie, Arabi, Japońcy...

– Polacy też?

– Nie, Polacy trzepią sobie tyłki nawzajem. Obcym słabo potrafią, trzeba mieć charakter do trzepania tyłków.

– No, toś mi zrobił prasówkę literackim językiem, tylko dać na wizję.

Samochód ruszył. On prowadził, ona nuciła melodię, którą usłyszeli po wyjeździe z tunelu.

– Dokąd? – spytała

– Lunch – odpowiedział.

Sterował samochodem w stronę rodzinnej posiadłości, na której miał swoją cottage.

*

Jego spowiedź:

„Ja to widzę, Agato, w ten sposób. Gdy siadłem na lotnisku Kastrup tą sfatygowaną LID-ką i gdy policja mnie aresztowała za naruszenie obszaru kontroli bez pozwolenia, więc gdy zostałem aresztantem u samego zarania mej wyprawy po wolność, całe stadko dziennikarzy obiegło posterunek. Nie byłem do tego przyzwyczajony. Równocześnie drukowało się to wszystko w gazetach po obu stronach: w polskich, że uciekłem, podły oszust i zdrajca, w duńskiej prasie – leciały moje zdjęcia i tytuły: bohaterski skok polskiego pilota. Jedni pisali, że zrobiłem szarżę, drudzy, że spieprzyłem. Wiesz, powiem ci, że ja także widziałem to dwojako. Szarża, która jest ucieczką. W końcu zwałem, bo mnie tyłek swędział. Chciało mi się świata i sprawiedliwości. Mogłem sprawiedliwości dochodzić na miejscu, jak wszyscy inni, którzy nie umieją latać i nie mają samolotów po ręką, choćby takich jak spracowana LID-ka. Brat, który dowiedział się o mojej Somossierze, interweniował w konsulacie i u samego ambasadora, polski rząd emigracyjny też apelował do Kopenhagi, żeby mnie zostawili w spokoju i puścili z tego głupiego pierdła.

Umowa stanęła taka, za pomocą mego brata i rządu londyńskiego: Kopenhaga wpakuje mnie na statek i odeśle do Nowego Jorku, gdzie dostanę azyl polityczny na interwencję międzynarodowego PEN Clubu i Komisji Praw Człowieka.

Jeszcze musiała się wydarzyć taka przygoda prawna, bez której nie mógłbym opuścić Danii. Któregoś dnia zawieźli mnie do sądu, gdzie czekał na mnie sędzia, bardzo miły gość, do dzisiaj go pamiętam, gdy przyglądał mi się z uśmiechem, jakbym był zwyczajnym łobuzem, ale on – sędzia – to rozumie, bo też w życiu połobuzował. Zostałem oskarżony o naruszenie strefy obszaru powietrznego Królestwa Danii bez pozwolenia, co jest przestępstwem w tymże Królestwie Duńskim, przyznałem się do winy. Zapisano w aktach sądowych, że jestem winny złamania praw Królestwa. Sędzia zwolnił mnie od kary ze względu na okoliczności łagodzące, wszystko było ukartowane i przygotowane z góry od

początku do końca. Skoro sędzia zwolnił mnie od kary, policja zwolniła mnie natychmiast z aresztu, a w parę godzin później przedstawiciel duńskiego PEN Clubu odholował mnie na przystań pasażerską i wsadził na holenderski statek z biletem do Ameryki. (Brat zapłacił, nigdy nie zdażyłem zwrócić). W Nowym Jorku czekała na mnie dziewczynka (oprócz oficjeli polonijnych i miejskich) w polskim stroju z nieznanego mi regionu (potrafię odróżnić tylko krakowiaków po piórze i górali po spodniach), która trzymała w ręku wiązkę pięknych kwiatów. Wydało mi się, że przyjechałem do szkoły na wieczór autorski. A potem wszyscy ode mnie czegoś oczekiwali. Komitet emigracyjny ostrzegł mnie, abym nie chodził sam wieczorami, bo mogę niby przypadkowo zaginać. Więc chodziliśmy razem z Tadkiem, który nie tylko, że starszy, ale i lepszy był ode mnie, umięśniony, zbudowany, jeśli komuś przy grzał w pysk, ten długo pamiętał. Ale nie zaginałem i nikt na mnie nie napadł, niestety, trafiło na brata, ale to były lokalne zbóje, typasy szprycujące się strzykawkami w wypalonych domach lub na wyludnionych klatkach schodowych. Najdłużej wydzwaniało radio „Wolna Europa”, zachęcali do felietonów i pogawędek. „Głos Ameryki” też miał dla mnie chwilę na antenie, gdybym zechciał...

Ale ja byłem przez całe moje życie pilotem i nigdy nie pracowałem w redakcji, wcale mi się nie chciało pisywać pogadanek. Więc zaprzestali dzwonić. Jedni z wolna mnie zapominali, drudzy, przeciwnie, szeptali w domach i po zebraniach, że coś knują: skoro milczę długo, za długo, widocznie strzelę z grubej rury, aż grzmot przemierzy Atlantyk i sięgnie obu kontynentów. Im dłużej nic, szeptali, tym grubsza rura będzie. Od czasu do czasu przychodziły listy od mojej matki, najpierw z pytaniami, czy bym nie wrócił, jeśli wina będzie podarowana i nie wyląduję po raz drugi w pierdłu, tym razem za opuszczenie polskiej strefy obszaru powietrznego bez zezwolenia. Nigdy nie wpadłem w zachwyt nad mamusinyymi planami obejrzenia syna raz jeszcze, po tamtej stronie. W zamian proponowaliśmy matce, aby się wybrała na jakąś wycieczkę zagraniczną, gdziekolwiek, Włochy, Austria, gdzie razem z Tadkiem podjęlibyśmy ją po synowsku. Kiedy pochowałem Tadka, te plany jakoś przybladły. Zamiast pisać artykuły, plądrowałem ten wspaniały kraj. Wiesz, jak tu jest łatwo kupić przechodzony samochód z wyjąłym tłumikiem i niebieskawym dymkiem z tyłu od spalanego oleju. Można było, dziś niebieskie dymki skreślone przez federalne prawo. Trochę dolarów w garści, karta kredytowa i... w ten kraj. Kiedyś, gdy wracałem z Chicago późną nocą przez Pensylwanię, nagle zachciało mi się napisać sztukę po angielsku, dla tych ludzi, których domy przysiadły na stokach wzgórz, właśnie mijalem w cudownym nastroju przyszłego dramaturga nowojorskiego... Ani się w Ameryce nie urodziłem, ani wychowałem, a już, broń Boże, w Londynie. Jestem do dziś sztywny w

angielskim jak stary gwóźdź w sztachecie. Jak myślisz, czy ja jestem bohaterem, czy tchórzem? Ten skok przez Bałtyk, to była polska szarża z szablą w garści? Gdybym się rzucił do wściekłego zagryzania rządu ludowego, gdybym bryznął plwociną, żeby aż przeniosło na drugi brzeg Atlantyku..? Gdybym przynajmniej raz jeden dał w mordę konsulowi? Myślę, że nie jestem ani kawalerzystą, ani śmierzącym tchórzem. Kiedyś, u zarania mego życia, na zakończenie jakiejś kolejnej klasy, gdy dostałem książkę w nagrodę za eleganckie świadectwo, kierownik szkoły powiedział do nas: idźcie w świat, zostawiając ślady za sobą. To miał być, jak on powiedział, cytat z Asnyka. Wsmyrgnął mi się w pamięć. Widzisz, jestem takim facetem, co chodzi nie zostawiając śladów. Duch człowieka, duch dramaturga, model wszystkiego niedoważonego. Gdybym stanął dzisiaj przed Bogiem, nie potrafiłbym się wytłumaczyć, dlaczego zmarnowałem talent, podarowany mi przy urodzeniu, przez tak zwaną Opatrzność. I boli mnie to już przez całe moje długie, dorosłe życie; nie strzeliłem z grubej rury.

Opowiem ci moją słowacką romanzę. Wystawili mi sztukę w Bratysławie. Mój dowódca pułku był czytany w literaturze, jego żona widziała wszystkie moje sztuki. Mimo, że to już trzeci raz w miesiącu chciałem się urwać z jednostki, dostałem przepustkę, jak to w armii, na 32 godziny, zaraz potem zaczynały się nocne szkolenia.

Zabrałem się naszym samolotem do Bemowa, z Warszawy LOT-em, przyleciałem rano, próby generalnej nie widziałem, była poprzedniego dnia. Po południu byłem w teatrze z dyrektorem i widziałem jak reżyser ustawiał na nowo, czy inaczej, końcową scenę drugiego aktu. Przedstawili mi aktorów. Ona siedziała na tapczanie, jak w tekście było napisane, i czekała na tę częściową próbę, i gdy podała mi dłoń, także spojrzała w oczy. Miała duże, zielonkawe oczy, lekko jakby wilgotne, jakby trochę rosy, jakby trochę z niewyspania, jakby niedonoszona łąza. Słowa nie powiedziała, uścisnąłem jej dłoń, lecz do przedstawienia pamiętałem tylko jej oczy. Premiera wypadła całkiem, całkiem, zresztą już tę sztukę przewalcowali w kraju na sześciu scenach, więc reakcja publiki była do przewidzenia, gdyż ludzie w Bratysławie tym się różnią od ludzi w Kaliszu, że mówią po słowacku. Więc ja dostałem kwiaty, wszyscy aktorzy dostali kwiaty, ona dostała swoje kwiaty i gdy kurtyna odcięła nas od widowni, podszedłem do niej i dałem jej moje. Czy słyszałaś kiedykolwiek słowacki? Jeśli mówią z wolna i prostą składnią, wszystko rozumiesz, prawie jak u siebie w domu. Powiedziałem jej, że mi padną w samolocie albo zostaną w hotelu, skoro mieszka w Bratysławie najlepiej zrobi, jeśli weźmie je do swego domu. Przyjęła bukiet, uśmiechnęła się; oprócz oczu miała usta i miała delikatną, białą skórę jak nastolatka, choć była w moim wieku albo i nieco starsza, i jeszcze miała piękne, żółtawe włosy, i cała mi się tak zmieściła w moich

oczach, w moim wyczuciu kobiety tuż przy mnie... kobiety w moim guście, w moich wyobrażeniach, jakby z młodzieńczych marzeń szkolnych, kiedy można sobie było jedynie pomarzyć. Chwyciłem się na nią i nie słysząc ani słowa, ani śmiechu, głosu tyle, co w czasie przedstawienia, kiedy mówiła mój tekst, tak jakbym z obrazem się zaprzyjaźnił. Słowacy, jak powiedziałem, tylko językiem się od nas różnią – tak samo jak po wszystkich premierach w kraju, po spektaklu – in gremio – poszliśmy do znanej restauracji na kolację. Ona siedziała naprzeciwko; czy ją tak specjalnie usadowili, czy sama wybrała sobie, dość, że przez całą kolację ona patrzyła na mnie tą zielonkawością wielkich oczu, tak że można się było skrócić z wrażenia. Rano, wczesny samolot do Warszawy, stamtąd –taksówką na Bemowo i naszą maszyną do jednostki, by załapać się na wieczorne loty szkoleniowe. Tak mi się nagle zachciało zostać w Bratysławie i jutro z nią, jej imię i nazwisko miałem w programie, cały Boży dzień, razem. Czy ja się jej spodobałem? Czy ona w ten sposób patrzy na każdego, w końcu jest aktorką, to jej zawodowa robota. Ona na mnie patrzyła jak najęta, mnie widział się następnego dnia, w mieście lub poza, spacer nad rzeką, w parku albo na rynku, może na dworcu kolejowym, bez jakiegokolwiek znaczenia, byle jutro mieć z nią ten dzień i doczekać się jej głosu. Jak się śmieje, co lubi jeść, gdzie mieszka i czy ma dziecko i męża? Skończyła się kolacja, pocałowałem jej dłoń na pożegnanie... a ona patrzy i w zakłopotaniu pytam o jej telefon. Wyjęła z torebki ołówek do brwi, napisała mi numer telefonu na mojej dłoni. Raniuško – odleciałem do Warszawy, żeby stawić się w jednostce, uniknąć wojskowego kicia. Wieczorem, czy to po tej pamiętnej kolacji, czy po wszystkim razem – wieczorem, gdy zameldowałem wieży gotowość do startu, gdy pchnąłem lewar na pełny gaz, gdy leciałem po startowym pasie, coś się stało; spóźniłem się z wrzuceniem dopalacza. Myślałem, że się uda, ale instruktor natychmiast wiedział, co się stało. Spuścili mnie natychmiast z lotów bojowych i przesłali na szkolenie startów, jakby łebka, co wczoraj zameldował się w jednostce. Mogłem być zostawić ślad w Bratysławie. Dlaczego nie zostałem? W kiciu posiedzieć, nie takie wielkie zdarzenie, jeśli dowódca jest obryty w literaturze, a jego żona widziała wszystkie moje sztuki. Zapytasz, co to ma wspólnego z niepisaniem. Nie potrafię wytłumaczyć, sobie samemu także. To jest niczym pierwszy objaw chronicznej choroby, ... która się rozwija z wiekiem”.

– Przerwa na lunch. Co byś chciała zjeść? Powiedzmy, czego nie jadasz?

– Czosnku, krabów, raków, mrówek, dżdżownic, kiszonej kapusty. Resztę jadam, byle mało.

– A chciałabyś sałatę nicejską?

– Wiesz, nie trenowałam we Wrocławiu.

– Dostaniesz amerykańskie wydanie sałaty nicejskiej. Pomożesz?

– Jestem słaba w kuchni. Mój mąż gotuje, jeśli jest przypadkiem w domu, a tak to moja albo jego mama.

– Czy potrafisz, jajko?

– Ugotować? Tak...

– To pewnie i dwa potrafisz. Masz tu, nalej wodę i postaw na kuchnię.

– Ona wygląda jak porządny komputer i nie wiem, jak się do niej zabrać.

– Zaraz to zrobię.

Ona zajęła się gotowaniem jajek, potem je studziła, on mył i układał na talerzach liście bostońskiej sałaty, po środku solidną łyżkę tuńczyka, wokół zaś krajane pomidory, oliwki, wreszcie te jajka, rozcięte na pół, wszystko skropione włoską oliwą z pierwszego, zimnego tłoczenia. Patrzyła jak talerz zapełniał się kolorami i miejsca zroszone wodą lub cytryną perliły się białymi iskierkami.

– Jak to pięknie wygląda!

– Teraz ten amerykański dodatek. Na jajka kładziemy anchoise, dwa paseczki na każdym, zaś między pomidory dokładamy brunatną fasolkę, upieczoną i zamarynowaną. Bierz talerze.

Nakrył stół w altanie ze ścianami z cieniutkiej siatki, chroniącej wieczorami przed najazdem komarów i muszek leących do światła; teraz drzwi altany stały w pełni otwarte.

Przyniósł kieliszki i butelkę.

– Do nicejskiej sałaty można podać tylko rosè z Cote de Provence. Ale nie ma rosè, gdyż nie wytrzymało trudów morskiego transportu, wiesz, rosè trzeba pić na miejscu. Dostaniesz kalifornijski Zinfandel, równie delikatny jak rosè z Cote de Provence, aczkolwiek coś zupełnie innego.

Skosztowała:

– Boże, co za słodycz w ustach!

– To wino nie jest wcale słodkie, ma tylko taki słodkavo-jabłkowy posmak, zostający na wargach. Spodobało ci się?

– Mogłabym wpaść w nałóg przez ten wasz Zinfandel, ale odlatuję, Michale.

– Coś jak ja wpadłem z moim czerwonym winem z południowych Alp.

Przyniósł podgrzane w piekarniku włoskie pieczywo. Zabrali się z ochotą do nicejskiej sałaty.

– Nigdy więcej nie byłeś w Bratysławie?

– Nie. Ona szybko mi przeszła. Tylko mnie bolało, że zachowałem się jak małe szczenię.

Dwie wiewiórki wskoczyły na dach altany, goniąc się ni to w harcach, ni to w zawodach

lub może w zalotach. Wyszli przed altanę, ona z ciekawości, on, żeby wiewiórkom kota pogonić.

– Mają godowy miesiąc – mówił – do niedawna biegały tu dwie pary, ale od kiedy jedno zginęło w wypadku samochodowym, drugie owdowiałe przeniosło się do sąsiadów z nadzieją, że coś podłapie.

Niechcący dotknął jej dłoni, wtedy dopiero wyczuł, czy spostrzegł, że stoi tuż obok, taka bliska i taka daleka. Oparł dłoń na jej ramieniu, pozwoliła, dotknął jej włosów, chciałby jej tyle powiedzieć, tyle naopowiadać po tych wszystkich latach, całych straszliwego milczenia. Zdawało mu się, że ktoś otworzył grobę i to wszystko, co się w nim nagromadziło przez dziesięciolecia, teraz ruszyło w dół, w dziki, nieokiełzany wąwóz i tak się czuł, stłamszony latami, obmurowany wysokim brzegiem ludzkiego rytuału, tego co wolno, a co nie; zaś w nim, czuł to w piersiach i w szyi, w twarzy, tam, gdzie dwie tętnice prowadzą krew do mózgu – czuł ten rwący potok, tak że ścięło go niemal od głowy aż po stopy.

– Jakbym cię znał przez lata...

– Tak? Ja też... – zwierzyła się.

– Czy mogę dotknąć twego czoła?

– Czoła?

– Ustami.

Nachylił się i pocałował ją w czoło. Było ciepłe i jeszcze jakieś, nie umiał określić, dopiero po chwili – coś bardzo swojego.

– Czekałem na ciebie przez tyle lat...

– Michale...

– Teraz nagle wiem po tylu latach myślenia, imaginacji, marzeń: tak powinna wyglądać moja córka, gdybym ją sobie wyobraził.

*

Potem zabrał ich kieliszki, resztę Zinfandela i poprowadził Agatę, jak sobie życzyła, w stronę skarpy nadbrzeżnej. Chciała zobaczyć Wielką Wodę, przemieszkała w tym nadmorskim mieście całe trzy miesiące i nie widziała tej sinozielonkawej przestrzeni, która zaczyna się u stóp tego miasta i sięga brzegu Afryki, Portugalii i Hiszpanii. Gdy dotarli nad skraj, Agata krzyknęła: „O, Boże!”.

Ten widok ze skarpy był jak prosto z obrazów Churcha, jak z samego piękna hudsonowej szkoły malarskiej. Był obszerny. Ten pejzaż lub krajobraz raczej, rozciągał się od drapaczy Manhattanu z lewej, w dalekim horyzoncie, przez mosty zawieszane ponad Zalewem, przez łagodne wzgórza Westchester po drugiej stronie i sinobrunatne lasy Connecticut, hen, daleko.

Z jednej strony złościły się w słońcu tuziny żaglówek jak szkółka małych sardynek, pośrodku płynął tankowiec, a zielone, zarośnięte bogato brzegi tu i ówdzie uzupełniał akcent drogiego pałacyku. Była w tym obrazie i sielanka, i rozmach, i perspektywa, i niebo rozpięte nad nimi, wysokie, błękitne niebo nowojorskie...

– Boże, jak tu pięknie – powiedziała.

Usiedli na obrzeżu skarpy. Zdjęła pantofle, podwinęła mankiety spodni, zanurzyła bosc stopy w trawach. Nalał resztę wina do kieliszków.

– Za twoje odkrycia, po raz drugi, czcigodny naukowiec.

– Za twoją następną sztukę, milczący dramaturgu.

Delikatnie oparł rękę na jej ramieniu, wyczuł jej ciepło spod białej, cienkiej bluzki.

– Żebyś wiedziała, jaką ty jesteś piękną łodzią...

Odsunęła jego rękę i wtrąciła bez żartu:

– Łodzią? Tego nie było w programie.

Speszył się, bo czuł, że powiedział za dużo, lecz teraz, kiedy już chlapnął językiem, należało się jej kilka słów jakby wytłumaczenia.

– To było tak, Agato, muszę ci opowiedzieć przydługi dowcip, którym nasz ksiądz pewnego razu uraczył wiernych w upalny, duszny dzień, kiedy ludziom nie chce się słuchać kazań, woleliby od razu do liturgii i do samochodów z klimatyzacją. Anegdota: „Był sobie ksiądz, poczciwy emeryt, bardzo religijny i głęboko wierzący. Tak się we wiarę zagłębił, że postanowił popróbować sił. Boże Świąty, przejdę bosc przez naszą rzekę, wielki Hudson, a Ty mnie przeprowadzisz na drugi brzeg, jak przeprowadziłeś lud Mojżesza, oni głęboko wierzyli i ja wierzę głęboko, Boże Ojczy, daj mi zdrowie, siły i wiarę, abym przeszedł przez tę rzekę na drugą stronę do Ciebie. I pewnego dnia stary ksiądz na emeryturze zdjął buty u brzegu Hudsonu, spojrział na przeciwległy brzeg, sinoniebieski od parującej wody. Ruszył więc przed siebie, jedna stopa, druga, woda chłodna, woda głęboka. Wiesz, Hudson jest ogromem, a statki oceaniczne wpływają sto mil w głąb ładu. Więc nasz ksiądz wpadł głęboko i zaczął tonąć. W pobliżu wędkarze łowili ryby z małej łodzi. Widząc nieszczęście, rzucili wędki, chwycili za wiosła i szybko byli przy księdzu.

– Daj rękę, wciągniemy.

– Nie, nie – odparł ksiądz, nieco krztusząc się wodą mnie Pan Bóg uratuje.

Rybacy odpłynęli, czując, że trafili na maniaka. A szybki nurt niósł tonącego księdza.

Helikopter z Ochrony Przyrody leciał wzdłuż brzegu, pilot spostrzegł tragedię, szybko był nad księdzem i rzucił koło ratunkowe uczezione nylonowej linki.

– Chwyć się, człowieku obiema rękami, wciągniemy cię na pokład.

– Nie, nie – odparł ksiądz, nieco krztusząc się wodą – mnie Pan Bóg uratuje.

Helikopter odleciał, a ksiądz się utopił. A że był wielce religijny i głęboko wierzący, jego wniebowzięcie było natychmiastowe. Kiedy stanął przed obliczem Pana Naszego, spojrzął w Majestat i spytał dobrodusznie:

– Boże, który stworzyłeś świat i wszystko, dlaczegoś mnie nie uratował?

Na to Majestat rozłożył ojcowskie dłonie i rzekł:

– Nasz dobry człowieku, zrobiliśmy, co można, żeby cię uratować, posłaliśmy łódź, nie zabrałeś się, rzuciliśmy ci koło ratunkowe, nie chwyciłeś się, nasza łódź, nasze koło, twój wybór.”

Agata parsknęła śmiechem:

– A ty jesteś tym emerytem, który boso wchodzi do Hudsonu?

– Uhm – po przerwie – po latach topienia się, Bóg mi zesłał łódź. W odróżnieniu od księdza, ja się zabieram, ja się już zabrałem cały, kompletnie, do ostatniej tkanki mego mózgu, która rozpoznaje radość od tonięcia.

– I ja jestem twoją łodzią?

– Chrystus zawsze mawiał w takich sytuacjach: „Ja tego nie powiedziałem, to tyś powiedział.”

Oparła głowę na jego ramieniu, tak że czuł jej włosy na policzku, w ustach i w oczach, wciągnął powietrze poprzez jej włosy, powietrze pachniało nią...

*

Jego spowiedź, ciąg dalszy:

– Przez krótki czas byłem ojcem – powiedział.

Odsunęła się od niego, zwróciła głowę tak, że spojrzeli sobie twarzą w twarz. Cisza; nie spytała, nie zachęciła, tylko na niego wciąż patrzyła tymi jej oczyma, w których było tyleż zmysłowego piękna, co ludzkiej mądrości.

– Myślisz, po co ja ci to mówię..? Sam dobrze nie wiem. Intuicja każe mi to mówić. Jeżeli bym ci nie powiedział, zostałbym ryżym tchórzem.

– O, Boże, teraz mamy ryżego tchórze...!

– Słuchaj, skoro masz jakby specjalny status, jesteś moją łodzią ratunkową, zanim się zabiorę, muszę oczyścić sumienie z wszelkich rupieci, aby spośród nich wyszperać moją parszywą duszę ryżego tchórze, co paradował ongiś w mundurze pilotów. Wyobraź sobie taki scenariusz: On, nie młodzianek i nie starzec, bez posady, bez zawodu praktycznego, krótko mówiąc: uciekinier. Codzienna praca w tele-taxi (car service), dobre, sute napiwki od starszych pań dowożonych do ekskluzywnych sklepów przy Madison Avenue, Piątej Alei lub

na międzynarodowe lotnisko. Jeszcze zanim zdobyłem świetną robotę instruktora w szkole lotniczej i kiedy miałem cały kręgosłup. Ona: młoda, ładna lekarka, stypendystka, która została, rzuciła swoją szkołę medyczną, posadę asystentki, dowód osobisty, zameldowanie w Warszawie, paszport służbowy, bo się zakochała we mnie... Spotkaliśmy się na towarzyskim bridge'u u wspólnych znajomych. Moja żona świetnie gra w bridge'a, ...grała. Więc po miesiącu byliśmy małżeństwem. Już wtenczas miałem świadomość, że wchodzę codziennie bosymi stopami do wielkiej rzeki i przymierzam się do wyprawy na drugą stronę. I nie będąc starym pobożnym księdzem, wiedziałem, że utonę, ledwie wleżę do tej rzeki. Małżeństwo przerwało marzenie o bosych stopach i rzece. Byliśmy razem ze sobą. Zarabiałem zielone jako zawodowy kierowca, żona zabrała się do nostryfikacji dyplomu. To ciężka harówka, ale czy można sobie wyobrazić lepsze, wspanialsze finansowe życzenia, jakbyś nie nazwała – niżeli perspektywę lekarza w Ameryce? To miało ją czekać. Źle się wyraziłem. To nie było marzenie w półśnie, szansa w loterii, to było coś bardzo konkretnego w naszym życiu, wiedzieliśmy nawet, tak mniej więcej, kiedy się to stanie. Zrezygnowała z naukowej kariery, wiesz, asystentki zostają adiunktami, zastępcami profesorów, profesorami w kilku odmianach, zwyczajnej, nadzwyczajnej, prawie jak w dyplomacji, tytułami się objucza człowieka, czcigodny naukowcze, robisz w tym samym...

Zostawiła mamę, ojca, siostry, wszystko. Zakochała się. Wzięła wszystkie kursy, uczyła się jak biedne dziewczątka z siódmej klasy, od rana do wieczora i od wieczora do rana, uczyła się jak biedny emigrant, który chce zostać lekarzem w Ameryce. I poszła, ja ją zawiozłem, rano, zanim ten kolos nowojorskich autostrad wypełnionych po brzegi, że aż piana leci na boki, jeszcze się nie obudził, zawiozłem ją do portu morskiego nad Hudsonem, to taka nowojorska ciekawostka. Po epoce Titaniców, Królowych Elżbiet, Batorych – porty opustoszały, ludzie jeżdżą na lotniska, zaś morskie porty robią bokami, szukają pieniędzy, więc organizują pokazy, targi, imprezy, również egzaminy dla cudzoziemców na lekarza w Ameryce. Ten obłąkany egzamin zdaje się miesiącami, latami, często na raty. Mamy przyjaciela, który dał za wygraną po dwudziestym doskoku, zajęło mu to całe dorosłe życie tutaj, całe dwadzieścia lat, aby nie zdać egzaminu na lekarza. Moja żona oblała raz, a za drugim – zdała połowę egzaminu. (Po co ja ci to wszystko mówię?). Nareszcie odetchnęliśmy świętym, wolnym, świeżym powietrzem, koty poszły za płoty, jak moja mama mawiała. Teraz jeszcze z połowę roku tego siedzenia na tyłku ze stertą książek przed sobą i... termin drugiej połowy.

Zaczęliśmy tu i ówdzie pokazywać się, wychodzić z domu, do Chinoli na kolacje, bo najtańsze, a smaczne, do kina, no i na bridge'a. Była jesień, tutaj jesień zaczyna się przed

październikiem i nigdy nie wiadomo, do kiedy sięgnie, bywa czasami jeszcze w grudniu, przetelepie się deszczami do stycznia, każdego roku trochę inaczej, niekiedy w styczniu nadchodzą przedwiosenne dni, bez zimy jak w południowej Francji, gdzie jesień bezpośrednio zamienia się w przedwiośnie. Nasi znajomi, lekarze, mieli swój dom wakacyjny w Hamptons, zaprosili nas na weekend. Pamiętam, łaziliśmy po plaży boso, woda była ciepłutka, słońce ostre, dużo ptactwa, no, a potem – skok pod kolorowy parasol na tarasie i rober za robrem, gdzieśmy jedli, pili przez całe dwa dni. Na pożegnanie gospodarze wydali świetną kolację, chyba jedliśmy lobstery z pieczonymi ziemniakami, jakąś górę kolorowej sałaty i piliśmy dużo wina, które płynęło butelkami. Moja żona trochę sobie podpiła, to samo gospodyni, ale ja z przyjacielem poszliśmy w duży dym. Z Hamptons do miasta – szmat drogi, ponad trzy godziny jechania coraz to inną autostradą, a z końcem weekendu tysiące ludzi robią dokładnie to samo, wracają do miasta, więc zatory są nie krótsze niż w godzinach szczytu w dni powszednie.

Wyjechaliśmy późno i już w kwadrans, czy dwa, mimo solidnego przyłania, zdawałem sobie sprawę, że mam ze trzy albo i cztery ciężkie godziny do miasta i że po prostu nie dam rady. Za bardzo byłem przydymiony. Mijaliśmy właśnie zjazdy na Sag Harbor...”

– Tam, gdzie zaraz jedziemy?

– Wątpię. Ja się nigdzie nie wybieram, bo mam inne plany, a ty jesteś bez tak zwanego środka transportu, krótko mówiąc – na własnych nogach nie dolecisz, a ja mam co innego do roboty.

– Co? Obiecałeś mi dzień literacki.

– Z przerwami. Ja po południu idę z tobą do łóżka na pożegnanie, więc nie mam czasu wozić cię do Sag Harbor...

– Michał, Michał... opamiętałbyś się...

– Co to jest Sag Harbor? – mówił dalej. – To nie jest Tremezzo, brakuje pięknych Alp na horyzoncie, nie Stressa, gdyż palmy nie rosną, prawdopodobnie Riva del Garda jest najbliżej, choć w Gardzie nie ma takich jachtów, patrząc na jachty w Sag Harbor, nagle zdaje ci się, że jesteś w St. Tropez.

– O, Boże, zaraz jedziemy!

Mówił znowu:

„Jeździłem tam parokrotnie z bogatymi typasami, to była świetna siuchta dla kierowcy, trzy godziny w jedną, trzy w drugą, godzina w Sag na lunch i oglądanie tych bogatych jachtów i sto pięćdziesiąt bananów do portfela, wtedy przed laty to było całe mnóstwo mamoli.

Więc zjechałem do Sag i znalazłem, mimo przymroczenia, motel – padłem do łóżka. Tabuła rasa, prawie że nic z tego dzisiaj nie pamiętam, jak weszliśmy do pokoju i jak zwałem się do tego łóżka. Jakiś pokój bez kształtu, bez kolorów, raczej szary, bo gdy się zbudziłem, była szara godzina tuż przed świtaniem. Czułem w sobie przepicie, ale też i radość, że najgorsze zostało przespane i że nie spowodowałem wypadku. Krótki moment, kiedy się jeszcze jest trochę na dymie, ale już zaczyna się kac. Moment, kiedy się chce do toalety i szklanki wody lub soku; trochę może wstyd i nie na miejscu, nie czuj się pobrudzona, gdy to mówię: wtedy – nie to, że ja – lecz chyba każdy zdrowy człek chwyta solidny, twardy wzwód i ma, i ma, lepiej niż na trzeźwo, bez porównania. To jakby się dzisiaj viagrą naćkał albo upoił tym czeskim preparatem o smaku i kolorze herbaty. Chciałem ci przez to powiedzieć, że wróciwszy z łaźienki, rozbudziłem żonę łażeniem i gmeraniem się w łóżku i wtedy tego się polubiliśmy...W kilkanaście dni później żonę złapały bóle głowy i mdłości, nie kończące się od rana do wieczora, miała rację ominąwszy internistę, idąc od razu do ginekologa. Była w ciąży. Kiedy przyszła do mnie i powiedziała mi z jakimś takim poczuciem smutku i zawstydzenia, że jest w ciąży, prawdopodobnie zakląłem, coś w rodzaju – o, szlag! – jak mi to później żona przypominała i wymówiłem coś takiego banalnie głupiego, jak „tylko nam tego brakowało”. Nie wziąłem mojej żony za rękę, nie pocałowałem mojej żony, nawet jej nie pogłaskałem po włosach. Z bezbrzeżnym żalem o tym czasami sobie myślę, dopiero, gdy ona zachorowała i gdy już było wiadome, że jej życie spełniło się w jakiś nieoczekiwany i tragiczny sposób, i że się już nie da naprawić niczego, odwołać niczego, dodać coś, odrobić zaległości... Ani ja, ani ona nie przepadaliśmy za dziećmi, biorąc ślub na wierność i na dobre, i złe, obiecaliśmy sobie – że nie będziemy mieli dzieci, przynajmniej, nie szybko. Oboje czuliśmy się jakoś nie gotowi do zawodu rodziców. Już byłem starym koniem pod czterdziestkę, ale czy to przez tę literaturę, przez charakter pismaka, czy może taki się już urodziłem – czułem się jakby trochę niedorozwinięty. Bezgraniczna żądza zostania ojcem w stylu Jagiełły, bo on musiał z powodu korony, czy taka zwyczajna, włoska, bo Włosi mają kompletnego kota z dziećmi, zwłaszcza na synów – była mi po prostu całkowicie obca. Dziś nie pamiętam, jak wyglądał ten wieczór, kiedy wróciła od ginekologa i z jakimś poczuciem smutku i jakby zawstydzona, powiedziała, że jest w ciąży, nie wiem, czy jedliśmy kolację? Na pewno tak. Poszliśmy spać? Na pewno tak. Następnego dnia ja zarabiałem jako szofer, ona wkuwała medyczne mądrości na pamięć. Zapytałem ją, znając i tak prawdziwą odpowiedź, czy to się stało w Sag Harbor.

– Tak – powiedziała – przeliczyłam się z moim kalendarzem chyba o jeden dzień, powinnam wiedzieć lepiej.

Dlaczego to się tak właśnie musiało stać? Na dziesiątki małżeńskich stosunków, dlaczego ten właśnie zaowocował ciążą? Im dalej w czasie, tym większa panika ogarniała mnie całego. Dobrze wiedziałem, co zmagistrowałem. O siwym świcie, jeszcze pijany, a już na kacyku... Moja sperma była przenicowana alkoholem, gdy się zakotwiczyła przy jajeczku żony, niewydarzona, niegotowa, niedojrzała, po prostu chora. Kto się może urodzić z takich plemników? Wiedziałem, przerażała mnie sama myśl, słowo niewypowiedziane, lecz wyraźne i ostre jak gwałtowny ból, jakby strzyknięcie, od którego mąci się w głowie: Down syndrom. Przerazonymi oczyma mojej wyobraźni już widziałem okrągłą, chińską, czy tybetańską gębę bachora z pustogłowiem, złośliwego jak bestia, tak, jak to się pisze w podręcznikach o dzieciach z Down syndrom; jako mały, będzie ogryzał meble jak szczenię, większy – będzie targał rzeczy, wyrzucał książki przez okno, rozpali ognisko w bawialni, rzuci nożem w matkę, strzeli ojca kijem golfowym i dopóki nie wyskoczy przez okno lub nie odda się go do specjalnego zakładu – przemieni nasz dom i nasze małżeństwo w apokaliptyczną wizję piekła. Dlaczego po dziesiątkach, jeśli nie po setkach stosunków, musiała właśnie zajść w ciążę, gdy byłem po dużym dymie, jeszcze podpity, ale z kacem na wątrobie... Jeszcze powtórnie się upewniałem, czy to rzeczywiście stało się w Sag Harbor, czy jest nadzieja, że kilka dni później, gdy pokochaliśmy się w domu, czy parę dni wcześniej... Była pewna, w tym hotelu o sinym świcie, z zapachem słonego morza... na głodno i po dużym dymie. Jakże nienawidziłem tej ciąży, nie siebie, lecz tej – Bogu ducha winnej – ciąży, jakby to ciąża grała w bridge'a, jadła lobstera i wychłapała co najmniej dwie butelki włoskiego wina, a potem wpięprzyła się do samochodu, aby jechać do Nowego Jorku, ryzykując po drodze życiem przygodnych ludzi, którzy patrząc na nasz samochód nie podejrzewali niczego złego. Nie możemy urodzić chorego kitajca, tłukło mi się we łbie dniami i nocami przez te parę dni, zanim moja żona nie powiedziała do mnie:

– Nie chcę tej ciąży – ja nic, więc ona – chcesz mieć dziecko?

– Może być chory chinol...

Na to przerwała mi wprost:

– Jeżeli nie chcesz, to nie ma sprawy, posłuchaj – mówiła – gdybyś nawet był trzeźwy jak kanarek tego rana w hotelu, mało by sprawę odmieniło. Termin mojej drugiej połowy egzaminu akurat się wpakuje w to bezhołowie domowe pod tytułem rodzenie dziecka. Wiadomo, że nie zdam egzaminu i że to, czego się teraz nauczyłam i mam to w głowie obryte, zapomnę do następnego terminu. Będę musiała zacząć wszystko od samego zarania, dwa lata będę miała z głowy, jeśli nie więcej. Małe dziecko nie zachęca do wkuwania tomów, a poza tym ktoś będzie musiał robić pranie, pewnie ty, nie licz na mnie z praniem ani z

podcieraniem dupki i pudrowaniem brzuszka, pamiętasz, cośmy sobie obiecali na ślubie? – tak mówiła i ja słuchając tej muzyki już nie bałem się o chorego chinola, kitajca z okragłą żółtawą głową i z jakąś cholerną wodą w środku.

– Czy będziesz mogła mieć dzieci po tej skrobance? – spytałem.

– Słuchaj – zapewniła mnie – przy dzisiejszych instrumentach i z doświadczonym ginekologiem, nie ma sprawy, ciąża jest bardzo młoda, a sama nazwa to jak pusty dźwięk, tradycyjny, dzisiaj wszystko się wymywa, nikt niczego nikomu nie skrobie. Czasy pogrzebacza się skończyły, to jest zabieg ambulatoryjny, po którym jedzie się do domu.

Miałem bardzo ciężki dzień, byłem dwukrotnie na lotnisku Kennedy'ego, po południu trzeba było zawieźć rodzinę na lotnisko w Newarku, dyspozytor kazał mi przez radio czekać ponad godzinę, aby odebrać małżeństwo, wracające chyba z Karaibów, jeśli pamiętam, a wieczorem znowu kursy do podmiejskich dalekich dzielnic. Zarobiłem tego dnia kupę forsy. Gdy wróciłem do domu, było późno, chyba po dwunastej, żona leżała w łóżku, więc ją zapytałem:

– Jak? Żyjesz?

– Tak sobie.

– Boli cię?

– Nie. Trochę jestem ululana.

– Bolało?

– Nie, ale to nie jest przyjemny zabieg, to nie rwanie zęba pod znieczuleniem.

Teraz nie pamiętam, abym przysiadł na łóżku i pogłaskał lub pocałował żonę, ale też niczego nie zrobiłem takiego, żebym sobie mógł wyrzucić. A może przysiadłem, pocałowałem, to do mnie pasuje, tylko nie pamiętam. Ona była zmęczona i prędko usnęła. Jutro jest następny dzień, jak mawiają Amerykanie, pojechałem znowu do pracy brać te kursy, a żona wzięła się do swoich podręczników.

Gdy wróciłem do Kościoła po wielu latach, chciałem się jakoś z tego umyć, bo się czułem brudny. Ksiądz, który mnie spowiadał, był całkiem inteligentny, jego kazania cieszyły się w naszej parafii dobrym posłuchem. Więc zdumiałem się, jak on mnie potraktował. Opowiadam mu, nieco krócej niż teraz, co się stało, cośmy zrobili do spółki z żoną, a on na to: „był to czas twojego błędzenia, gdy owca oddali się od stada, swojego Kościoła, zwykle robi sobie krzywdę. Grzechem było porzucenie stada. Ta ciąża spędzona? Muszę cię rozgrzeszyć, boś nie wiedział, co robisz, dwoje ludzi, para zabłąkanych owiec, które sobie zrobiły krzywdę”. I nie dał mi żadnej pokuty. Czułem się zawiedziony. Miałem kolosalną szansę zostawić w życiu po sobie ślad i wytarłem go natychmiast, zanim jeszcze przybrał jakikolwiek kształt.

Ryży tchórz.”

Siedzieli na skarpie znowu przytuleni do siebie, ona patrzyła na szkółkę kolorowych żaglówek srebrzących się z lewa na horyzoncie, on wciągał zapach jej włosów i skóry, oczy miał zamknięte, było im dobrze, każdemu w inny sposób. Świrl mew przekołował nad ich głowami, czymś wystraszone ptaki odlatywały nad wodę.

– I nie mieliście potem dzieci?

– Nie.

– A próbowaliście?

– Nie. Ja nie chciałem wtedy mieć żadnych dzieci, chciałbym teraz, kiedy już po wszystkim.

– Coś ci przyniosę. Zaczekaj, muszę wrócić do samochodu, po moją torbę pełną literackiego bogactwa.

Za chwilę była z powrotem. Przyniosła niewielką książkę w białoszarej oprawie.

– Myśmy to wydali, Ossolineum.

Spojrzał, wiersze.

– Będziesz mi czytała? – spytał.

– Sam sobie zobacz i nie wiersze, ale sam początek przedmowy. Czytaj.

Sięgnął do książki... *„ciąg udokumentowanych informacji rodzinnych rozpoczyna dziad – Józef, żołnierz, wojsk Księstwa Warszawskiego, uczestnik moskiewskiej kampanii Napoleona (brał udział w bitwach pod Smoleńskiem i Borodino), podporucznik w okresie powstania listopadowego... [...] Miał 67 lat, gdy urodził mu się [...] najmłodszy z siedmiorga dzieci syn...”* Zamknął książkę i powiedział:

– Aj, jaj, 67 lat, gdy urodził najmłodszego z siedmiorga, że znacznie młodszy żoną? Czy to nie jest pomyłka zecerska?

– Sama prawda, Michale.

– Chcesz powiedzieć, że czas mi jeszcze?

– Jeśli chcesz zostawić po sobie ślad...

I wiedział, że nie powinien wymówić słowa, że jest starym niedźwiedziem, który już nie może. Chyba, że pomoc Jeffrey'a... Przemilczał zatem i dopiero po chwili:

– Wystarczy, jeśli znowu napiszę sztukę. Ale za dobre słowa pociechy, stokrotnie dziękuję. Tak miło, że we mnie wierzysz Agato, tak się ułożyło, że naprawdę powinniśmy spróbować...

– Nie, już mi za późno na drugie, moje mi wystarczy, rozejrzyj się, Michale, za jakąś kuzynką lub przyjaciółką kuzynki...

– Przewrotna, choć czcigodna... Czy możesz mi zostawić tę książkę. Odeślę ci z czasem.

– Twoja, nie musisz odsyłać, specjalnie zabrałam dla ciebie.

Otworzył na chybił-trafił i zaczął czytać, najpierw po cichu, a potem głośno:

*„Dziś we śnie mnie nawiedził anioł polskiej doli
I płakał, szumiąc w mroku skrzydłami srebrnymi,
Jak gdyby chciał powiedzieć: „Umierasz powoli,
Samotny, tak daleko od rodzinnej ziemi”.*

– Michale, bardzo piękną ucztę wydałeś, sałata nicejska z amerykańskim zestawem, była znakomita. Zinfandel – dobrze, że go w Polsce nie ma, wpadłabym w nałóg. Mieliliśmy również część artystyczną, czytanie wierszy wybitnego poety. Imponujące! A teraz bierz się dalej do roboty. Jeśli ci powiem, że mi jest przykro, to skłamię, mam radosną ochotę ciągać cię po tym obszernym Long Island i teraz właśnie wsiądziemy do samochodu i przed nami Sag Harbor.

*

Zaopatrzeni w cooler pełen zimnej wody źródlanej, kanapki z szynką, kantelopę pokrajaną w talarki, kubeczki do picia oraz wiele innych różności – jechali autostradą 495 aż do końca, aby tuż przed Riverhead, największym miasteczkiem we wschodniej części Long Island, skręcić w wąską i krętą drogę i by dotrzeć do autostrady 27 „Wschodzącego Słońca”, prosto jak batem strzelił w kierunku Hemptons.

Dzień przewijał się na drugą stronę i schodził w dół. Słońce przyżółkło i zrudziało. Pejzaż zawsze w tej okolicy wiejski, pastoralny, jakby zmięktł; półtony, przyblaski, łagodność wzgórz morenowych, ciężka zieleń sosen i świerków, jaskrawe poletka farm, biała nagość domów zbudowanych pośrodku niczego, na zwyczajnym, wiejskim pastwisku. Jedynym elementem zakłócającym spokój były rozbiegane, kolorowe żuczki samochodów, gnających w przeróżnych kierunkach.

– Michale... Jeśli obiecasz, że nie wysadzisz mnie w czasie jazdy, prosto do rowu, to bym coś powiedziała.

– Zgoda, nawijaj.

– Bo, wiesz, kiedy ci się spowiadałam, tam, na cmentarzu w Pensylwanii, ciągle się ciebie bałam, jakoś tak, w lęku przed nieznanym i nieznany. Dzisiaj czuję się tak, jakbyśmy do szkoły chodzili razem, Michale. Więc tak: nie dokończyłam mojej opowieści...

Chwila przerwy, spogląda w twarz Michała, skupioną i zamyśloną, z oczyma kontrolującymi autostradę.

– Zaszłam wtedy z Łukaszem w ciążę. Mówię wtedy, bo to się więcej nie powtórzyło.

Przerwa. Jego twarz ani drgnęła. Zdawało się, że jest całkowicie zajęty wyprzedzaniem

samochodu z żaglówką na przyczepce.

– To wszystko przez moje naukowe zarozumiałstwo. To się nie mogło zdarzyć, dałabym sobie rękę i nogę uciąć, że to się fizycznie, biologicznie zdarzyć nie może, znałam zegar swojego organizmu i jak się tutaj nauczyłam w Nowym Jorku mówić – „no way” – niemożliwe. Dopiero, gdy ginekolog smutno potrząsnął głową, że to jest ciąża, wytłumaczył mi; byłam w kilka miesięcy po porodzie mojej Anusi, hormony kobiece są jak oszalałe od wstrząsu i wszystko się może zdarzyć. Nawet ciąża niemożliwa fizycznie. Dlaczego milczysz, Michale?

– Bo słucham.

– No więc, Michale, jakby ci tu powiedzieć, zrobiłam z moją ciążą to, co wyście zrobili ze swoją. – Potem dodała z naciskiem, a zarazem wyczuwalną ulgą: – No, to jesteśmy kwita. Jedno warte drugiego.

A po dłuższej chwili ciszy:

– Co miałam, u diabła, zrobić? Urodzić następne dziecko? Jak to miałabym przedstawić mojemu mężowi? Oni siedzieli w obozach, a ja, kochana żona, gziłam się w trawach i krzakach nad brzegiem Odry z nauczycielem śpiewu, w dodatku zupełnym szczawiem dobrze młodszym ode mnie. Jak to miałam powiedzieć mężowi? On jest prawie narodowym bohaterem, został natychmiast ministrem, gdy stanął do wyborów, wygrał prawie tak, jak dawniej wygrywali towarzysze, 90% plus, tyle że bez przymusu, ludzie polecieli, głosowali, a ja w domu płakałam ze wzruszenia... w jego życiu nie zmieściłam się jako naukowiec, to nie jest w końcu jego wina i on mówi, że mnie kocha.

– Chyba wie, co mówi.

– Ja też tak myślę, Michale, może dlatego się popłakałam, z jakiejś kobiecej bezsilności. On jest taki z portretów ze ściany – geniusz mojej córki – może dlatego znalazło się w moim życiu miejsce dla nauczyciela śpiewu.

– Ongiś.

– Tak.

– A dzisiaj, dla mnie?

Po chwili, ni to spytała, ni rzekła:

– Może – lecz szybko dodała – nie, Michale, ty jesteś: „wydanie specjalne”.

– Podoba mi się to. Ulotka. Za moich czasów nazywało się to: jednodniówka.

– Czasami aż się prosisz, żeby cię czymś strzelić w tę twoją siwą głowę.

*

Państwo wracali po kolacji do morskiego domu, czyli na swój biały jacht, który mógłby

śmiało sprostać domom, gdyby przeliczyć metraż pokładów, kabin, salonów. Stalowe maszty wznosiły się niczym strzeliste topole, zamiast listowia – lśniąca gęstwina lin, linek i całej różności, którą morskie jachty są obwieszane. Ona wyglądała na wychowankę Newport, mając pełne ręce roboty pomiędzy czesaniem pudła, jedzeniem owoców na lunch z przyjaciółkami, fotelem u swej kosmetyczki i pedałowaniem roweru, podnoszeniem ciężarków i pływaniem w Zatoce Long Island, gdy ciepło lub w ich podgrzewanym basenie, o nieprzychylniej porze. Szczupła, dobrze opalona, z siateczką piegów na skórze rąk i czoła, rudawe włosy dla przykrycia siwizny, od ostatniej operacji plastycznej nowe zmarszczki jeszcze się nie pojawiły. W obcisłej sukni, na tyle skąpej, żeby te godziny pedałowania roweru, pływania w Zatoce i basenie dobrze się uwidaczały. I do tego biżuteria, nie można pójść w Sag Harbor na kolację ze znajomymi bez bankowego schowka na sobie. On, typowy, zapracowany facet na urlopie, z telefonem komórkowym w ręce, beeperem u pasa, w jedwabnej koszuli, w marynarce od Baldiniego i pantoflach prosto z Via Monte Napoleone. Albo bankier, albo broker, może wzięty „plastyk”, który reperuje twarze koleżanek swojej żony. Wyglądał raczej na nowe pieniądze niż na stare. I te trzy dorodne chyba córki, może kuzynki... I pudelek, który wyskoczył jak sprężyna z głębi jachtu na powitanie swoich ukochanych; zaczynał się warioplas pudła, tylko one, spośród wszystkich psów, potrafią się tak cieszyć i uprawiać te wszystkie wyszukane wariactwa, dla których są potem czesane, kąpane, strzyżone u fryzjerów i głęboko kochane.

Aż nagle krzyk, ci z jachtu krzyczeli, Agata również, chwytając mimowolnie Michała za ramię. Pudel wyraźnie przesadził z tańcowaniem, skoczył za wysoko i był za burta. Nie zdążył nawet pisnąć. Plusk, plask i białe, zmierzwione, kudłate zwierzątko próbowało się rozpaczliwie ratować mającąc prześmiesznie łapkami. Na jachcie zaczęła się gorączkowa bieganina w poszukiwaniu jakiegoś urządzenia, za pomocą którego dałoby się pudła wyciągnąć na pokład, nim się zachłyśnie słoną wodą i chłodny prąd wciągnie go pod jachty. Ale niczego nie było pod ręką do ratowania pudła, wszystko tylko dla ludzi: tratwy, koła ratunkowe, pasy ratunkowe, liny, linki, chwytaaki, zaczepy, tysiąc i pół drobiazgów ekwipunku za pół miliona bananów. Wtedy zapadła męska decyzja. Uzbrojony w telefon i beeper właściciel jachtu, pudła, żony i trzech młodych piękności, zrzucił marynarkę, koszulę, potem włoskie pantofle i już tłumek, który się natychmiast zgromadził, zrozumiał, co będzie, więc zerwały się pierwsze oklaski, poszły w dół spodnie prosto ze sklepu Baldiniego i nagle ukazała się biała jaskrawość męskich, krótkich kalessonów. Męskie kalessony, czy są od Bijou, czy z Via Monte Napoleone albo z Via Spiga – mają nieelegancję majtek i zawsze (lub na ogół) są w białym kolorze, jeśli biel jest kolorem, bo malarze mówią, że nie. Mężczyzna dość

zręcznie przesadził burzę i zsunął się do wody, wprawnymi ruchami rąk, prawie jakby wiosłami, natychmiast dosięgnął pudełka, trzymając go w garści, płynąc tylko z użyciem drugiej wolnej ręki, zbliżał się powolnie do burty. Żona szybko zrzuciła składane, przenośne schodki do rufy. Za moment dosięgły wody i mężczyzna chwycił je ręką. Podciągnął się nie bez wysiłku i podał nisko nachylonej żonie przemokłe, skamlące psisko. Gdy żona schwyciła oburącz niedoszłego topielca, rozległy się spontaniczne oklaski na brzegu oraz pobliskich jachtach.

– Jutro sprawa będzie na czołowce lokalnego „Chronicle” wtrącił Michał.

– Ja to muszę także gdzieś opisać – zawołała – przecież to pyszne. Gdybym tak wiedziała jak na imię temu psiakowi, co miał dzisiaj szczęście...

Tymczasem ratownik – mężczyzna manewrował się z wody na schodki, napiąwszy dobrze wyrobione mięśnie ramion. Mocny chwyt i już był nad wodą. I wtedy stało się coś najmniej oczekiwanego i najbardziej prześmiesznego. Białe kalesonki zaczepiły się o jeden z tych cholernych uchwytów, zaczepów, tuwimowskich holajz nieznanego przeznaczenia i zsunęły się poniżej kolan człowieka. Bładość pośladków kontrastowała z kasztanową barwą opalonej skóry pleców i nóg.

Huknął śmiech i znowu oklaski. Moment wahania i męska decyzja, chyba trudniejsza niż ta, czy skakać po pudła, czy nie. Wreszcie intuicja bierze górę nad stresem. Właściciel uwalnia swoje stopy z opadłych majtek, ciska je do wody i z tą nagością nieopalonych pośladków wchodzi na pokład. Jedna z młodych piękności szybko zgarnęła ozdobny szal z piersi, podrzuciła mężczyźnie, który okręcił się nim wokół bioder, chowając białość pośladków i posiwiące owłosienie wokół penisa. Koniec przedstawienia. Rodzina zniknęła w czeluściach ogromnego jachtu. Ludzie rozchodzili się tak właśnie jak po spektaklu teatru letniego.

Na moment ukazała się na pokładzie ta elegancka kobieta i Michał spostrzegł:

– Albo się mylę, albo ją znałem kiedyś: Vicky, Vicky – zawołał.

Kobieta zareagowała, Vicky coś dla niej znaczyło. Wyprostowała się, jakby próbując zlokalizować źródło głosu.

– Hej, Vicky, założę się, że to jesteś ty sama.

– Kto tam..? – nie rozpoznawała nikogo na brzegu.

– Ciągłe masz tę cessań, czy zamieniłaś na lear-odrzutowca..?

– Mike, rany boskie, co ty robisz w Sag Harbor? Nie poznałam, przez twoje włosy, były prawie czarne, całą chyry miałeś, wszystkie lale przepadały za twoją chyry. Widzę, że wszystko ci zostało, tylko przyśnieżyło. Wpadłbyś jutro na drinka z czymś, przedstawię ci

nowego męża.

- Jutro będę zupełnie gdzie indziej, Vicky, jestem w pracy.
- Musisz mieć przyjemne zajęcie tutaj – dodała, spostrzegłszy obok Agatę.
- Holuję tę osobę przez różne przypadłości...
- Powiedziałam, że masz dobrą robotę. Kto to taki?
- Mól książkowy z tytułem doktora, z dalekiej Polski.
- Oo...
- Fotografuje wszystkie klamki, których dotykali kiedyś umarli poeci. To są twoje córki?
- Mego męża z drugiego małżeństwa.
- Ooo..., nie zawracam ci głowy, Vicky, zajęta jesteś okropnie. Niech cię Pan Bóg

błogosławi, co z tą cessa?

- Na stare lata komu się chce latać, trzeba być maniakiem, coś jak ty.
- Mój naukowiec chce wiedzieć, jak się twoje psisko zowie, wiesz jak to z uczonymi, zawsze coś muszą wiedzieć...
- Cukierek... tak samo jak w „Duchu puszczy”, czytałeś? Jak fajnie cię było zobaczyć, szkoda, że nie możesz jutro wpaść na drinka.

Pomachali sobie rękoma, Veronika cofnęła się do wnętrza.

- Nieźle sobie radziłeś, Michale, dawniej, czy to nieopowiedziana kolejna Bratysława?
- Och, nie przesadzaj. Moja uczennica, sama słyszałaś.

Dzień się dopalał. Żółtawotytoniowe słońce utknęło na chwilę tuż ponad linią dachów i drzew. Uliczki zanurzały się w siność przedwieczornej pory. Tylko otwarta przestrzeń połyskiwała blaskiem w kolorze bermudzkiego piachu. Słońce obwiesiło się na masztach i olinowaniu jachtów. Zatoka traciła kolor i blask rozlanej rtęci, przemieniała się w błękitno-chabrowy dywan, ogromny – tu i ówdzie utkany był srebrzystymi akcentami jachtów i tych wielkich, pełnomorskich, i tych żaglówek z jednym, cienkim maszcikiem i przenośnym motorkiem zawieszonym na rufie, a wszystko razem tworzyło krajobraz portu i czas przed wieczorem, kiedy dzwon kościelny powinien się odezwać na chwałę bożą.

Siedzieli na drewnianej ławce, pamiętającej którąś wojnę światową, w parku Weteranów, tuż opodal linii wody, tam, gdzie obudowany grubymi balami brzeg spotykał zielonkawą wodę z plackami szeroko rozlanych plam ropy i oleju. Pustoszało. Wyludniały się placyki, molo i chodniki. Zapępiały się gwarem, dymem i posmakiem piwa tutejsze lokaliki.

Oparła głowę na jego ramieniu tak samo, jak na skarpie nieopodal willi bratanicy. Znowu czuł zapach jej włosów i skóry, który przenikał przez jego własną skórę, płuca, łączył się z krwiobiegiem, czuł ją wewnątrz siebie.

– Zdejmij okulary – powiedział.

Na krótko, nim zamknęła powieki, zobaczył jej oczy, blisko, tak blisko, że aż jakby w powiększeniu. Spostrzegł coś, nie wiedząc, co to jest, ale nie miał okruschu czasu, by się tym zająć, gdyż zajął się całowaniem jej oczu; powiek, rzęs, brwi, całował jej słowiański, mądry nosek, zmarszczki wokół zmrużonych oczu, włosy nad czołem bardziej wchłaniał niż całował, by znowu wrócić do oczu.

Mężczyzna po sześćdziesiątce inaczej bierze i rozdaje pocałunki niż swiergolące pary dwudziestolatków. Tamci się obdarowują, rozkoszują i obiecują, w ich wieku pocałunek jest niczym przecucie, przyrzeczeniem reszty. U Michała – to zamknięte, samoistne, powolne przeżywanie, które zamieniło się w bezpośrednią bliskość szczęścia – bez zobowiązań na resztę.

Założył jej z powrotem okulary. Spytał:

– Czy to jest właściwe miejsce, by ci powiedzieć, że się w tobie zadurzyłem, zahaczyłem się na ciebie jak studenckie szczenię? Czuję cię całą wokół siebie i to mnie zupełnie obezwładnia. Wiesz – dodał po chwili – wszystko, co mówię jest albo drętwe, albo głupie, albo jedno i drugie. To są starego niedźwiedzia eufemizmy na szczęście. Czy mogę ci coś powiedzieć?

Schylła głowę.

– I love you. Widzisz, w obcym języku to jest bez tandetnej banalności. Agato, czy to jest właściwe miejsce?

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że się zakochałeś, to jest to najlepsze miejsce na świecie. Gdzie może być takie drugie? Na Capri, w Portofino? Nie byłem. Sag Harbor jest dla mnie spełnieniem piękna na naszej ziemi. To ładne, Michale, coś powiedział, jestem... wzruszona, daj mi odetchnąć.

Wstali z ławki. Szli w milczeniu, trzymając się dłońmi. Okrążyli krótkie, lecz szerokie molo. Kurtyna wilgotnej nocy zakrywała port z kakofonią masztów, lin, linek, za to nadciągały głosy, które dobrze i obszernie toczyły się po wodzie, jakby woda była przewodnikiem dźwięków, tu grało radio, tam ludzie głośno się weselili, ktoś w dali grał na gitarze, poszczekiwały psy. Wiatr przyniósł od miasteczka ostry smak wołowiny robionej na ruszcie. Michał powiedział:

– Głodny jestem, urodziłem się głodny i taki umrę. Chodźmy na kolację, bodaj coś szybkiego.

– Michale, ja w ogóle niczego nie przełknę. Jeszcze mi stoi przed oczyma widok wybornego lunchu, jaki zrobiłeś i jeszcze czuję w sobie smak sałaty nicejskiej, jak mówisz, z

amerykańskim zestem. A poza tym jest cooler pełen czegoś...

– Dobrze – zgodził się bez entuzjazmu.

– Zaraz musimy jechać, Michale, wracać do domu, nic nie spakowane, jutro odlatuje samolot.

– To co, nie musisz wcale jechać na lotnisko.

– Michale, samolot odlatuje razem ze mną. Już byliśmy przy tym...

Dotknął palcami jej włosów, oparł dłoń na jej ramieniu, pod cienką bluzką wyczuł jej ciepło.

– Nie potrzeba ci kurteczki? Mam coś na wieczór w samochodzie.

– Taki ciepły wiatr – odpowiedziała.

– Wiesz co, chodźmy, Agato, do poprawki. Roześmiała się szczerze, niewinnie, wesoło.

– Zgoda, Michale.

Wrócili na swoją ławeczkę. Agata zdjęła okulary i schowała do sportowej podróżnej torby, z którą nie rozstawała się dzisiaj. Usiadła bokiem, wciągnawszy nogi na ławkę, wsparła się głową o jego pierś, nie widział w gęstym wieczorze jej twarzy, zaledwie kontur, jaśniejący zarys, ale czuł bliskość i zapach skóry. Czekala. Objął dłońmi jej głowę, nachylił się, ona jakby wyciągnęła się, by spotkać go w pół drogi, jego usta, jej usta, jej wargi z jego wargami, jego język w gwałtownej pogoni za jej językiem. Jej wargi i język były ciepłe, ogłuszająco ciepłe i miękkie, zaborcze, głodne i trwożliwe, proszące, błagalne, zapłakane od cierpienia, oczekiwania, fizycznego bólu tego, co robili. Wreszcie potrzebowali odetchnąć pełnią płuc, by się na nowo dotlenić. Obwąchiwał jej twarz, delikatnie muskając wargami jej słowiański nosek, inteligentną buzię, radosne oczy... nagle coś w nich było – słodka dzikość. Rozmawiał z człowiekiem, jeździł razem, przekomarzał się, przepychał, spowiadał się, a teraz... obejrzał i obejmował za głowę namiętą kocicę, ale nie z kotów wielkowiejskich, czy domowych, lecz z królów dżungli i sawanny, było w niej napięcie i zaczajenie namiętnej kocicy, której piękny, uroczy kształt kobiety skrywał prawdziwy przedmiot naszej obecności na tym świecie, aby się rozmnażać. Mamy to, Polacy, w genach od Rzepichy, jak Szczypiorski pisywał. Oboje mieli za sobą lata picia z tej samej misy pełnej wody pożądania, choć każde piło z osobna, teraz się odnaleźli, ich osobiste doświadczenie, inne, a przecież w gruncie takie samo – teraz w ich ustach złączonych, czując nawzajem swoje ciepło, odkrywali nowy, cierpki, wszechogarniający smak dawnych uczt. Nie było nic grzesznego w tym radosnym pocałunku dwojga doświadczonych współników dzisiejszego wieczoru.

Czego nie mógł przemóc jeszcze przed dwoma kwadransami, spełniło się tak naturalnie jak wciągnięcie oddechu.

- Agato, zakochałem się w tobie z entuzjazmem gimnazjalisty i radością dzieciaka...
- Michale, to jest twoja literatura i twoje dialogi może z nowej sztuki. Powiedz mi to po ludzku.
- Kocham cię i mówię ci to tak, jak powiedział Rett Butler do Scarlet w Atlancie.
- Boże, to jest znowu literatura.
- Agato?
- Tak?
- Nie dam rady inaczej, jestem zwyczajną oferłą miłosną.
- Więc co, kochasz mnie? Bez pomocy Butlera?
- Stary, siwy niedźwiedź, który już chyba nie może, łąził samotnie w puszczy, aż natknął się na lwicę i lwica dopadła niedźwiedzia, aż mu skóra ścierpła od rozkoszy i od tego nocnego rozboju w dżungli...

– Mój wspaniały dramaturgu, naprawdę marnujesz czas gadaniem, napisałbyś coś lepiej.

Wracali do samochodu, prowadząc się za ręce. Pachniało czymś innym z każdej restauracji, które kolejno mijali.

Smuga wiatru dotknęła ulicy i w miejsce posmaków kuchennych – zaciągnął znad Zatoki ciężki zapach morszczyń i chłodnej wody, bogatej w zielony plankton.

Otworzył drzwiczki, poczekał aż się wygodnie usadowiła, zatrzasnął je i wtedy udał, że ma coś do zrobienia przy bagażniku. Zasłonił się otwartą pokrywą, by nie widziała, że wyjmując z kieszeni portfel, wyciąga viagrę i wkłada ją do ust. W ostatniej chwili przyszło mu na myśl, że cała może być za dużo, ludzie chwytają ataki serca, miał straszliwego pietra, gdyż nigdy tego paskudztwa nie próbował na sobie i nie miał pojęcia, jaką nitroglicerynę pakuje sobie doustnie. Odgryzł połówkę i zawinął z powrotem w celofan, schował do kieszeni, „może potrzebna będzie poprawka”.

Szybko zajął swój fotel, zapalił silnik, włączył światła. Odjeżdżali. Przed nimi prawie godzina autostrady „Wschodzącego Słońca”, potem nitka łączącej szosy, jak dopływ wlewający się do matki rzek, niosącej tysiące, tysiące samochodów, niczym krę w kwietniu, do ujścia w Wielkiej Wodzie; Long Island Expressway – uchodzący podwodnym tunelem do Wszechogromnego Miasta. Mniej więcej za godzinę, kiedy już wydostaną się na Expressway i będą znoszeni ku ujściu, będą mijali pastoralną miejscinę Islandia, z wygodnym i zręcznym hotelem Radison i luksusowym przepychem i migotliwą trumpowską, błyszczącą lichoterią: Marriott. Jeffrey mówił, że viagra najlepiej funkcjonuje po jakiejś godzinie.

Z miasteczka wydostali się raptownie. Przed niespełną chwilą był chodnik pełen pogodnego gwaru łączących ludzi, pachniało restauracyjnym rusztem lub glonami znad Zatoki,

a teraz była noc wokół, przekłuta ostrymi słupami blasku samochodów jadących z naprzeciwka.

– Michale, zapomniałeś mi pokazać ten hotelik.

Odruchowo spojrział w jej stronę, choć nie mógł widzieć jej twarzy, w kabinie był ciemny półmrok, w różowej poświacie instrumentów rozpoznał tylko kontur głowy, nawet jeszcze mniej, raczej tylko wyobrażenie ludzkiego zarysu. „Ona też myśli”, przemknęło mu w świadomości, „nie pyta o ten hotelik z jakiejś sympatii, czułości lub współczucia, pyta, bo ciekawa, ten piękny kształt uroczej pracowniczki Ossolineum ochrania przed ludzkim dotykiem oczu i myśli – kawałek solidnej kunegundy”. I nagły przeblysłk, jakby latarką po mózgu, czuł znowu jej ciepłe, wilgotne usta i miękki, zniewalający dotyk języka... Prąd ruszył z żołądka w stronę szyi, potem uszu, aż się zakotwiczył w komórkach nerwów na skórze głowy. Zniewalające uczucie. Pomyślał: „pierwszy kop viagry zaczyna się od żołądka...?”

Zapalił światło w kabinie.

– Otwórz cooler i zrób mi kanapkę. Motylek lata mi w środku.

Gdy była zajęta przygotowywaniem kanapek z zieloną sałatą i szynką, rozpachniało się jedzeniem w samochodzie. Pozwolił się nakarmić, łyknął trochę źródlanej wody z butelki. Wtedy zgasił światło i powiedział:

– Hotelik został rozebrany, rozjechany buldożerem, na terenie zbudowali jakieś luksusowe kondominia. Tamtego – miał na myśli nie hotel, ale czas i poranek opatulony ciepłym zawiewem kaca – już nie ma...

Chciał dodać „tylko w pamięci tłucze jak obolały siniak na duszy ludzkiej, okłady z czasu niewiele pomagają... A jej chodzi seks po głowie, uczonej kunegundzie”.

Wyobraził sobie, co będzie za dwa, trzy kwadransy. Skończą się lasy, których w nocy nie widzą, ale on je zna i może zobaczyć jakby zdjęcie wyjęte z szuflady. Long Island Expressway około 64 zjazdu opuszcza krainę świerkowych lasów i pastoralnych pól okolicznych farm, wślizguje się do cywilizacji, objawionej wprawdzie potokiem lamp pobocznych zabudowań, sklepów, składów, stacji benzynowych, by przy 60 zjeździe minąć gigant kolejowy z tysiącami stanowisk dla samochodów ludzi dojeżdżających codziennie do Nowego Jorku z okolic pachnących burakami, rzodkiewką i ogródkami domowymi, z rododendronami, mimozą i azaliami. Potem jeszcze dwa zjazdy i będzie po prawej stronie hotel Radison, dawny Hilton, który się nie wyrobił i z klienteli mercedesów, lincolnów, infinity, acury – musiał zadowolić się fordami, hundayami, tanim volkswagenem i hondami. Wiedział, że jego wspianiała, „wysoka ulubioność” i przewrotna kunegunda nie tylko jest bez hotelowego doświadczenia, ale pewnie w życiu nie wyobrażała sobie Pierre Hotelu. Mimo

tęgo czuł jakiś niesmak na myśl wkroczenia do recepcji podupadłego Hiltona. Nie, wcale jej tam nie zawiezie. Skisła propozycja. Może się przestraszyć sytuacji, daleko poza miastem, przeciętne hotelisko bez własnego logo oraz innych znaków indywidualnych. O czym będzie myślała, czekając w ciszy i bezruchu, dopóki on nie wypełni meldunkowych formalności? Zamiast zmysłowej przygody lub podróźnej potrzeby zmęczonych całodzienną lataniną dwojga niemłodych ludzi może się jej wydać, co się na pewno będzie wydawało dziewczynkom zza lady recepcyjnej – gdzieś tam na samym końcu sytuacji – będzie skryte przygnębienie, że oto idą się skurdzić. Szczupły, wysoki młodzieniaszek wychynie znad komputera – szybki błysk gałek ocznych. Może on już ją rozebrał, ujrzał nagusią, jaka będzie za parę chwil po wzięciu prysznicu i co jest bolesne, ten czarny, przystojny chłopak znad komputera, dobrze sobie wyobraził; za kwadrans będzie nagutka kładła się do łóżka i czekała, aż on umyje zęby i też wejdzie do łóżka. Przecież to niemożliwe, aby się na to zgodziła.

Nagle, jakby spojrział na siebie okiem policjanta. Jak on, stary, siwy niedźwiedź na emeryturze, który liczy na viagrę, może coś tak poniżającego ulepić w swej wyobraźni? To nie ona wyjdzie na autostopową kunegundę, lecz on na zwykłego, w starym wydaniu fagasa... Za to błogosławione uczucie słodkości, którą w nim poczęła – miał się wypłacić standardowym łóżkiem okrytym pledem „made in Taiwan” ?

Odszukał w półmroku jej rękę, ujął dłoń, przyciągnął do ust i pocałował z westchnieniem ni to ulgi, ni to skruchy.

– Michale... – odezwała się jakby rozbudzona.

– Chciałem cię przeprosić.

– Za co?

– Zgrzeszyłem w myślach. Z zawstydzeniem przepraszam.

– Opowiesz, co to było? – czuł zabawną, kobiecą, kokieterijną ciekawość w jej pytaniu.

– Nie, jeszcze nie, może za pół godziny. – Gdy minimy ten cholerny Radison – dodał w myślach. Dalej: „A może się chapnie na kolorową bajkę. Trzeba ją dobrze podkusić, nie mam co sobie tyłać sumienia wyrzutami, bo w końcu taka jest nasza rola. Bez kuszenia nie będzie przyrostu naturalnego i planeta wróci do epoki dziewiczych puszczy i sawann. Pomysł jest całkiem, całkiem, lecz tandeta mnie zawstydziła. Pocałowałem jej dłoń w przeprosinach nie za pożądanie, lecz za podmiejsko-powiatowy landszaft, w którym się to miało zdarzyć”.

Widział, jak skręcają w zjazd 57, jak wytraca prędkość i sprawdza, czy serwisowa jezdnia jest przejezdna dla niego. Ona jeszcze nie zdaje sobie sprawy, do czego zmierza samochód i kierowca. Jakąś milę za Radisonem, wąska jezdnia łączy Expressway z Motor Parkway, skaczącym po łagodnych morenowych wzgórzach. Pośród jeziora zieloności, wyniesiony

helmem moreny – wznosi się niczym samotny kamień skała, pomnik solidności – ciężki, lecz kształtny budynek Mariott. Wjeżdża się przez bramę z kutego żelaza z ozdobnościami, jak do prezydenckiej rezydencji wakacyjnej. Wspaniałe zgromadzenie blasków, świateł, lamp i lampionów, teraz nocną porą, rano zaś, już od świtu, gdy poranna mgła odparowuje pod filtrem gorącego słońca, ukazuje się pod stopami hotelu kraina z malarstwa holenderskiego – lesista, sfalowana, ogromna dolina u końca, prawie na horyzoncie, z mocnym akcentem czterech kominów elektrowni Centerport i z odległym architektonicznym super-klockiem szpitala i akademii Stony Brook. Dalej będzie sinawa smuga Zatoki, połyskliwa czasami od zalewu słońca, przy dobrej widoczności można zobaczyć brzegi Nowej Anglii. Rano, gdy kelner zbudzi ich śniadaniem na tacy, kiedy ona – jeszcze zaspana i ciepłutka z włosami w nocnym nieładzie – zbliży się do okna, rozsunie zasłony i spojrzy przez okno, zobaczy tę holenderską krainę ze starych płócien, zakotwiczoną na Long Island przez współczesne symbole czterech kominów elektrowni w Centerport i obelisku pod nazwą Stony Brook – szpital i akademia, wtedy powie: „Boże mój, jak tu pięknie,” i taki będzie jej ostatni dzień w Ameryce i taki będzie początek jej podróży przez tysiące błękitnych kilometrów Atlantyku, na drugą stronę, by dotrzeć do swego portu.

Na długo przed zjazdem 57 przesunie się na prawy pas i wytraci trochę prędkości i nie będzie więcej podtrzymywał rozmowy, aż ona się zorientuje, że coś jest nie tak. Pewnie zapyta, czy jest zmęczony. Przepuści to pytanie. Być może spojrzy mu w twarz, może zaproponuje, by się zatrzymali na kwadrans. To wszystko – przepuści. Weźmie zjazd 57, cienką uliczką przedostanie się na Motor Parkway i zaraz potem wjedzie przez tę ozdobną, żelazną bramę w posiadłość hotelu Mariott.

– Lewo się poczułem. Muszę się położyć na kilka minut. Ona pewnie wystraszy się na dobre. Dotknie jego ręki, zacznie przeproszać za całą tę eskapadę od rana do ciemnego wieczora, i taka cała w samo wstydzie, wysiądzie z samochodu.

Wóz pozostawi do zaparkowania walecowi, bo się źle czuje i nie ma zdrowia szwendać się po parkingach. Będzie czekała przy kontuarze recepcji, niecierpliwie i nerwowo przestając z nogi na nogę, póki nie skończą szybkiej rejestracji. Winda. On przymruży oczy, ona weźmie go za rękę. Bagażowy otworzy drzwi do pokoju. Co za pełny luksus, ale nie będzie miała głowy do podziwu. Zechce mu pościelić łóżko, lecz on powie, że się tylko rozciągnie w ubraniu, tak na wierzchu ozdobnej kapy, ręcznie wykonanej w Rumunii albo Peru. Na chwilę wstanie do łazienki, zamknąwszy drzwi za sobą, by umyć zęby i łyknąć drugą połowę viagry. Wróciwszy, rozciągnie się znowu na łóżku i powie, że już trochę lepiej, za godzinę będą mogli jechać do miasta. Wyobraził sobie jej oburzenie i silną wolę w oczach, aby temu

przeciwdziałać. „Zdrowie najpierw, potem szwendanie się autostradami”. Odczeka ze dwa kwadransy i poprosi, by przy nim usiadła. Schwyci jej dłoń i pocałuje albo lepiej – położy sobie na ustach. Gdy się nachyli do niego, wtedy ogarnie ją szerokością swoich ramion, wciągnie na łóżko i nakryje ją, wgniecie pod siebie jak poduszkę, ją, jeszcze wystraszoną jego sercem, ogłupiałą, zanim się zorientuje, że to był głupi błąd; męski żart, chamski żart; będzie całowana w szyję, od brody aż po dołek, delikatnie, pieszczotliwie, i za uchem, aż kosmyk włosów zanurzy się w jego ustach, będzie wachał jej skórę i nasiąkał tym zapachem aż do wypełnienia, aż poczuje rosnącą, stwardniałą żądzę w rozporku; i wtem rozepnie rozporek, rozsunie jej nogi kolanem i zdejmie lub nie zdejmie jej majteczek, zanurzy swoją spragnioną żądzę nerwowo i szybko, prawie brutalnie i w głupowatym pośpiechu – w samo ciepło jej cudownego ciała.

Uświadomił sobie, że miał po raz pierwszy miłosne marzenia, z pożądaniem i seksem, zamiast – jak przystało na niego – czulej, wzruszającej serdeczności, idącej przez zmysły jak fala rzeńskiego wiatru przez kwitnące łąki.

Odnalazł jej dłoń, podniósł do ust i pocałował. Spojrzała, wyczekując.

– Chciałem cię przeprosić.

– Bo?

– Znowu zgrzeszyłem w myślach i nie mogę opowiedzieć.

– Michale, czy pomiędzy grzeszeniem, ciągle możesz prowadzić samochód?

Przymknął szybki okien, gdy zawiało nadmorskim wiatrem, który chłodził im szyje i policzki; czuło się jego słonawą obecność. Otworzył dach. Wiatr zacichł, lecz zapach wsmykał się przez tę szczelinę w dachu, razem z okrucieństwem żółtawego blasku. Rozejrzał się w poszukiwaniu księżycy. Znalazł go od swej strony, tuż za swoim ramieniem, jak się dopiero co wygramolił ze spoczynku na obrzeże horyzontu. Jeszcze miał zaspaną, rudo-żółtą twarz, z krechą sińca od pasemka chmury.

Jak łatwo jest rozebrać kobietę w marzeniach i zrobić z nią, co się chce... Był starym, siwym niedźwiedziem i wiedział, że naprawdę bywa inaczej. To nie my w drapieżnym pożądaniu rozsuwamy jej nogi, lecz one nam uchylają miejsca, byśmy łapczywie wtargnęli. To nie my bierzemy kobiety, kiedy bardzo chcemy, to one się nam oddają, kiedy chcą. Zaczyna się to już od rana, gdy wkładają jedwabne, białe lub różowe majteczki, a potem stanik i patrzą do lustra, oceniają sytuację i ciskają stanik w cholere, bluzeczka lub sweterek leci więc na gołe ciało, aby delikatną wypukłość sutek król życia zauważył, aby go postawić w stan gotowości bojowej i żeby – jak ona będzie tego chciała – albo mu się odda, albo wystawi na sztywnego dudka. Kto z nas potrafi zapomnieć ten słodziutki talerzyk miodku

odstawiony na potem, „nie dzisiaj”. I nic więcej, tylko to „nie dzisiaj”, najśłodsza odmowa świata, która otwiera bramy do rajy marzeń. Czekamy więc na przyszłe „dziś” i tylko one wiedzą, raczej czują instynktownie, podświadomie – jak jesteśmy zahaczeni, przywarci do tego miodu niczym złote motyle, co ugrzęzły nogami, przykleiły swoje skrzydełka i to już koniec. Słodka, miodowa śmierć faceta, który czeka na „dziś”, z emocją, zapalem, uporem maniaka, któremu przypisuje się jednostkę chorobową: syndrom sztywnego dudka.

A co będzie, jeśli się okaże, że ten szczupły, drobnokościsty, przystojny młodziaszek murzyński, pracuje nie w Radison, przy autostradzie, lecz w luksusowym Mariott! Będzie niby to stukał klawiszami komputera, lecz oczyma będzie błyskał do Agaty. Ona – zamiast stać przy kontuarze recepcji – usiądzie w skórzanym fotelu przy mahoniowym stoliku, cała wtulona w głębię afrykańskiej skóry i ni to smutna, ni zmartwiona, cała będzie próbowała się zasłonić przed bielą gałek ocznych tego sympatycznego skądinąd murzynka – a on będzie ją rozbierał, najpierw z pantofli, z bluzki, potem ze spodni wycieczkowych, ze stanika i w końcu z majteczek. Michał pomyślał, że zanim on to zrobi na gorze w pokoju gościnnym, sprytny chłopak z recepcji już sobie z tym poradził i wyprzedził starego, kudłatego niedźwiedzia... A ona będzie w końcu płakała, siedząc tak nagutko w recepcji hotelowej na oczach personelu, gości, wchodzących i wychodzących...

„To się nie może zdarzyć”, pomyślał sobie. „Nawet jeśli jest kunegundą, nie zaproponuję jej roli dziwki z autostopu, nie moja sztuka, ja tak nie pisałem i nie będę pisał, to jest po prostu gówniany akt i trzeba go podrzeć zawczasu, by nie wpadł w czyjeś ręce”.

– Agusiu – po raz pierwszy jej tak powiedział i aż się zdziwił jak to naturalnie mu zabrzmiało. Jej pewnie też, gdyż nachyliła się w jego stronę i pocałowała w policzek. Mówił dalej: – Gdybyś tak mogła, co byś w życiu swoim zmieniła?

– Ja? – nagle zaskoczona.

– Ty.

– O, hm... – chwyciła wiatr i już miała pseudo-odpowiedź – męża bym zmieniła. Z narodowego bohatera na jakiegoś inżyniera... Który codziennie rano wyjeżdża do pracy i o czwartej po południu jest w domu na obiad.

– Jeszcze coś?

– A ty, Michale?

Sam to zaczął, niby zabawę, a w gruncie rzeczy odważne pytanie, na które nie każdy zdobędzie się dać solidną, uczciwą odpowiedź. Teraz wylądował we własnej pułapce. Zamyślił się, potem był zajęty wyprzedzaniem samochodu z przyczepą. Gdy znów wpłynęli na gładką, wolną szosę, powiedział:

– Chyba nie uciekłbym z kraju – przerwa; on nic, ona nic – na pewno zdupczyłbym tę aktorkę z Bratysławy.

Agata parsknęła śmiechem:

– Spodziewałam się, że to powiesz. Znowu jechali przez jakiś czas milcząc, dopóki Michał nie wyczuł, że zbiera mu się na wspomnienia:

– Patrz, jedno zdarzenie przechwytyje drugie, to się samo sobie układa. Ja w kraju, matka w niebie, zadowolona i radosna, że syn ją odprowadził na skraj i przekazał aniołom. W końcu nie opowiedziałem ci, jak dotłułem własną mamę.

*

Jego spowiedź, ciąg dalszy:

– To była jedyna osoba, która chciała dla mnie dobrze, od kiedy się urodziłem. Nie chcę ci tu marudzić o tysiącach słodkich bułeczek z miodem podawanych na śniadania, serników tartych na święta, zupek domowych, cielęcych pieczeni, których nikt nie robi lepiej niż nasze mamy, znasz to wszystko pewnie w swoim wydaniu, one są w końcu wszystkie takie same.

– Michale, przestań, zapomniałeś, że mówisz do „takiej samej”. Ja też podawałam ciepłe bułeczki z miodem.

– Więc mamy to z głowy. Kiedy wskoczyłem do LID-ki, rwałem pasem startowym, by uciec daleko, w mgły i chmury, i deszcz, nie myślałem o niczym innym jak o ratowaniu własnej skóry, mówiąc literackim językiem, można by to inaczej wyrazić, głównie tłukło mi się we łbie, byle kurs na Kastrup, kurs na Kastrup! Dopiero, kiedy mnie wsadzili do pierdła w Kopenhadze, chyba po raz pierwszy moja mama nawiedziła mnie prawie realnie, jakby przyleciała na widzenie z aresztantem. Po raz pierwszy czułem się zawstydzony, zażenowany, dokładnie jak synuś, który zbroił. Pierwszy list nadszedł w parę miesięcy później, gdy już miałem nowojorski adres. Pisała mi, jak dziś pamiętam, choć listy zarzuciłem i znaleźć nie mogę, pisała, że „to nie po rycersku”, tak się wysłowiła. Kiedy brat nie wrócił do kraju, do niej, to pasowało do rycerza, a to, co ja zrobiłem, to był skok z konia do gnoju. Śmierdzący i znieśławiony. Czy zauważyłaś, jak się to za czasów międzynarodówki ułożyło? Bohaterami byli uciekinierzy. Miliony żyjące na kartoflach i sadzonym jajku, za to co rana rwące do pracy w deszczu, w upał, śnieżyce, przepelnionym tramwajem, na winne grono, albo w dyrdy na piechotę, te inne, zupełnie jakby z antypodów „szare szeregi”. Bohaterowie spieprzali, by lepiej podróżować, wołowinkę jadać, ostrygi, kąpać się na Florydzie lub w Morzu Śródziemnym. Taki sobie podział ideologiczny, jakby powiedziano w dawnym KC, przy Jerozolimskich. Ja miałem prawo do skoku, moja mama – nie; nie, bo jej nie było tego potrzeba, bo już była stara i niczego nie wymaga po latach okupacji, a potem jeszcze

dłuższych latach cudu socjalistycznego. Marzyła, bym wrócił. Jednak pewnego razu, gdy rozmawiała z Tadkiem telefonicznie, co było przedsięwzięciem samym w sobie, wymagającym tygodniowych przygotowań, układów, umówień, aby we właściwym dniu i o właściwej porze siedziała na poczcie, czekając aż rozlegnie się dzwonek z Nowego Jorku, Tadkowi powiedziała, bym się nie ważył powracać; mógłbym spędzić resztę pięknych dni i nocy we Wronkach. Jakby miód na samopoczucie, prawda? Pół rozgrzeszenie i bez pokuty. Dyspensa na wynarodowienie. Wiesz, dlaczego nasza Ameryka tak podbija serca wszelkich emigrantów naokoło globu? Każdy się tu czuje jak u siebie i najbiedniejsi ludzie mogą się przeżreć tanim mięsem dwa razy dziennie, aby po trzydziestu latach ociążale się na utytej dupie, a w następne trzydzieści chwycić atak serca od krowiego tłuszczu naćkanego w aorty. Jestem eksponatem tej antymedycyny, choć winnica czerwonego wina, które w życiu wypilem, przetarła moje aorty, rozmyła krwi smalec, mogłem się być dobrze nacieszyć i nałykać dobrodziejstw stołu dla średniej klasy, mając zgoła liche pieniądze. Moja znakomita żona, gdyby się nie pochorowała, dostąpiłaby lepszego statusu. Z jej zawodem podróżuje się klasą businessu i – zamiast piwa – w kielichu bąbelkuje szampan. W tym czasie moja matka stała z kartkami w kolejce, a jeśli nawet coś miała dzięki skąpej pomocy obu synali z Ameryki, to wszystkie jej koleżanki, ze dwadzieścia milionów kobiet, wydeptywały kartkowe ścieżki przed drzwiami sklepów. Właściwie to nie tak chciałem powiedzieć, miało być o upadku mojej matki.

– To chyba znowu jakaś twoja literatura, Michale, mam wrażenie?

– Moja żona mówiła, że matkę zatłukła krajowa medycyna, lecz to tylko pół prawdy, gdyż mama umarła nie raz, lecz dwukrotnie. Najpierw dajmy pierwszeństwo lekarzom. Kiedy już była starowinką po osiemdziesiątce, jej zdrowie przerobionego konia zaczęło podupadać. Najpierw katarakty, później miażdżyca, w końcu nerki. Utało się, że znajomi lekarze zaciągali ją dwa razy w roku do szpitala, moi kuzyni i kuzynki przestali o tym pisywać i wzdychać właśnie jak przed pogrzebem. Zwykle list lub telefon był krótki, rzeczowy, w którym leży szpitalu i z jakiej przyczyny tym razem. Któregoś razu to się przeciągało najpierw parę tygodni, ale te zamieniły się w parę miesięcy... Niepokój rozbudził motylka w moim żołądku. Coś było nie tak. Nasze kuzynki zapewniały, że to przewlekła, zwyczajna choroba, z którą trzeba jakoś żyć. Marzyłem, że mamę w końcu wypiszą ze szpitala, byłem pewny, że tak się stanie, bo na nic innego nie byłem przygotowany. I nadszedł telegram, nie było mnie w domu, pracowałem, dzwoniłem do żony, by jej coś powiedzieć, nie pamiętam co, pamiętam za to, że mi przerwała i bardzo spokojnym, opanowanym głosem rzekła: „Przyszedł telegram od twojej kuzynki. Wczoraj zmarła twoja mama” – przerwa, cisza, mój popłoch,

niewiara, dzika chęć zaprzeczenia tym słowom. Milczałem, więc żona dalej powiedziała, że pogrzeb ma być w poniedziałek o trzeciej po południu. Wtedy spojrzałem na zegarek. Był poniedziałek, tuż przed trzecią po południu czasu nowojorskiego, czyli moją mamę pochowali obcy ludzie przed paru godzinami.

– Michale, to jest okrutne, co ty ze sobą wyprawiasz.

– Każdy upadek jest okrucieństwem i dla upadającego, i dla tych, co nie podnieśli w porę... Więc tego wieczoru zastałem w domu rozpalony kominek, po raz pierwszy chyba, na to zajęcie miałem wyłączne prawa autorskie. Siedzieliśmy, patrząc na dopalające się polana, w ciszy. Potem żona położyła się w sypialni, ja przesiedziałem do rana; i znów do roboty na cały dzień i dopiero, gdy wracałem z lotniska La Guardia, kiedy byłem sam, puściło mnie nareszcie i zacząłem ryczeć jak siedmioletni jedynak. I do dzisiaj to robię po cichu i bez łez. Tak strasznie musiało jej być gorzko, że nie dotknąłem jej czoła, włosów, dłoni, gdy wiedziała, że umrze. Coś się, Agato, przekreśliło we mnie od tamtego czasu i już straciłem ochotę na milionera i na Don Juana, i na cokolwiek. Poddąłem się, dopóki nie przyjechałaś do Trump Tower, by zrobić ten cholerny wywiad ze mną.

– Tak, Michale. Jestem gotowa założyć się o wszystko, własną córkę bym zastawiła, że twoja mama ci wybaczyła, przed odejściem.

– Myślisz? – poczuł się lepiej, niczym małe dziecko uspokojone prostą obietnicą.

– Pamiętaj, że jestem matką. Ja bym wszystko swojej córce wybaczyła, wszystko. Wiesz, mamy z córkami, to nie to samo, co nasze córeczki z tatusiem, one są tatusiowe córeczki, a synalkowie są mamusi, jeśli nawet synalek liczy pół wieku, ciągle jest mamusi, jak mój bohater narodowy. Na pewno ci matka wybaczyła, jeśli było co wybaczać, przede wszystkim. To jedyne, w czym się czuję bezpiecznie i pewnie, z tego całego twojego zamieszania zwanego życiem.

– Kocham cię za to, coś powiedziała.

– Myślałam, że wcześniej mi to powiedziałeś – przerwała.

– Wobec tego jesteś kochana dwa razy. Wiesz, co jeszcze chciałbym zmienić, gdyby można...? Namówiłbym siebie i żonę, aby nie usuwać naszej ciąży. Jeśli byłby kałmuk, to mamy tyle zakładów, wezmą, przechowają na życie. Wujek Sam zapłaci. Po dłuższej chwili:

– Tyłu wybitnych ludzi było dziećmi alkoholików, kurew lub innych łachmytów. Może to byłby syn. Mądry, wrażliwy, uczony; znałby język bez akcentu i po tatusiu samoloty by miał w głowie. Pułkownik lotnictwa, generał lotnictwa. Dowódca lotniskowca... – znowu jej ciepłe usta na jego policzku. – Tatusiowie chcą mieć kochane córeczki, sama to wiesz z własnego doświadczenia i od twojego domowego bohatera. Jeżeli to byłaby córka, to jak ty właśnie.

Szczupła, na długich nogach, z inteligentną twarzą; czcigodny naukowiec, wrażliwiec niezwykle, zaharowany, piękny mól książkowy, może w okularach, Agata Zdun, profesor, doktor Agata Zdun z Princetown University.

Znów jej ciepłe usta na jego policzku.

Nagle to dla niego za dużo. Rozprysły się jak rosa, stłukły kryształki białego kruszcu, reflektory z naprzeciwka jadących samochodów; dwie ciężkie, hamowane bezskutecznie łyzy spadły mu na koszulę. Miał w dodatku pecha, że ona właśnie teraz postanowiła dotknąć jego twarzy dłonią. Wyczuł ciepłe opuszki jej palców na wilgotnych koleinach po swoich łzach. Za późno, by coś ukryć. I nagle jakby go ponownie olśniło. Przecież nie ma niczego do ukrycia przed tą dziewczyną. Jeszcze chwila i przyzna się, że ma w portfelu połowę viagry, a drugą w sobie od przeszło pół godziny. Roześmiał się sam do siebie na głos.

– Michale, ta huśtawka od łez do śmiechu, czy chcesz, abym ja trochę poprowadziła samochód?

– Powiem ci jak dojechać do Stony Brook, gdzie postawili szpital-gigant i mają wielki oddział psychiatryczny, zwykle wolne łóżko do wynajęcia, na dzień, na tydzień, na życie. Na jak długo mi się tam należy?

– Łobuzujesz.

...A w myślach mówił do siebie. „Udałaś mi się, radosny promyku, nagle objęłaś w posiadanie obszary, których nie podejrzewałem, że istnieją we mnie. Kiedy już ręcznik rzuciłem na matę i zabrałem się do spożywania własnej klęski – nagle – ona, Agata Poznańska, perła Zakładu Ossolińskich, stała się moją córką, moim życiem, wspaniałym zaprzeczeniem najgorszej klęski”.

Nagle to jakby gruchnęło w jego siwą głowę, że aż się otrząsał. „Muszę o niej napisać sztukę. Zaraz, już, jutro siadam do pisania, wiem, jak to zacząć, chyba wiem, jak zakończyć. O niej sztuka, mojej kochanej córce, która do mnie wróciła, której nie znałem od urodzenia, ta moja, nie wyskrobana córka...”.

– Agata! Będziesz uszlachcona!

– Jak?

– Zwyczajnie, od dziś będziesz herbową kobietą, Agata Poznańska herbu Wichura... przeleciałaś przez moje życie trzema dniami, zabrałaś, co było, został pusty plac, gotowy pod budowę. Jako lotnik nigdy nie myślałem, że wichura mojego życia dopadnie mnie na emeryturze.

– Znowu zająłeś się literaturą...

– Niech ci będzie, sztuka oparta na faktach.

Dłuższa chwila jazdy w milczeniu.

Ona z wyraźnym zakłopotaniem i trochę niepewnie:

– Michale..?

– Tak...

– Skoro jestem winna, lubię zapłacić od razu. Szczerść za szczerść.

– Tak..?

– Gdyby mój Bóg objawił mi się zza krzewu jak niegdyś Mojżeszowi i powiedział, „proś, a będzie spełnione, raz tylko proś,” wiesz, prosiłabym o zwrot dziecka z Łukaszem.

– Tak myślałem – wtrącił, czy przerwał jej, gdyż zamilkła.

Słyszeli wiatr chodzący po dachu i śpiew opon po asfalcie.

– Jestem stara jak mury Paczkowa...

– Nareszcie i ty wpisałaś się do literatury. Teraz będziemy oklejać każdą facetkę po pierwszych zmarszczkach nalepką „ta, co pamięta, jak mury stawiali w Paczkowie”.

– Chciałam przez to, Michale, powiedzieć, że wtedy, dla odmiany, czułam się strasznie młoda i niepewna, wystraszona, przejechana w duszy i mózgu przez te furgonetki ZOMO; i jeszcze zastraszona moim bohaterem, gdyśmy zaczynali, ja i on, dwoje młodych ludzi, choć jemu było więcej w kalendarzu, wzięło się do małżeństwa, do córeczki, a potem ja – oferma studencka, on – kolega noblistów, grabulę ściskali mu książęta i królowie jak z bożonarodzeniowej bajki. I do tego... taki kram. Wiesz są trzy rodzaje ciąży: normalna, pozamaciczna i pozamałżeńska.

– Widzisz, jak się gęsto wpisujesz do literatury...

– Patrz, pod twoim wpływem, buzia mi się nie zamyka.

– Jesteś biedulką, nie masz się przed kim wygadać, ...ale przerwałem ci...

– Przede wszystkim, nigdy nie spędzałam ciąży, wiedziałam, że to bezbolesny zabieg, jak mówiły koleżanki, które skrobały, nic straszego... Wolałam to, niż napisać list do męża „zaszłam w ciążę z aktywistą podziemia”, żeby lepiej brzmiało, aby mu osłodzić truciznę, nie napisałabym, że z nauczycielem śpiewu. Aktywista drugiego obiegu niby obiecuje ideowe lub rodzinne spoufalenie, to jakbym dziecko poczęła z kuzynem, czy coś w tym rodzaju, swoje dziecko, prawie nasze. Tak się spodliłam, że mi w głowie takie głupstwa leży się tuzinami. Ale jeszcze się bałam kłopotów z Łukaszem. A co się stanie, gdy jemu zaimponuje ojcostwo? Ja bym tego nie wytrzymała, tej dozgonnej kurzawy w moim domu. W końcu mąż mógłby mnie rzucić i rozwieść się, Łukasz nie dorósł, mogłabym zostać rozwódką z dwojgiem legalnych półsierot. Więc, więc ...sprzedałam rodzinną bransoletkę po babci, zapłaciłam rachunek i byłam czysta jak niemowlę po kąpielii. Czekałam na powrót męża.

– Powrót posła? To także z literatury.

– Zanim został posłem, Michale, swoje przeżyłam.

– Czy nie przyszło ci do głowy, Agusiu, że on mógłby to jakoś zrozumieć, przełknąć, jeśli nawet z obrzydzeniem, jako kawałek tego, co się stało tam u was w kraju, może by ani cię nie zlał pasem, ani nie rozwodził się na chaładrata..?

– To przyszło z czasem. Gdy już czułam się jak mury Paczkowa, wiedziałam, że poderznięłam gardło sobie, mężowi, Łukaszowi... Patrz, raz by się stało i już. Codziennie, od lat, wielu lat muszę kłamać, ile razy myślę, kłamię mężowi, oszukuję mego Łukasza, i tak będzie do końca życia. Niezaleczony guz w mózgu, nieodpuszczony grzech.

Cisza. Dopiero po dłuższej przerwie, ona:

– Już nie mam niczego więcej do ukrycia, Michale, wiesz o mnie więcej niż mój własny mąż. Widzisz teraz, w jakiej to szarej ciemce się zakochałeś, jak powiadasz...

Wiatr furkotał w otwartym dachu, lecz nie zaglądał do środka. W kabinie była cisza, pachniało mokrymi trawami z mijanych ogrodów. W miarę wstawania znad horyzontu księżyc oczyszczał się z rudego rumieńca, stopił złoto swej twarzy i teraz był jak srebrzysty, rozpalony pieniążek drgający w czarnej pustce. Nie była tak czarna zupełnie, tu i ówdzie chwyciła kolor seledynu i barwy tytoniowe od łun odległych światła wieczornych, goniących do nieba; blask, który przypominał się brzaskiem, początkiem nowego dnia. Przez to srebro księżyc nie było w kabinie zupełnej ciemności. Oboje widzieli nawzajem zarysy swoich twarzy, głów, ramion, wyczuwali swoje dłonie zwarte palcami – sączące ciepłutkie pojednanie jednej osoby z drugą.

Nagle zapragnął usiąść na wilgotnej trawie, daleko w odległym mieście nad Odrą, takim właśnie wieczorem i trzymać Agatę za dłoń, cicho, w milczeniu, jakby we wspólnej modlitwie.

Zdjął stopę z gazu, dał prawy kierunkowskaz i zjeżdżał na pobocze autostrady. Teren był pustawy, zaraz na brzegu zaczynały się mizerne krzaki, przydrożne krzewy-samosiejki, dalej stały młode zagajniki świerczyny.

Sprowadził samochód całkiem na skraj pobocza, z prawej strony koła jakby przygrzęzły już w miękkiej ziemi z butwiejącą podściółką. Wyhamował do końca. Zgasił światła i otworzył drzwi. Wieczne życie przyrody wtoczyło się do wnętrza. Cykady! Grzechocący, jakby chichotliwy rumor setek cykad drażniących nogami swoje chitynowe łupiny skrzydeł. Przypominało to dżunglę z dziecięcych filmów. Było świeżo, ale ciepło. Pobliski ocean pachniał słonawym morszczykiem.

Obszedł wokół samochodu, otworzył Agacie drzwi. Wysiadła bez pytań. Przeciągnęła rękę z

ulgą w tej ciepło-wilgotnej przestrzeni wieczoru. Wziął ją za rękę i prowadził przed siebie, dopóki nie spostrzegł zarysu niskiej, łagodnej skarpy. Tam usiedli na świeżych, soczystych trawach.

Ona siedziała podciągawszy kolana i ogarniając je swoimi rękoma. On położył się na trawie, czując jej bliską, ciepłą, soczystą obecność poprzez koszulę. Widział czarno sine niebo z kryształem księżyca.

– Wyciągnij się, trawa jest ciepła. Posłuchała. Leżeli na wznak lustrowani ostrym promieniem księżyca.

– I teraz, co? – zapytała – marzymy?

– Teraz będzie jak z Łukaszem... Milczała.

– Dokładnie tak samo... szara ciemko.

– Czy ty naprawdę myślisz, że ja go zniewoliłam, wzięłam go jak Horpyna nieletniego chłopaka? Czy wydaje ci się, że nauczyciel śpiewu nie może wiedzieć jak rozpiąć rozporek sobie i zsunąć kobiecie majteczki?

Chwila ciszy, uśmiechnęła się do siebie samej i swych myśli, powiedziała:

– Przysiągł, że miał przede mną dziewczynę, ale myślę, że łgał... To było tak żenujące i zabawnie piękne, aż mi się wtedy, pamiętam, spodobało, że musiałam mu trochę pomóc.

Ogromna ciężarówka przetaraskała się autostradą, wzniecając tuman dieslowskiego smrodu. Oddalała się i płoszyła noc szpadami reflektorów coraz to dalej i dalej, aż na powrót zapachniało nocą. Cisza, pełna rozgłosu cykad.

Zdjął koszulę i położył jej pod głowę. Obrócił się bokiem i widział kontur jej twarzy z delikatnym zarysem nosa. Wydało mu się, że słyszy oddech, ale nie bardzo wiedział czyj. Ujął jej dłoń, przysunął do swych ust i pocałował ciepłą skórę wnętrza. Przesunął jej dłonią po swojej twarzy i czując przenikliwy dotyk jej palców na swoich ustach, policzkach, szyi, dotknął jej ręką nagiej skóry swej piersi z twardymi sutkami, prawie jak u kobiet, potem niżej, jej dłoń bezwolna, sterowana łagodnie wolą jego dłoni, zatrzymała się na rozporku. Oboje wyczuli, jak pęczniało, wtedy puścił jej rękę i szybko rozpiął pasek od jej spodni, poluzował guziki. Wsuwając swoje palce w głąb, czuł gorącą skórę jej brzucha, miękką, łaskotliwą łagodność włosów jej krocza... „Jeśli powie – nie dziś – zatłukę jak bezpańską sukę”. Dopadła go nerwowa radość, że ma twardy wzwód jak przed laty i że zaraz się zanurzy. Leżała teraz obok, cicha, pogodzona, piękna, kochana, słodka i ciepłutka jak własna krew.

Z pogwizdem opon przeleciały z dużą prędkością dwa wozy. Odczekał znowu na ciszę i powrót wieczoru z grzechotem cykad. Cisza bez cykad latem na Long Island jest nieprawdziwa. Poprzez ten grzechot, rozgwar wieczornej natury, słyszał lub czuł oddech

Agaty. Gdy przytulił głowę do jej piersi, gwałtowny stukot jej serca przemknął go niczym fala magnetyczna. Rozpiął swoje spodnie i zsunął do kolan. Gotowała się w nim radość ze wstępowania do przedraju.

Nie słyszał następnego samochodu, dopiero, gdy rozległ się pisk naciśniętych ostro hamulców tarczowych.

Uniósł czujnie głowę.

Jakiś wóz najwyraźniej zatrzymał się raptownie. Nagle poletko, łączka i niewielka skarpa, na której leżeli, rozmigotała się różem i czerwienią – wirujące światła dachowe wozu policyjnego. Uświadomił sobie teraz: „Postojowe światła”. Nie włączył – celowo – lub zapomniał. I teraz miał za kołnierzem patrol policyjny.

– Boże, co to? – spłoszyła się naprawdę Agata.

– Leż spokojnie i cicho. Policjant. Zapomniałem o światłach postojowych. Taki błąd w samolocie kosztuje licencję. Na szosie: mandat. Czeka tu na mnie.

Wstał, podciągnął spodnie, wyjął swoją koszulę spod głowy Agaty, wciągał ją na ramiona idąc do samochodu, poprawiał spodnie i zapinał pasek.

Jaskrawe światło uderzyło w twarz. Policjant włączył reflektor kierunkowy. Zatrzymał się mimowolnie. Usłyszał rozkaz przez mikrofon:

– Ręce przed siebie!

Wykonał.

– Podejdź bliżej.

Podszedł. Usłyszał trzask drzwiczek samochodowych, policjant wysiadł z wozu i czekał na niego. Ciągłe ten reflektor penetrował mu twarz, oczy, pierś, raził aż do nieprzyjemnego bólu w przymrużonych powiekach.

– Twój samochód?

– Mój.

– Stań przed swoim autem, twarzą do niego, ręce połów na masce.

Wykonał. Słyszał za sobą kroki policjanta i zaraz potem myszkowanie cudzych palców po kieszeniach spodni. „Byle nie dotknął mi członka, bo tego za dużo”. Policjant odzepił się, nabrawszy pewności, że Michał nie ma broni. Już innym tonem powiedział:

– Wsiądź do samochodu i zapal światła postojowe.

Wykonał.

– Daj mi prawo jazdy i rejestrację.

Wykonał.

Zabrawszy dokumenty, policjant zniknął w swoim wozie, ale za chwilę był obok Michała.

Podał mu balonik.

- Dmuchnij.
- Nie piłem.
- Skąd mogę wiedzieć, dmuchaj. Wykonał.
- Zgoda, nie piłeś. Siedź w aucie i czekaj na mnie, zanim nie skończę z papierami.
- Mandat?
- Sam wiesz. Nie zostawiaj pojazdu bez świateł, jeśli idziesz się odsikać.

Zniknął w swoim patrolowym wozie. Kołowrotek buchający różowo-czerwonym blaskiem ciągle kręcił się, rozpalając najbliższe drzewa, krzewy, trawy i betonową jezdnię autostrady. Michał czekał w fotelu za kierownicą raczej bezmyślnie. Ani go chwyciła nerwowa wściekłość, ani głupawy śmiech. Traktował to z powagą drobnego, niespodziewanego wypadku na drodze.

Kierunkowy reflektor zgasł nareszcie. Wracał spokój razem z ciszą. Trzask drzwiczek, kroki policjanta. Teraz nareszcie mógł go zobaczyć. Rosły, dobrze zbudowany, na długich „policyjnych” nogach, prawie jeszcze młody, kiedyś w gimnazjum zapewne grał w koszykówkę, a potem zaciągnął się do szkoły policyjnej. Twarz miała wyraz dobroduszości sportowców.

- Zdun?
 - Uhm...
 - Ty jesteś kto, Polak, Czech, Słowak?...
- Michał pomyślał: „swój i etnista”.
- Polak – odrzekł.
 - Tak mi się wydało z twojej twarzy. Ja jestem Stanislaw Burak. Znasz Riverhead?
 - Kto by nie znał sławnej stolicy hrabstwa Suffolk – odparł Michał.
 - Kościół św. Izydora?
 - Wiem, tam jest polska parafia.
 - Matka mnie chrzcila w tym kościele św. Izydora. Mówisz po polsku?
 - Tak.
 - Bo ja nie. „Jak się masz,” to wszystko, co z siebie mogę wydobyć. Ciężki język.
 - Tak, niełatwy...

Policjant uczynił gest, jakby chciał odpędzić nocnego owada. Wręczył żółty liść mandatu. Mówił jak po grudzie:

– Nie mogę. Zacząłem pisać, to muszę skończyć. Inaczej mogę mieć kłopoty z miedzianymi.

– Rozumiem.

Policjant dodał, sam przynosząc sobie ulgę:

– Jeździsz lincolnem, to czterdzieści bananów nie zrobi ci żadnej różnicy ani krzywdy, w końcu idzie wszystko na dobre cele w powiecie Suffolk...

– Na premie dla „miedzianych”, nie, to nie złośliwość, to żart. Nie mój pierwszy mandat i zapewne nie ostatni, a od czterdziestu dolarów rzeczywiście nie zbiednieję.

Coś jakby naruszyło granat wieczoru tuż obok samochodu. Policjant zastygł, niczym kot przed skokiem, czując mysz przed sobą. Rękę mimowolnie oparł o kolbę rewolweru. Nadchodziła Agata.

– Jesteś z kobietą?

– Tak.

– Stąd niedaleko jest Mariott, znasz ten hotel w Islandii?

– Tak, panie Burak, ale to nie jest tak, jak sobie myślisz. To nie autostopowy kurwiszonek. Mądry naukowiec z Europy, z Wrocławia, jej ostatnie godziny w Stanach, jutro już wraca do Polski. Robimy na Long Island dokumentację do jej pracy. („Co za fenomenalna bzdura”, pomyślał). Znaczy się, ona robiła, jestem szoferem.

– Znaczy się, poszłicie sikać.

– Coś w tym rodzaju...

– Powiedz jej, ja nie miałem zamiaru.

– Ona wszystko dobrze rozumie, co ty mówisz, bo zna wybornie angielski.

Policjant do Agaty:

– Przyjemnie poznać – i po polsku – Jak się masz, pani?

Agata roześmiała się serdecznie.

– Niech pani wsiada do auta. Ja skończyłem, możecie odjeżdżać – i jeszcze dodał – spokojnego lotu, jutro.

– Bardzo panu dziękuję – odrzekła.

Ruszył, nie zapomniawszy włączyć kierunkowskazu, miał ciągle za sobą patrolowy wóz.

– Prześmieszne, Michale – i po chwileczce – „jak się masz?”

– Pułaski Association.

– Co to znaczy?

– Policjant, patriota polski, dwa razy w roku piknik z półkilogramowym stekiem i sześcioma piwami pod sztandarem księcia Pułaskiego.

– Jeśli taki gentleman, dlaczego tak szorstko na ciebie nastawa! Zawsze tak jest?

– Nie. Porzucony samochód, kosztowny, lincolnów gawieź nie kupuje i policjant już ma

wybór: trup w bagażniku albo pięć funtów kokainy. Chcesz ten mandat na pamiątkę?

– To wspaniały pomysł, Michale, ale... czy nie będziesz potrzebował?

– Spisz numer, ten z góry, czerwonymi cyframi, abym go wykaligrafował na mym czeku, kiedy będę płacił karę za tydzień.

Gdy skończyła notowanie, schował kartkę do kieszonki przy okularach, zgasił światło w kabinie, uchylił dach, aby wpuścić księżyc do środka.

Jechali w ciszy i milczeniu aż do Manhattanu. Księżyc sadził za nimi, srebrnorudy, i zdawało się Michałowi, że rechoce do rozpuku. Mówiąc po polsku, wyglądał ten księżyc, jakby ryczał ze śmiechu.

Wracał do swego domu w Great Neck. O tej północnej porze w tunelu było pusto. Zamiast legalnych 40 mil, jego licznik wskazywał siedemdziesiątkę. Słyszał poszum ciepłego powietrza wzbitego gnającym samochodem. Zanim się obejrzał, mijał ów zakręt, gdzie doznał olśnienia, gdzie był pocałowany i teraz pomyślał sobie: „literacka wyprawa, tyle wrażeń, obiecań, oczekiwań oraz nadziei, a w końcu są baty w dupę i boli nie po literacku, lecz prawdziwie, jak to w życiu...”.

Powiedział jej, że się znów zobaczą za jakieś trzy, może cztery miesiące, a może wcześniej. Przyleci, gdy skończy sztukę. Po tylu długich latach wsiąść z samolotu z pustymi rękoma? Uciekł z Polski jako „ktoś”, po trzech dekadach wróci „nikt”? Michał Zdun – to już nic nikomu nie mówi. Nawet Agata, naukowiec od czytania i pisania, choć o nim słyszała, niczego nie widziała na scenie, w telewizji, nie czytała o nim w czasopiśmie. Umarł. I to wielokrotnie. Zawsze, gdy czytał w „Nowym Dzienniku” wspomnienie pośmiertne „wielkiego, wybitnego, znanego” poety, prozaika, który dla niego był po prostu znajomym, czasem bliskim, często dalekim, z którym wypilo się w SPATiF-ie nie jedną wódkę, czasem kimś, komu się mówiło grzecznie „dobry wieczór panu, panie Jerzy”, tak właśnie miał ułożone życie z Andrzejewskim, on mówił mu „dobry wieczór, panie Jerzy” i już tylko w myślach dodawał „genialny panie Jerzy,” niby ze swej słabości do tego człowieka i jego słów drukowanych, a wspaniały maestro uchylał głowę i ze swoją manierą niezwyklej elegancji odpowiadał „dzień dobry”, lub „dobry wieczór, panie Michale”, więc gdy zobaczył nekrolog i wiedział, że koniec z panem Jerzym i już nigdy nie usłyszy jego słów „dzień dobry, panie Michale” – to zrozumiał, że razem z Jerzym, on, Michał też jakby umarł. A jeszcze był Jarosław, który odszedł i znowu czuł – jakby dla towarzystwa – sam trochę umarł i tak umierał co parę miesięcy, w ostatnich latach coraz częściej, w miarę, gdy jego starsi po piórze przenosili się na drugą stronę. Stopnie, po których wspinał się, dobiegały końca, inni już tam byli, a jemu coraz bliżej. Nagle miały tam polecieć, do kraju pełnego grobów. Cóż będzie

gonił od cmentarza do cmentarza z kwiatami..? Jeśli nie oczekiwali go za życia, nie jest im potrzebny po śmierci. Ilekroć bywał w Europie, zawsze mu się cisnęło do oczu i głowy zwyczajne skojarzenie, że jest zatłoczona tłumami, w Paryżu, w Barcelonie, w Rzymie, Wiedniu, w miasteczkach i wsiach, jednych koło drugich, deptających sobie i wydzierających granice nawzajem... i zawsze pamiętał, z jakim uczuciem radosnej ulgi lądował na JFK, by za godzinę osiąść na zadrzewionym, zielonawym, rozpachnionym koszoną trawą i wodą morską Long Island... Więc tam spotka tłumy młodych ludzi, którzy sobie żyją dla siebie i dla innych, lecz on będzie przechadzał się niczym rasowy lunatyk, nie widząc i nie czując tętna dzisiejszego tłumu, on, cały zakotwiczony w zatoce wspomnień z przeszłości. Prawie nikogo już nie rozpozna, z nikim się nie przemówi, będzie go straszło w SPATiF-ie, na Foksal u dziennikarzy, na rogu placu Zamkowego u literatów, tam wszędzie, gdzie się sztuka stawiała i wódka lała. Sam usiądzie przy stoliku, zamówi tatara i pięćdziesiątkę, tego tatara wymiesza, żółtko z sardynką, cebulką, grzybkami, nim z tego powstanie kanapka trzeba domówić następną pięćdziesiątkę i kelner na pewno mu nie powie „proszę bardzo, panie Michale” – jak dawniej. Nie miał tam po co lecieć. Chyba, że zabierze nową sztukę. Tak obiecał Agacie. Wtedy nie on, lecz sztuka będzie podróżowała, on zaś – podobnie jak został szoferem Agaty – będzie gońcem dla swej sztuki, jakby listonoszem, będzie dostarczał koperty z maszynopisem, do tego teatru, do tamtego, tej redakcji, tamtej... Tak sobie wyliczył z własnych, dawnych doświadczeń zawodowych, że trzydzieści dni, aby to napisać piórem, bo nigdy spoza maszyny do pisania nie widział prawdziwego życia, tylko poprzez cienki papier zapisany rzędami słów czarnym tuszem... Potem, żeby to przepisać, właśnie na maszynie i poprawić, tu przerobić, tam dorobić – ze dwa dobre miesiące, więc był w kręgu prawdziwych obliczeń, gdy powiedział: trzy–cztery miesiące, może z dokładką. „Jeśli napiszę”, powiedział sam sobie. O czym tę sztukę ma napisać? Czego nie zrobił, nie wypowiedział, słowem, pismem lub uczynkiem, po wylądowaniu na lotnisku Kastrup i po zjednoczeniu z bratem pod dachami Manhattanu? Dla kogo ma być ta sztuka? Dla umarłych, którym będzie ją odczytywał na cmentarzach, niczym chory psychicznie literat, który urządza sobie cmentarne wieczory autorskie? A może zaprosi do teatru tłum młodych ludzi szczelnie wypełniających miasta i miasteczka starego kraju. Oni nie kupią biletów. Oni zapomnieli już o German, teraz mają swoją wzruszającą Kasię. I także swoich poetów, prozaików, dramaturgów... Michał Zdun nigdzie się w tym nie mieści. Umarły za życia, święta Janeczka wiedziała, co mówi, jak to zwykle ona.

Janeczka mieszkała na dalekich Bielanach, w ciasnym mieszkanku z wygodką w ogrodzie. Jeszcze w mieście, a już pół na wsi. Domek przylegał do garbatej drogi, wałęsającej się

między poletkami ozimin. Bandy kawek i gawronów zwykle darły dzioby, chmarząc się na szarej, rozoranej ziemi. Była znaną postacią przed wojną i zadawała się z luminarzami cyrku, estrady i kabaretów. Wtedy używana była jako medium przy wszelkiego rodzaju kabaretowych egzorcyzmach. Później dorabiała na swą nieistniejącą emeryturę wrózeniem, bez kart, bez fusów, bez dłoni. Spojrzała na człowieka i już wiedziała. Michał, wszyscy jego koledzy i ich żony, narzeczone, dziewczyny, latały do niej, jeden po drugim, jedna po drugiej. Emerytura Janeczki rozkwitła, znowu sięgała po sławę, tym razem w środowisku literackim i filmowym. Najbardziej niepokoiło Michała zjawisko telefoniczne. Czasami zaczynał o niej myśleć, tak ni stąd, ni zowąd i nie było w tym nic nadzwyczajnego; natomiast – dzwonek telefonu – podnosi słuchawkę: cieniutki, aksamitny głos Janeczki: „ja wiem, że pan o mnie myśli, bo ja właśnie widziałam pana...”. I tak dalej, i tak dalej, i kończyło się zawsze na przyobiecaniu stu złotych, które miał zawieźć następnego dnia i zawsze dotrzymywał obietnicy, nigdy tych pieniędzy nie oglądał z powrotem. Wyłącznie dostawał kredyt na dalsze wróżby. Innym jego przyjaciółom i przyjaciółkom zdarzało się dokładnie to samo. Janeczka posiadała magiczną moc telepatii, bez żadnej wątpliwości.

Więc kiedy mu powiedziała, że wyjedzie z kraju, aby więcej nie wrócić i tak jakoś smutno spojrzała Michałowi w twarz, jak własna matka... przeraził się wtedy i to do tego stopnia, że ugrzęzło mu to w podświadomości na całe tygodnie i miesiące. A może to w ogóle Janeczka tknęła go po raz pierwszy myślą o „wyjeździe” – jak powiedziała i w końcu jej przepowiednia się sprawdzała. Nie było go w kraju od trzech dziesięcioleci. Wydawało mu się latami, przez cały czas, aż do dzisiaj, że rozłąka dozgonna miała być fizyczna. On, Michał Zdun, z ciała, krwi i kości – nie powróci do kraju. Zwyczajny eufemizm na przepowiednię śmierci na obczyźnie. Teraz rozumiał to nieco inaczej. Jego ciało, krew i kości mogą wsiąść codziennie do samolotu Delty lub LOT-u i za jedyne paręset dolarów i w osiem godzin w niewygodnym fotelu na wysokości 10 tysięcy metrów – będzie z powrotem na miejscu. Ale nie wróci już do kraju, swojego kraju, skąd uciekł, tam nie ma pomostu, bo jego kraj i ludzie przestali na dobre istnieć. Święta Janeczka miała rację, że nie powróci więcej.

Nadciągała północ, gdy otworzył bramę wjazdową do posiadłości swej bratanicy. Był za leniwy i zbyt umęczony, aby wziąć prysznic. Zrzucił sandały i bosy poszedł do piwnicy, tak się nazywał ni to domek, ni magazyn, głęboko wpuszczony w skarpe ziemi, przez to zawsze chłodny i nieco zawilgocony. Tam leżakowały skarby Michała, cała dobra winnica zielonkawych butelek; stąd, zaledwie przed szeregiem godzin, wyniósł chłodny, lekki jak sok, pachnący jabłkami Zinfandel. Wziął jedną Valpolicellę, która mu zawsze najlepiej służyła na rozum, wzruszenia, wątrobę i trzustkę, i którą pijał najchętniej, zwłaszcza latem, lubił młode

wino.

Otworzył butelkę, wziął swój codzienny, ulubiony kieliszek i wyszedł do ogrodu. Usiadł w rozłożystym fotelu. Mimo nocy czuł obecność znanych sobie od lat drzew i krzewów. Parę zapóźnionych światełek nerwowo rozglądało się za miejscem na nocleg, ich blask drżący i płas bez żadnej choreografii pogłębiał granatowe wnętrza wieczoru, który się przemieniał w noc z niskim księżycem tuż nad horyzontem, ukrytym w koronach jesionów i starych dębów, bo cała posiadłość była ongiś wzgórzem imponującej dębiny. Był udręczony pragnieniem. Wypił pierwszy kieliszek, jak się pije nie szlachetne, eleganckie wino, lecz gminne piwsko – szybko i z pewnym przymlaśnięciem na znak zadowolenia i ulgi.

Z nagle wyczuł nadciągający paraliż bólu, tuż poniżej żeber i dołka. Wiedział, co będzie dalej, gdyż co pewien czas chwytały go przejmujące bóle poniżej klatki piersiowej. Na wokandzie lekarskiej było niemal wszystko, czego by nowojorski doktor nie podejrzewał. Od angina pectoris do raka trzustki, od oberwanej przepony po wypadku z cessań do zatruc siarczanami, których pełno jest w każdej butelce wina... wszystkie wielce katastroficzne przypuszczenia padały rozmyte analizą krwi oraz wieloma specjalistycznymi badaniami. Wszystkie wyniki bez zarzutu, a bóle powtarzały się, przychodziły i odchodziły znienacka, bez żadnej reguły, na szczęście bez jakichkolwiek szkód na przyszłość. Kardiolog powiedział, że jego EKG nie jest zupełnie czyste, lecz taki sam od kilku lat – nie trzeba się tym frasować. Nie z powodu bólu, lecz wieku, zalecali Michałowi mniej wina, więcej długich, szybkich spacerów i rozsądnej diety. Wtedy właśnie pożegnał się z Bordeaux, z Chateau de Papa, przestał otwierać kalifornijskie rezerwy właścicieli winnic. Na stół trafiały już wyłącznie lekkie, młode wina z południowych stoków alpejskich.

Więc teraz szybko rozluźnił spodnie, bo to zawsze przynosiło mu ulgę, gdy pasek przestawał uwierać przeponę brzuszną – siadał wygodnie i w bezruchu czekał po prostu, aż ból zamilknie, a ból odchodził jak morze, cofające się po przesunięciu się księżyca, zostawiając słony posmak swej obecności wokół. Gdy ból wygasał, jeszcze miał go w sobie, jakby przesiąkł do organizmu razem z krwią i tylko dłuższa chwila mogła go rozprościć i znieczulić. Zawsze pomagała mu lampka (lub dwie) czerwonego wina. Nappełnił kieliszek i siedząc sztywno w bezruchu, pociągał cienkimi łykami orzeźwiający, rozpachniony jesienią, dojrzałą winnicą, lekki czerwony płyn – jak mawiali Grecy – darowany wprost od bogów.

„Za dużo najeździłem się samochodem”, pomyślał, „za mało nóg prostowałem”, czyżby to jeszcze jeden podręcznikowy przykład, zem za stary dla tej dziewczyny, drapieżnej lwicy pod postacią ukladnego naukowca z Wrocławia, piękna muza z greckiej wazy... Nagle zawstydził się swoich zapędów i pomyślał, jak to może być śmieszne i politowania godnie zarazem –

widziane z boku, z ukosa, obejrzone rzeczowym okiem obserwatora, Stwórcy, który zesłał mu tak wspaniałą, przepiękną łódź, aby się do niej zabrał, nie – żeby ją bezcześcić.

Drugi kieliszek wina odprowadził ból w zapomnienie, a trzeci, który właśnie już był w połowie, upiększał i różowił mu horyzonty. Noc łagodniała, wszystkie świetliki poszły spać, cykady jeszcze tu i ówdzie odprawiały swoje egzorcyzmy, gdzieś daleko czekał pies. Granatowy łuk niebieski rozcinał lot samolotu, czerwone i niebieskie światełka pozycyjne jak dwie szpileczki złączone niewidzialną nicią. Leciał bezdźwięcznie i bardzo wysoko.

Musi do niej zadzwonić. Przyniósł telefon i wystukał numer. Ona w słuchawce.

– Agusiu, posłuchaj, wiem, że się pakujesz i pewnie cię już wszystkie mięśnie boją, ale musiałem do ciebie zadzwonić, jeśli mi wybaczysz.

– Michale, co za cudowna telepatia, właśnie dopychając drugą walizę kolanem, myślałam o tobie, że nie wypada mi straszyć cię o północy, ale gdybyś ty tak... i właśnie telefon. No i co?

– Ogłuszyłaś mnie, obilaś kijami moje polskie sumienie i teraz zadowolona odlatujesz...

– Tak jest napisane na bilecie, że jutro, a właściwie już dzisiaj, odlatuję.

– Nawet nie można cię odwieźć na lotnisko, skandal.

– Niech cię Pan Bóg broni od pokazania się przed domem albo przed odlotem. Będę wyglądała niczym paczkowski mur z podbitymi oczyma, taszczyła moje wspaniałe odkrycia w dziesięciu różnych paczkach i pakunkach..., a ludzie z Fundacji będą raz pomagać, raz opieprzać, że po co tyle tego, lub przypatrywać się z politowaniem na twarzy. Tylko mi ciebie będzie brakowało, żebym się rozplakała na ten cały odlot i na wszystko...

– Co, wszystko?

– Nie bądź podchwytny.

– Kto ci przyniesie kwiaty na lotnisko, skoro ja nie mogę?

– Tylko właśnie kwiatów mi brakuje do tego kramu, tak? A potem wstawię je w samolocie do wazonu, wody naleję i będą tam stały przez tydzień. Nigdy nie byłeś trochę praktyczny..?

– Pas. Wygrałaś.

– Tak mi przyjemnie, żeś jednak zadzwonił. Wiem przynajmniej, że cało dojechałeś do waszej pięknej posiadłości. Moc serdecznych całusów.

Rozłączyła się. Odłożył telefon, napełnił kieliszek winem i brał się do sączenia i wachania. Słyszał jeszcze dźwięk jej głosu, rytm i ton, ale bez słów, słowa zakotwiczyły się w mózgu, a głos przenikał go całego jakby rozprawdzany krwiobiegiem.

Pomyślał: „W jesieni mojego życia siadywałem sobie codziennie pod moim starodrzewem, w ogrodzie pełnym jerychonki, miałem takie słodkie życie po tej stronie oceanu, dopóki szara

ciemka nie załatwiła mi tego życia, jak huragany załatwiają wesołych mieszkańców Karaibów. Byłem uczciwym, zadowolonym poganinem, aż przyjechała w delegacji z zespołem Cyryla i Metodego, dała mi białe szaty, w które natychmiast zapakowałem swój brudny charakter, oraz wodę z chrzcielnicy do przeżegnania się, ale zapomniał, jak się to robi”.

Teraz nie wiedział, co bardziej go wypełnia – świadoma, niemal fizyczna obecność Agaty w nim, czy pierwsza fala przyływu kojącego wina w żyłach. I pomyślał sobie: „w końcu jestem starym niedźwiedziem, który już nie może i władze Long Island wystawiły zezwolenie na mój sanitarny odstrzał; jakiś chirurg plastyczny lub onkolog, lub zwyczajny regionalny dentysta dostanie papierek, całe moje genialne życie zawisnie na kuli w lufie sztucera”. Potem jeszcze uświadomił sobie, że powinien może to zanotować, bo przyda się do dialogu w sztuce. Ale był za leniwy lub zmęczony, aby pójść do mieszkania po papier i pióro, czy mikrofon podręcznego dyktafonu.

Napełnił znowu kieliszek i sięgnął po telefon. Ona w słuchawce; niepewna, trochę jakby zaskoczona szczerze...

– Zgadnij, kto dzwoni? – powiedział.

– Michał – krzyknęła z nieskrywanym zapałem.

– Tu polski nicpoń.

– Boże, znowu coś wymyśliłeś, poszedłbyś się przespać, późna pora, ja nie mogę, bo ciągle się pakuję, będę spała w samolocie. Michale, połóż się trochę i odpocznij, co?

– Tak myślałem, że w końcu masz mnie dość. Szkoda, bo chciałem złożyć podanie o posadę adoratora w pełnym wymiarze godzin.

Szczery, głośny śmiech w słuchawce.

– Czy wiesz? Dochodzi druga w nocy i ja bym chciała, by mój wspaniały adorator położył się i usnął jak człowiek.

– Nie człowiek. Nicpoń polski.

– Nicponie też kładą się do łóżka, by odpocząć.

– Wzięło cię na matkę-Polkę i nie da się z tobą pogadać, bo pędzisz mnie do łóżka, jakbym potrzebował okładów ze zsiadłego mleka.

Cisza po obu stronach. On czuł, że powiedział za dużo, ona zupełnie zaskoczona z wyschniętym językiem bez słów. Wreszcie:

– Skąd ci się to wzięło..?

– Z podświadomości. Jestem kompletnie zaskoczony, skąd mi się to wyrwało. Chyba masz rację. Położę się, zanim nie nadużyję kompletnie twojej szlachetnej wyrozumiałości dla

starych nicponi. Przesyłam na pożegnanie część naszych pocałunków z niewinnej ławki w Sag Harbor i tyle...

Klik wyłączzonego telefonu.

Nie poszedł jednak spać, lecz nalał sobie kolejny kieliszek wina. Butelka Valpolicelli dogorywała. Trzeba było przynieść następną i otworzyć, żeby wino mogło odetchnąć. Chłodniejszy wiatr znad Zatoki osiadł w dębinie. Zaszleściło wokół, rozszemrało się... Lekki kardigan dobrze by mu zrobił na ramionach i plecach, ale był za leniwy, żeby samemu wygrzebać się z fotela.

Tak myślał: „to jest ładny tytuł dla sztuki, «Nicpoń polski. Dramat w trzech aktach» na dwoje aktorów, reżysera, operatora świateł i kogoś, kto zapłaci za wystawienie tego w teatrze. Ile było grzechów głównych, chyba siedem. Jeśli przykazań jest dziesięć, to grzechów siedem”.

Nagle przypomniał sobie, że widział je, wszystkie siedem, zapisane w książeczce u Lechonia. Wygrzebał się z fotela, przyniósł sweter i tomik poezji, który mu podarowała Agata. Zapalił znicz i w jego migotliwym blasku przeczytał sobie siedem grzechów głównych, od pychy do lenistwa. Pomyślał, jak to pięknie być poetą. Kilkanaście linijek i wilgotnieją oczy; właśnie Michałowi oczy zwilgotniały, gdy czytał to wprost, jakby Lechoń pisał o Agacie:

*„Jedno długie spojrzenie, ach! ileż potrafi
Rzucone w moją stronę prawie nieostroźnie.
Ach! jakąż jest rozkoszą oglądać bezbożnie
To wszystko, czego nie ma na twej fotografii.*

*Wszystkie dnia mego sprawy są tylko marzenia,
Które noc porozprasza, sen z myśli wypłoszy;
Bo cóż da rozkosz wargom, gdy pragną rozkoszy,
Cóż może olśnić oczy, gdy pragną olśnienia?*

*Noc z tobą – to jest jedno, co jak haszysz działa,
Tylko jedno, w co można wierzyć bezprzytomnie.
I nie wiem, czy jest miłość oprócz twego dała,
I wiem, że mnie nie kochasz, że zapomnisz o mnie”.*

Była druga dwadzieścia parę, gdy zadzwonił do niej:

– Po coś mi te wiersze dała? Trucizna. Piołun, czy piołunówka, dobra wódka przedwojenna, lecz za dużo piołunu. Trujący grzyb. Ledwie przełknął, już mnie wszystko boli, tak mnie strasznie uwierają moje szare komórki. Spałaś?

– Za kwadrans będę dobra z pakowaniem i może pójde spać.

– Nie będę więcej dzwonił. Wytrzeźwieję trochę i też położę się do łóżka. Skoro telefon wygląda na ostatni, posłuchaj mnie czcigodna matko-Polko, właśnie odczytałem sobie Lechoniowskie grzechy główne i o jeden chciałbym cię prosić, byś też przeczytała, gdy już wrócisz do swego domu, bo egzemplarz mi zostawiłaś...

– O którym wierszu mówisz? Ja dosyć je pamiętam...

– Przypomnij sobie „Nieczystość”.

– Michale, ja nic innego w życiu nie robię, tylko czytam czyjeś wiersze, listy, itp. Dlaczego ci „Nieczystość” chodzi po głowie?

– Bo to jest mój wiersz o tobie i dla ciebie, chciałbym go dedykować: „mojej Agusi”, sęk w tym, że ktoś inny to napisał.

Roześmiała się nieco smutnawo; pamiętała dobrze ten wiersz, rozumiała, co jej Michał próbuje powiedzieć. On mówił:

– Patrz, jak to przyjemnie sobie wiersze przeczytać i potem dedykować je telefonicznie. Czasem wydaje mi się, że nasze życie to są ruchome schody, raz na nie wstąpiłeś, wyniosą cię na górę, dopóki nie znikniesz po drugiej stronie; i nie jedziemy sami, lecz z wszystkimi przypadkowymi współużytkownikami tych schodów. Jaka radocha, że w naszym przypadku byli z nami na tych schodach: Jarosław, Jerzy, Tadzio, twoja Święta Trójca nowojorska, Domingo z Pavarottim, Midori z JoJoMa, Nana Mouskuri z waszą Górniak, Gorbaczow z Reganem, nawet Clinton ze swoją Moniką Lewinsky, popatrz, jakie mnóstwo fajnych ludzi na tych schodach, tuż obok nas. Jeszcze przed kilkoma dniami cię nie było, a teraz rozjaśniasz mi tę jazdę w górę jak betlejemskie zjawisko, jeszcze niedawno było mi wszystko jedno, dokąd schody jadą i kiedy wwiozą mnie na górę, a teraz będę prosił Boga, żeby zwolniły albo żeby się zepsuły i powstały trochę...

Śmiech w słuchawce. Po przerwie na łyk wina, mówił dalej:

– Czy wiesz, czym się ci wszyscy ludzie różnią ode mnie, razem z tobą?

– Hm, coś nowego wymyślił, Michale?

– Oni wszyscy coś na tych schodach robili i ty bardzo dużo zrobiłaś, czcigodny naukowiec, w odróżnieniu ode mnie. Teraz dopiero zaczyna mi się wyraziście rysować w słowach, co czuję. Mały, ryży tchórz, wielki nicpoń polski, brakuje mi lepszego słowa, które mi uciekło; kiedy wy wszyscy w waszych miastach staliście w waszych kolejkach po torebkę

z ćwierć kilogramem karkówki lub kości – ja jadłem łososia wędzonego na przekąskę, indyka z nadzieniem, zalewałem to albo winnicą czerwonego wina, albo szklankami whisky, aby do deseru przyprawić to wszystko Maderą lub Porto, rezerwą właścicieli; to jest chyba grzech obżarstwa i opilstwa, lecz również i pychy. Gdy twego męża wieźli do obozu, ja wiozłem podstarzałe matrony brooklyńskie, często rodem z Grodna albo Wołkowyska, do wykwintnych sklepów lub restauracji, w pogoni za sutym napiwkami; co to jest? Łakomstwo? Kiedy twój Łukasz leżał na kozetce z rozdętymi szklankami pod kompresem ze zsiadłego mleka, ja też leżałem, na plaży atlantyckiej niedaleko domu latem albo na Key West zimą, albo na Trunk Bay. Wiesz, co to jest Trunk Bay?

– Nie, Michale...

– Najpiękniejsza plaża świata, według ekspertów od turystyki, zielonych aktywistów, wykupiona przez Rockefellerów i zamieniona w park narodowy na Wirgin Island, gdzie byczyć się można za darmo, lecz aby zjeść kolację i przespać się w jedynym opodal kurorcie trzeba wyłożyć siedem, osiem stów, ale nie za tydzień, lecz za jedną noc – czy to jest lenistwo z pychą pożenione? Gdy ciebie major namawiał do zdrady i mózg ci trzeszczał od niemocy – ja jadłem, piłem i lulki paliłem za oceanem, a teraz gniew we mnie wstąpił, że o mnie tam zapomnieli, sztuk nie grywają. A teraz pora na wszystko najgorsze: wyciągam rękę po ciebie, jakbyś mi się należała, a prawda jest taka, że do ciebie nie dorósł, to jest mój grzech nieczystości...

– Michał! – krzyknęła do słuchawki. – Przestań! Natychmiast przestań!

– To zrób coś ze mną, abym przestał. Poszedłem do księży, powiedziałem prawdę, chciałem, by mi coś zrobili, a oni, „żebyś się nie batożył, bom nie wiedział, co czynię, więc mam u Boga i w Kościele odpuszczenie”. Wypowiadałem się tobie, a ty na to ze swoimi tajemnicami życia, by mi pomóc, żeśmy wszyscy tak, czy inaczej, gdzieś tam w czymś upapranii. Wymarowałaś się sadzą, aby dorównać czortowi.

– Michale, nie mogę cię złać, więc rzucę słuchawką...

– Zanim to zrobisz, pomóż mi, nie rozgrzeszaj mnie, ale daj mi kopa, żeby zabolalo. Jedyną pokutę, jaką widzę przed sobą, to rozłąka z tobą i próżnia zmysłowa, intelektualna, cała wielka pustka, jaka mnie czeka po twoim odlocie. Zrób coś ze mną. Zanim o mnie zapomnisz. Skoro nie mam ani siły, ani woli, ani czelności, by się powiesić lub utopić, pora. by w końcu ktoś, kto wie, co robi, uczciwie mnie powiesił. Jestem ryżym tchórzem, nie mającym ani siły, ani czelności, by wejść do Świętej Rzeki Hudsonu, bez żadnej nadziei przejścia na drugą stronę.

Długa chwila przerwy i tęgi łyk Valpolicelli. Chciał jeszcze coś dodać, lecz wyczuł, że ma

trudności z kontrolą głosu i za moment może się rozpląkać jak stary pijaczyna.

– Tyle słów mojej ewangelii na dzisiaj. Leć z Bogiem....

Klik wyłącznika w telefonie. Cisza i wiatr chodzący po gałęziach starodrzewu. Siedział w bezruchu, czując chłodny dotyk tego wiatru z drzew na swoich policzkach. Było mu słodko – i źle. Był zakochany i go bolało. W „Bramach Raju” Jerzy to wyraziście określił, że gdy nadchodzi miłość, natychmiast się rozszczępia na miłość i cierpienie i sama tylko miłość nie istnieje, lecz zawsze w asyście cierpienia. Przysnął.

Telefon od niej. Godzina 3.20 nad ranem.

– Michał, Michał, nie wiem, czy ci grzechy będą odpuszczone, twoja sprawa i twego Boga, muszę ci powiedzieć teraz o dziwnej porze, kiedy jeszcze noc, ale już przed świtem; nie czuję się matką-Polką, tylko jestem taka, jak ci się przedstawiłam u Trumpa: Agata Poznańska – ja cię rozgrzeszam ze wszystkiego, ale nie za darmo, rozgrzeszenie za pokutę. Dobrze?

– Nawijaj.

– To wszystko tak cię boli, jakbyś się zranił wczoraj lub przed rokiem. I teraz pomyśl sobie, ilu ludzi codziennie umiera, płodzi dzieci albo je skrobie, albo je ma, ilu ucieka od swoich obsesji, od szarego życia, i czmychają do swojej mysiej nory. Zadają ci straszliwą pokutę, aczkolwiek nie jestem okrutnym człowiekiem. Słuchaj, masz tych poskręcanych ludzi wywlec z ich nor i zrobić z nimi coś dobrego... Żeby się rozplakali nad swymi wyskrobanymi dziećmi, porzuconymi matkami, zaniedbanymi żonami, nad emigracyjnymi samotnikami. Jak masz to zrobić? Pisz, tak jak mi to powiedziałaś; położyłeś na stół wszystko, dość obrzydliwie wprost i bez obciachu, jak byś ty swoim językiem określił, tak to napisz, dużą sztukę, żeby ludzie szli, słuchali, klaskali, płakali, wyklinali cię za to, że im – znowu używając twego języka – zwurdziłeś ich życie. Nie myślisz, że to jest straszna pokuta? Będiesz w bólu i niepewności pisał o swej klęsce, aby innym ludziom pomóc wylizać się z ich własnych, to masz zadane, od matki-Polki, jeśli tak chcesz. Dobranoc.

Klik odkładanej słuchawki.

...A ponieważ był już w połowie drugiej butelki wina, łatwiej mu było w ogrodzie pełnym kwiatów i szumu drzew, klęknąć i mówić: „Boże, o którym zapomniałem, który zesłałeś mi taką piękną łódź, Boże, którego obraziłem tyle razy, ile tylko można w mowie, piśmie i uczynku, i teraz zamiast Ci dziękować za łaskę zesłania mi łodzi, za łaskę rozgrzeszenia, które mi się nie należy, teraz ukarż mnie, jeśli taka Twoja wola, jestem krnąbrny i mam charakter, ukarż mnie za to, co powiem: zamiast dziękować, wnoszę petycję, daj mi siły, zdrowie i rozum, abym spełnił moją pokutę. Mój mózg jest dzisiaj jak moja sperma w Sag Harbor, nie daj mi począć sztuki na kształt i podobieństwo chorego chinola na Down

syndrom, oczyścić mój skołatany i zmacony mózg, zatopiony strumieniem czerwonego wina, abym począł lepsze dzieło literackie, niż począłem dziecko przed laty; daj mi zdrowie, siły i rozum, abym zarobił ciężkim pisaniem na Twoją łaskę przywrócenia mi talentu, którym żeś mnie obdarzył przy narodzeniu, a który tak zbezczęściłem, O Lord!”

*

Później Michał zasnął w fotelu. Znicz dopalił się nad ranem. Agata odleciała po południu, szósta czterdzieści pięć, a on przez cały dzień chodził z bladym kacykiem w żołądku i mózgu.

*

List do Agaty, pisany w trzy dni później:

„Czcigodna Księżniczko polskiej nauki, żywe i chodzące do Ossolineum Anturium, czyli szara ciemko, stara jak mury Paczkowa; nie wiem, jak nawijać, więc może zacznę od spodu. Jakby powiedział ś.p. pan Jerzy, od kiedy odleciałaś, „ciemności kryją ziemię”. Natomiast te nasze ostatnie telefony przypominają mi, co ludzie mówili i pisali o sławetnych improwizacjach nadmistrza Adama. Wszyscy zgodnie wzdychali, że cud, prosto jak z Ewangelii, ogromna sztuka, wzniosłe uczucia – ale nikt, niktusieńki nie pamiętał nazajutrz, co tam było. Musieli sobie dobrze dawać w kielonkach, że nikt nie ocalał, by coś zanotować dla spadkobierców. Pamiętam, że telefony między nami zawierała materię muzyczną jakby ze „Stabat Mater” i marszu Legionów, ale ani w ząb nie pamiętam cytatu.

Owszem, rozgrzeszon jestem i dostałem pokutę, nareszcie przyzwoitą. I jeszcze pamiętam, że coś robiłem po bożemu, albo się zapamiętałe modliłem jakby na Górze Oliwnej, albo, co gorsza, czytałem Bogu Lechonia, z tomiku, któryś mi podarowała. I teraz, co dalej? Czy to jest koniec wszystkich końców? Gdyby można podpisywać kontrakty z Mefistem poza operą, dałbym skórę – moją starą, parciejącą skórę niedźwiedzia, który już nie może bez viagry – za zmazanie dwudziestu lat. Wtedy, czując w sobie całą jędrność chłopca niestarego, wsiadłbym do „767” i przyleciał do Wrocławia. Mówiłaś, że ty wolisz inżyniera od bohatera. Wiesz, jak to jest. Marzenia lubią sprawdzać się częściowo. Może więc nie inżynier, a mechanik samochodowy. Innymi słowy – taksówkarz wrocławski. Z oszczędności, które mam w akcjach i w czymś jeszcze, dałoby się kupić dobrą taksówkę, nie starego poloneza, czy taniego forda, fiata, ale – powiedzmy – niemieckiego mercedesa. Zostałbym taksówkarzem salonowym. Archiwum literackie mego życiorysu otworzy mi drzwi do samej elity wrocławskiej... i będę woził zamiast zaspanych ludzi, którzy spóźnili się na tramwaj do pracy, na przykład właścicieli sklepów na stację kolejową, gdy będą odjeżdżali z żoną i dziećmi do Wenecji na tydzień urlopu, albo aktorkę teatralną na lotnisko, by zdążyła do Warszawy na próbne zdjęcia do TV; może jakieś podpite, męskie bractwo, które zapragnęło skoczyć do

Polanicy na kuracjuszki i wreszcie, z polecenia prywatnego – sam bogaty Niemiec – zawierzy mi dostarczenie jego ciała, zwurdziałego od kontraktów i późnych kolacji w polskim stylu, z powrotem do żony i sekretarki w Berlinie lub Hamburgu. Widzisz, jakie lazuruowe życie kierowcy taksówki. A ty będziesz moją żoną. Wyprowadzona z domu bohatera podstępem i siłą, wkrólujesz do mojego mieszkania, również za moje oszczędności; rozwiesimy obrazy, przykryjemy podłogi dywanami; będzie nam dobrze, słodko i pomyślnie. Z czasem własne doświadczenie ci podpowie zwyczajną prawdę, że z biegiem lat w głowie strumyk ciurka coraz wolniej. Będę już pisywał sztukę raz na parę lat; teatr uliczny ją wystawi na głównej ulicy we Wrocławiu, albo jeszcze lepiej – na rynku, gdzie jedyną dekoracją będzie Fredro siedzący na krześle. Będąc tak czcigodnym badaczem życiorysów pismaków żyjących i pomarłych, wiesz zapewne, Marek Hłasko, właśnie w Twoim Wrocławiu, gdy należał do koła młodych pisarzy i znosił swoje pierwsze opowiadania, jeździł taksówką nie jako pasażer. Może dostąpię radosnego wyróżnienia i będę Neo-Markiem, Staro-Markiem, nędznym Markiem, widzisz, co mi po głowie chodzi, sława i uwielbienie kobiet. Świat jest podobno mały, najlepiej się o tym przekonać, paradując ulicą Świdnicką, więc albo jakieś pachole z gitarą i końskim ogonem pokaże Cię koledze i powie: „żona Zduna, tego, co jeździ taksówką i sztuki wystawia na rynku”, i obaj się jeszcze raz za Tobą obejrzą. I będzie Ci przyjemnie wrócić do domu słowa nie powiedziawszy, może tego wieczoru zdejmiesz pantofle i pończochy, aby bose stopy dotknęły naszego dywanu, śląc mi w ten sposób niezawodny znak, że masz ochotę na łóżko. Pomyśl, to wszystko za jedyną starą, sparciałą, wyleniałą latami skórę niedźwiedzia, którą – nota bene – ktoś i tak uzyska, wypcha i oprawi po sanitarnym odstrzale takiego sparciałego niedźwiedzia, jak siwy Michał Zdun. Co? Ale Mefisto poszedł we wrześnie na wojnę i do tej pory nie wrócił, pewnie go Niemcy wzięli za Żyda. Cóż mi zatem pozostaje? Dopelnąć tradycyjnej pokuty. Biorę się do sztuki, nawet coś mi już po głowie chodzi, dawniej pisałem jeden akt na tydzień, ale byłem bardzo młody i pisałem szybko, zachłannie i w szczerzej niewiedzy i nieświadomości, jakie są – czy będą – tego literackie konsekwencje. Dziś, przypuszczam: jeden akt na miesiąc, to może być moja szybkość artystyczna, więc za trzy, krótkie czy długie, miesiące, będę miał gotowy tekst, przepisany na maszynie, albo nawet – co wielce modne na dzisiejsze czasy – na dyskietce. I wtedy przywiozę to, będę lub będziemy szukali teatru, jeśli nie znajdziemy, wystawimy na Świdnickiej albo na rynku z tłem Fredry na krześle. Sztukę będę musiał, zadedykować Tobie, boś ją wymatkowała, współpoczęła albo sama zaczęła, a ja po prostu skończyłem tę robotę. ...I jesteśmy, gdzieśmy byli. Ktoś na Świdnickiej obejrzy się za Tobą i powie: „to jest żona posła, co Zdun jej sztukę napisał”. I będzie Ci przyjemnie, i wrócisz do swego domu, i

zdejmiesz pantofle i pończochy, bosy przejdiesz po mieszkaniu, dając niezawodny znak mężowi, że masz ochotę tego wieczoru na łóżko. Ja będę w tym czasie pił moje czerwone wino w moim rozpachnionym ogrodzie z powiewem słonego wiatru znad Zatoki, może będę pisał sztukę, a na pewno listy do Ciebie, Ty Szara Ciemko – Twój stary Niedźwiedź”. Koniec listu.

Przez parę dni myślał o niej i o sztuce. To nie może zacząć się u Trumpa w atrium, po pierwsze – kto i w jakim teatrze zrobi do tego scenografię, by już więcej nie wrócić do tej sceny..? Niepraktyczne. Zapis scenograficzny do pierwszego aktu powinien tak wyglądać: „On, bohater sztuki. Nicpoń Polski, siedzi w ogrodowym fotelu przed swoją cottage, jak w każde przedwieczory ze swoją codzienną gazetą i szklanką czerwonego wina. Sygnał telefonu.

Teraz, w drugim planie ukazuje się ona, ze słuchawką. Dialog.

On: Michał Zdun, słucham...

Ona: Proszę pana, jestem z Zakładu imienia Ossolińskich z Wrocławia, doktor Agata Poznańska, jak bardzo się cieszę, że wreszcie pana słyszę, szukamy pana od tygodni..”.

...Coś nie tak, pomyślał, dlaczego ona niby miałaby telefonować, strata czasu dla sztuki i oczu widza w teatrze. Powinno się to zacząć jej pojawieniem na scenie i to musi być też jak objawienie. On, siedzący w tym ogrodowym fotelu, powinien wstać i prawie zemdleć z tak zwanego wrażenia. Olśnienie powinno zdarzyć się natychmiast, od pierwszego wejścia i słowa, i jeszcze pomyślał, że właściwie całą sztukę można by rozegrać w jednej scenerii: w jego ogrodzie, może z planami dalszymi w retrospekcjach, coś niby jak w filmie.

Kiedy indziej myślał sobie, dlaczego ta sztuka powinna dostać tytuł: „Pranie Nicponia”. Po ćwierci wieku niebycia, gdy został starym niedźwiedziem, a trzeba to rozumieć jako grzeczny eufemizm na starą pierdołę, co się przez lata bezmyślnie gamonizowała, teraz chce pozować widzom. Narcyzm w pretensjach. To jest niedobre z tym nicponiem. A może „Wielkie pranie na Long Island”?, żeby ludzie chodzili do kasy na ten amerykański hak? Niegłupie. Przynajmniej zrobimy pranie dla obojga. On będzie prał jej brudy, ona jego – przy okazji się zakochają. To już lepiej, dramat o dwojgu; romantyczna bohaterka ze skazami, stary gamoń amerykański ze spróchniałym polskim wnętrzem... I gdy przyjdzie do wystawienia i do recenzji, ona będzie na przedzie, on zostanie w drugim planie w oczach tych wszystkich, którzy zechcą kupić bilety. W noc przed odlotem Agaty tak wszystko wyglądało prosto, wzniośle, prawie jak z improwizacji. A teraz, kiedy próbował dotknąć ten materiał myślą i piórem, zamieniał się w płynący ocean bez kształtu i treści – masyw sinych, zielonkawych wód bez wyrazu i uczucia. „Na cholere mi taka sztuka po tylu latach głuszy?” – zezłościł się

któregoś dnia. To musi być o niej. O człowieku, który jest na łodzi, nie o topielcu, który jest wciągany. On może być tym dokładnie, czym jest ściana dla fotografa, by na jej tle dobrze zarysował się portret. I to chyba będzie najlepsze, on tłem dla jej portretu. Wydało mu się, że znalazł regułę, na krótko poczuł się lepiej.

Kiedyś, gdy znowu siedział w swym fotelu słuchając szemrzącej dębiny, przy stoliku, na którym stała szklaneczka wina, chyba trzecia lub czwarta – nagle z tyłu zza oparcia – diabeł mu podszeptał: „Poletko Łukasza”.

Zjeżdżał schodami w dół, do atrium, widział z perspektywy ten stół, przy którym siedzieli. Kaskada szumiała jak wtedy, tryskając salwami błyskotliwych szkiełek, gdy woda rozbryzgiwała się uderzając o marmury. Było całkiem chłodno, tu zawsze jest świetna klimatyzacja i cicho tym razem, bez agresywnej muzyki. Szmer głosów, szmer schodów i szmer kaskady. Orzeźwiający powiew czystego powietrza. Wziął cappuccino i usiadł nieopodal, gdyż „ich” stół był zajęty przez japońskich turystów. Czuł, że w klimatyzowanym pomieszczeniu schnie mu skóra i rozwierają się płuca. Uciekł, czy schronił się od zaduchu i dokuczliwego upału nowojorskiego lata, z oczyma różowymi od szczypiącego ozonu.

Wyjął z koperty dokumenty i jeszcze raz je przeglądał: bilet, międzynarodowe prawo jazdy, paszport. Miał rezerwację w „767” polskiego LOT-u na pojutrze, zamówiony samochód przez Eurocar na Okęciu, którym pojedzie wprost do Wrocławia, bez noclegu w Warszawie. Popojutrze będzie więc tam. Przypomniawszy sobie Wrocław z kabiny samolotu, gdy przechodzili z radiolatarni w Trzebnicy, biorąc bezpośredni kurs na lotnisko, po lewej stronie, gdy uchylał maszynę w szerokim i łagodnym łuku tuż przed podejściem do lądowania – miał pod sobą miasto, wieże kościelne na wyspie tumskiej z solidnym blokiem katedry, wieże śródmieścia z ratuszem i ogromnym kościołem św. Elżbiety, gęste nitki ulic, jak naczynia krwionośne, z potokiem ludzi, samochodów, tramwajów i tego wszystkiego, co się w mieście porusza, czerwone dachy domów i piękny kształt uniwersytetu – samotny, zakotwiczony nad rzeką... i tory linii kolejowych, przekopujące się wśród masy miejskich dachów, niczym przemysłny system kanałów irygacyjnych wprowadzających życie do miejskiej aglomeracji, i widział rzekę, rozczłonkowaną, wielokanałową, jakby system szarosinych wstęp rzuconych przez sam środek zabudowań.

Przed kwadransem odebrał papiery z biura podróży. Dziś, późnym wieczorem, gdy będzie już wczesne rano we Wrocławiu, zatelefonuje do Agaty i powie, że będzie tam niemal zaraz. I tam, we Wrocławiu zacznie pisać sztukę. Wiedział, jaka ona będzie i o czym. Na pewno nie o nim, gamoniu zza oceanu, on będzie tylko (czy jedynie) tłem literackim dla wypiętrzenia jej

osobowości: wzruszającej, skromnej matki, żony bohatera, kobiety z uroczymi zmarszczkami słabości charakteru, przez to bardziej ludzkiej; moja, nasza, zrozumiana i serdeczna. Ogromna, tętniąca przyspieszonym pulsem radość zalegała w każdej wnęce jego mózgu.

Był wzruszony prawie jak poeta, chciałby wiersz napisać, ale nigdy w życiu ich nie pisywał, cieszył się jak małe szczenię, że już popo jutrze będzie u progu nowego życia, u zaczątku nowej sztuki po blisko trzech dekadach. Rodzina japońska pozbierała swoje mance i aparaty fotograficzne i oddaliła się w stronę hallu wiodącego do toalet. Kelner sprzątał stolik. Michał dopił kawę i wstał. Zanim ruszył ku ruchomym schodom, na sekundę wsparł się dłonią o ten „ich” stolik, zgrabny, kosztowny, w guście północno-włoskim. Zdawało mu się, że jeszcze pachnie tu włosami Agaty.

Z niechęcią wyszedł na Piątą Aleję, miał kilka bloków przed sobą do garażu, gdzie zostawił samochód. Ten dystans wystarczył, że znowu się spociał i oczy zapiekły od ozonu. W garażu było jeszcze duszniej, prawie jak w maszynowni starego, parowego statku. Czekał długo na swój samochód, zanim go nie zdjęli z windy. Był taki zły i zgrzany, że złośliwie dał nędzny napiwek i nawet coś przygadał organizacji garażu. Nareszcie wsiadł do swego lincolna i natychmiast włączył klimatyzację. Zatłoczoną Piątą Aleję jechał w dół do 33 ulicy, by skrócić w lewo, w stronę Midtown tunelu. Szyby samochodu oddzielały go od kotłowni Manhattanu.

Wczoraj miał znowu piękną noc w swym „oliwnym” ogrodzie, troszkę przyłany czerwonym winem. W końcu – nim zasnął w fotelu – popłakał się z nadmiaru emocji. Tym razem nie czytał wierszy Panu Bogu, przeciwnie – raczej oddawał się całkiem bezbożnym zajęciom. Ten diabeł zza fotela, który mu podszeptał „Poletko Łukasza”, to sam Mefisto, który wrócił z drugiej wojny światowej po tylu długich latach. Niemcy nie wzięli go widocznie za Żyda i wrócił do zawodowej roboty, a Michał Zdun był – czy jest – jego nowym klientem. Najpierw zadali sobie istotne pytanie: dlaczego miałby pisać sztukę na Long Island, a nie we Wrocławiu?... Gdzie będzie mógł codziennie widywać Agatę Poznańską – za jej zgodą i po dobroci, gdy pójda wypić kawę albo wpadną do baru na śledzika z piwem, gdy wstąpią do księgarni obejrzyć nowości albo kupią bilety na film amerykański z polskimi dialogami, gdy będą przechadzać się wybrzeżem nad fosą... albo jeśli nie będzie miała czasu czy ochoty, może jak szkolny sztubak stać na rogu i wyglądać, kiedy wraca z pracy, spieszy się na parking do samochodu lub piechotką do tramwaju, będzie ją podglądał, jak to się robiło za gimnazjalnych czasów.

Nareszcie skrzył w lewo, zostawiając za sobą tłok Piątej Alei, minął kilka dymiących parą, przegrzanych samochodów i już miał przed sobą wstęp do mrocznej jamy tunelu. Gromadka

stłoczonych pojazdów u wjazdu zapowiadała przewlekłą drogę, lecz zajechał do kolejki, która choć wolno, jednak poruszała się. Wnikał do tunelu w podwójnym rzędzie setek innych wozów z wolna wczołgujących się pod koryto East River. Drugi brzeg, ujście tej superlisiej jamy – gdzieś tam jaśniało popołudniowym blaskiem w odległości dwóch mil. Rano przeleciał tędy, lecz w odwrotną stronę do miasta, w parę minut i z sześćdziesiątką na liczniku, ale teraz było już popołudnie i ludzie wracali na Long Island do swych domów na wieczorny obiad i nocny spoczynek.

Więc ten Wrocław, który się różni od wszystkich innych miast świata tym, że tu mieszka, chodzi, pracuje i oddycha Agata Poznańska, doktor nauk z Zakładu Ossolińskich. Pewnego, letniego wieczoru, który się już przemienia w granatową noc z wytrzeszczonymi gwiazdami na firmamencie, weźmie ją za rękę i pójda nad Odrą. On w lnianych spodniach i jedwabnej koszuli, z rozpiętymi dwoma guzikami pod kołnierzykiem, ukazując nieco piersi porosłej siwą gęstwiną. Ona w kolorowej spódnicy, niebieskiej bluzce, spod której widać linie staniczka; na stopach ten kolejny czarci wynalazek, pantofle na obcasie, ale bez pięt, cała stopa jest przed głodnymi oczyma panów; od kiedy pantofle bez pięt odmłodziły kobiece nogi – mężczyźni świata stali się bardziej natarczywi. Szewski „subytut” na viagrę.

Więc pójda wzdłuż nabrzeży odrzańskich, prowadząc się za rękę, aż on poprosi bardziej, niżeli zapyta:

– Gdzie to było?

– To mnie krępuje, Michale.

– Dam własną skórę za wskazanie miejsca. Ani cię to zaboli, ani zawstydzi, bądź dorosła. Potrzebuję tego pilnie do sztuki.

Ona zatrzyma się i zrobi właściwą uwagę:

– To jest zwyczajny szantaż. Teraz nie mogłabym odmówić, a jestem pewna, że twój dramat może się bez tego zupełnie dobrze obejść.

Przyspiesza kroku, jakby wiodąc za rękę, starsza siostra – młodszego brata. Jest ciemno, rzeka sina, niebo czarnawe, powietrze granatowe. W oddali kształty drzew, jeszcze dalej – światła miejskie. Ale tutaj, gdzie szli, to jakby w jego wspaniałym ogrodzie. Pachnie trawą i szumią liście, i coś jeszcze pachnie oprócz trawy, jakieś intensywne ziele, którego nie umie nazwać.

Zatrzymują się. Milczenie, ona puszcza jego rękę. Więc to jest poletko Łukasza..!

Przez dłuższą chwilę stoją w milczeniu. Obejmuje jej ramiona, których ciepło wyczuwa pod cienką bluzeczką. Opuszcza rękę na biodro, mocno chwyta Agatę i pół-niesie, pół-ciągnie w głąb łagodnej skarpy. Parę kroków, jeszcze parę, są z dala od asfaltowej ścieżki nad

brzegiem rzeki. Siadają, oboje trochę jakby zdyszani. Wcześniej łyknięta viagra zrobiła swoją robotę. Zrzuca koszulę, ściele ją na trawie, kładzie Agatę, zdumioną i jeszcze bez wyczucia, gdzie żart literacki, a gdzie Michałowe pojmowanie cudzej żony. Dłoń na jej guziczkach od bluzki; puszcza ją, czuje ciepłą skórę i delikatność skromnych, niemal dziewczęcych piersi, nachyla się do nich i całuje sutki.

– Michał, Mich...

Przerywa jej szeptem:

– Pod nieobecność sierżanta, Stanisława Buraka... Nagle oboje tryskają nieoczekiwanym, serdecznym śmiechem. Śmiejąc się do rozpuku, podgarnia jej spódnicę, zdejmując majteczki, nerwowo zsuwa swoje spodnie i jego twardy członek zanurza się w gorącą, delikatną materię Agaty Poznańskiej.

W jakiś czas potem leżą na trawie, raczej ona leży na jego koszuli, on czuje wilgotny, miękki chłód nigdy niekoszonych traw. Przed oczyma czarne niebo z jaskrawymi gwiazdami. Noc jest bez księżycy i bez sierżanta Buraka. Serce nerwowo bije od niedawnego wysiłku; ale nic, on żyje, nie umarł na zawał serca z nadmiaru wysiłku i uczucia.

– Do głowy by mi nie przyszło, że w moim wieku można jeszcze tak strasznie kogoś kochać.

– Znowu jesteśmy przy datach urodzenia. Czy nie mógłbyś popatrzeć w niebo..?

Jakie piękne marzenie, myślał Michał; to było wczoraj wieczorem w jego pachnącym ogrodzie, po trzech, czy czterech lampkach Valpolicelli, miał spotkanie z Mefistem. Mimo przespanej nocy i burzliwego dnia obfitującego w telefony, biura, samochód, jazdy, tłum ludzi wokół, nowojorską duchotę, jak z kotła starego parowozu..., a mimo tego – jeszcze teraz czuł dreszcz na szyi, wzdłuż kręgosłupa, w dół, aż do stóp schodzący prąd nerwo-radości. Bo jeśli mogą być nerwobóle, dlaczego nie nerwo-radości? Myślał o tym w samochodzie, zatrzaśnięty szkłem szybek w tubie podwodnego tunelu.

Dzień miał pracowity i ciężki od samego rana. Duchota rozbudowywała się w atmosferze już od wczesnego słońca. Gołąc się, otworzył szeroko rozsuwane drzwi do ogrodu. Gdy się wykapał, spostrzegł, że ma nieproszoną wizytę. Ogrodowa wiewiórka wpadła do kuchni, kręciła się jak głupia. Po długich zmaganiach zarzucił na nią koc i wytrzepał z powrotem między krzewy. Musiał znowu wziąć prysznic, gdyż był cały mokrutki od tej wilgotnej duchoty w powietrzu. Gdy stał w wannie, mokry i nagi, wycierając się ręcznikiem, wydało mu się nagle, że Janeczka chce z nim rozmawiać. Nie słyszał o niej od wieków i skoro już nie żyła, nie telefonowała po sto złotych, ale mu coś jakby zadzwoniło w uszach. Zaraz po czarnej kawie wystukał numer adwokata, starego przyjaciela, który trzymał jego testament.

– Burt, lecę do Polski, tak, wyobraź sobie, po kilku wiekach ciszy, nagle jest wiele ruchu. Lecę i ponieważ nie dam centa ani w swoim, ani w Boga imieniu, że wrócę z tarczą, bo zawsze, jak wiesz, Burt, jest szansa z podróży wrócić na tarczy, pamiętasz facetów z naszego klubu, ilu z nich nagle zmarło w Polsce. Za socjalizmu podejrzewaliśmy, że ich trują, wiesz, jak to jest, zmiana czasu, zmiana klimatu, zwłaszcza kuchni, a nade wszystko zmiana wódki, potem emocje... a potem pogotowie. Na wszelki wypadek, gdybym nie wrócił, zapisz sam, albo daj mi Denise, twoją słodką sekretarkę, bym podyktował, masz czas i pióro..., więc pisz. Gdybym umarł w kraju, nie ma sensu moich polskich gości targać w trumnie przez Atlantyk i wozić mnie do **Doylestown**... nie, oddaj działkę w Częstochowie z powrotem dla Skrzydła Lotników, a będę pochowany w kraju, w następujący sposób: jest osoba we Wrocławiu, która nazywa się Agata Poznańska, doktor nauk, zatrudniona w Zakładzie Ossolińskich. Zrobisz ją wykonawcą polskiej części mojego testamentu. Ona znajdzie zakład pogrzebowy, który będzie umiał spopielić moje zwłoki, umieścić w urnie, którą potem wymieniona Agata Poznańska weźmie ze sobą nad brzeg Odry, przedtem odczyta „Bzy”.

...Co to jest? Ona będzie wiedziała, jest doktorem od takich rzeczy, jak bzy. A potem zanurzy, mówiąc fachowo, ciepnie urnę do rzeki, tak, do rzeki Odry, gdy urna się po latach rozmyje i rozpuści, moje prochy spłyną do Bałtyku, albo zasilą polską ziemię. Wolę tak, niż z powrotem w pudełku, w bagażowym przedziale. Dobrze? Za tę zasługę transferowania mnie do wieczności doktor Poznańska będzie wynagrodzona połową kolekcji moich obrazów, razem z bratanicą, sporządzą listę przed odlotem, co będzie Agaty, a co mojej kochanej farmaceutki, której, jak pamiętasz, zapisaliśmy wszystko, co mam... Chcesz, abym zadzwonił po powrocie. Burt, dam ci cynk i pogadamy o ziemi naszych tatusiów, chociaż ty jej nie pamiętasz wcale...

Koniec rozmowy.

Potem telefon do apteki. Rozmowa z Jeffreyem, mężem bratanicy:

- Słuchaj, potrzebuję fiolkę na drogę.
- Pomaga ci? – spytał życzliwie i ciepło.
- Tak, mój duduś przypomniał sobie, że kiedyś miał trzydzieści lat.
- Przyniosę ci wieczorem. Nie mieszaj z alkoholem i czymkolwiek na serce. O-key? Albo serce, albo drink, albo viagra, razem do kupy nie gra.
- Podaj mi tak, żeby ona nie widziała. Niby nic, a może być głupio.
- Baw się dobrze, Mike.
- Nie zawiodę cię, Jeff.

Koniec rozmowy.

Później zaczął pakować swoje *rzeczy* i to wysłało go znowu do łazienki po następny prysznic. Taki dzień, który aż prosił o deszcz, ale deszczu nie było w promieniu godziny lotu odrzutowca. Roztajały asfalt uginał się pod kołami autobusów. Telewizja ostrzegała starych i chorych przed inwazją ozonu.

W tunelu zazwyczaj bywa chłodnawo, lecz nie wtedy, gdy setki samochodów powłóczą kopytami, co krok to stop i znów dwa kroki, i stop. Prawdopodobnie, myślał, jedna linia w przedzie musi być zablokowana przegrzanym autem i tylko jedna funkcjonuje. Znał to z doświadczeń, kiedy jeździł jako zawodowy kierowca. Ale w pewnym momencie wszystko, co żyło, utknęło w bezruchu. Czas tykał na zegarze, nic się nie ruszało. Myślał: „pomoc drogowa dotarta do zepsutego wozu, teraz będą go ściągać, więc zajęli chwilowo drugą linię”.

Nie lubił stać w tunelu, zresztą, kto lubi? Zobaczył nagle, jak tuż przed nim samochód okrył się czapą białej pary. Strzelił wąż i przegotowany płyn wybuchł niczym granat z gazem łzawiącym. Ktoś wysiadł i otworzył maskę silnika. Kolejny wrak do ściągnięcia. Nareszcie coś ruszyło się na przedzie. Czerwone światła hamulcowe gasły kolejno i obie linie zaczęły dreptać. Wpuścili go na drugi pas, aby wyminął dymiący, przegrzany samochód przed sobą. Przebrnął wraz z masą innych pojazdów kilkaset jardów i szczęście się urwało. Jak daleko spojrzeć – pary rubinowych światel hamulcowych, jakby z innej planety, innego układu, żywe stworzenia patrzące czerwonymi ślepcami do tyłu. Nagle chwycił go prawdziwy ludzki strach: zapaliła się różowa lampka temperatury silnika. Był przegrzany. Musiał bodaj na chwilę wyłączyć klimatyzację. Kabinę dość szybko wypełniała masa gęstego, ciepłego powietrza. Czuł, że koszula lepi mu się pod pachami. Lampka zgasła. Włączył klimatyzację. Był szczęśliwy, gdy zaciągnął się czystym, suchym oddechem tej wspaniałej maszynierii zwanej klimatyzatorem. Jest to coś tak w swej prostocie cudownego, że zasługuje na przymiotnik – czei warty lub błogosławiony, aby wyrazić ludzkie uczucie, które jest w stanie pobudzić. Odbiło mu się lunchem, który zjadł w ukraińskiej restauracji: pierogi z kapustą i grzybami. Pomyślał, że nie powinien jeść czegoś takiego w upalne południe i jeszcze przyłożywszy to łomżyńskim piwkiem. Ale zimne, łomżyńskie zmyło mu z wątroby kacyka po wczorajszym wieczorze. Rubinowe światła pogasły. Znowu żółwi bieg w betonowej tubie. Jeszcze raz mu się niesmacznie odbiło i poczuł, że się zaczyna. Omdlewający, ślepy ból wspinający się po przeponie z podbrzusza aż do przelyku. „Teraz?” pomyślał, „tutaj?” Nie było lepszego miejsca i bardziej stosownej pory? Wiedział, co robić, szybko rozpiął pasek, guziki w spodniach, rozciągnął gumkę majtek i porozpinał koszulę, aby nic nie uwierało przepony, która chwyciła spazm. Trwał w tym bólu przygnębiony, że go właśnie teraz chwycił. Po kilku chwilach zelżało i mógł przynajmniej swobodnie oddychać. Przed szybą

nowy zator. Setki rubinowych świateł i zupełny bezruch. Zrozumiał, że gdzieś tam na przedzie zdarzyło się coś więcej niż przegrzane auto. Musiał być jakiś wypadek i z bezradnym uczuciem rezygnacji wiedział, że oba pasy przed nim muszą być zamknięte i posiedzą tu sobie wszyscy w tej cholernej, betonowej tubie. Zaróżowiła się lampka temperatury silnika. Miał znów przegrzany samochód i musiał wyłączyć klimatyzację. Ogarnął go strach i zaczął się intensywnie pocić. Ale za to ruszyły wozy, jaka radość, gotów byłby zaśpiewać, gdyby umiał. „Byłem doczołgał się do tego łuku, gdzie cud się zdarzył, doznałem olśnienia i gdzie pierwszy raz ona mnie pocałowała, to jest dobre miejsce dla mnie, coś jakby «poletko Michała», nasza planeta z sześcioma miliardami ludzi wydziela nam poletka w tunelach podziemnych?... każdy ma gdzieś tam swoje miejsce, lepiej w tunelu niż na dnie oceanu, byle do zakrętu”. Widział go już w przedniej szybie. Stamtąd – tylko niecałe pół mili pod górkę, wyjeżdżanie na powierzchnię i zobaczy światło dzienne. Zaraz do swego domu, długi, ostry, zimny prysznic, a potem lampka chłodnego, czerwonego wina i kostka szwajcarskiego emmentala „w moim boskim ogrodzie”. Czy to nie recepta na ludzkie szczęście? Poczul w kabinie woń płynu silnikowego, jego samochód był mocno przegrzany, ciśnienie rosło w obwodzie chłodzeniowym i lada chwila mógł się okryć, jak pierzyną, białą chmurą śmierdzącej pary. Uchylił szybę, ale w tunelu cuchnęło spaloną gumą, gdzieś tam w przedzie musiała zapalić się komuś instalacja elektryczna. Zamknął okno z powrotem. Nagle czuł, że mu wraca ból przeponowy; tym razem ciężki jak wór piachu i bolesny jak rwący mięsień, zaczęło się w dołku, promieniowało wszędzie, gdzie mogło, zdawało mu się, że mu eksploduje trzustka lub woreczek żółciowy, potem odezwało się palącym bólem w przełyku, nigdy przedtem nie czuł bólu w ustach, teraz rozbolewały go zęby trzonowe. Nawet dotarło do mózgu i świat przed szybą drgnął, rozkołysał się jakby w trzęsieniu ziemi. Spoza karku wylał strach i zagarniał go sztywnymi palcami jak morski potwór kolorową rybkę. Wtedy zrobiło mu się niedobrze i czuł, że się wypróżnia. Pragnął otworzyć drzwi samochodu w nadziei, że wywieje smród z kabiny i jadący obok człowiek poda mu butelkę zimnej, źródlanej wody.

*

Telefon dyżurnej lekarki z pogotowia szpitalnego w Queens do bratanicy:

- Michał Zdun, kto to jest dla ciebie?
- Mój wujek, prawie jak drugi ojciec, po stracie pierwszego. A co?
- Czy ty masz normalne ciśnienie?
- Jak najbardziej, a co?
- Podpisałam przed chwilą akt zgonu... Michała Zduna...

– Co..??

– Poczekam przy telefonie, aż dojdiesz do siebie.

– Mów: Mike nie żyje?

– Zmarł na zawał serca w Midtown tunelu. Jest mi tak przykro ci to mówić, on nie był taki stary i zawał nie był taki rozległy, można go było uratować, gorsze zawały ratowaliśmy, ale musimy dostać pacjenta w ciągu siedmiu–piętnastu minut. W tunelu był kolosalny zator, bo zapaliło się coś w autobusie, wiesz, jak to jest w taki dzień, jak dziś; karetka dotarła do twego wuja w 46 minut po telefonie z sąsiedniego samochodu od ludzi, którzy byli świadkami jego utraty przytomności. Potem jedenaście minut jazdy do szpitala, trzy minuty transferu z karetki na stół, razem: ponad godzina. Przywieźli go w stanie śmierci klinicznej. Na elektryczne wstrząsy było za późno. Chirurg otworzył klatkę piersiową i masował serce bez powodzenia. Twoje imię i telefon znaleźliśmy w portfelu, na kartce z adnotacją „w razie niebezpieczeństwa”. Nie płacz ...albo sobie pochlip, słyszę cię w słuchawce, tak mi jest przykro, że nie mogliśmy go uratować.

*

Telefon bratanicy do Poznańskiej:

– Agata? Mówi Barbara, bratanica Michała. Słuchaj... Mike nie żyje. Zmarł parę godzin temu na zawał serca. Masz pół godziny na pozbieranie się... Zadzwoń jeszcze raz.

*

Drugi telefon bratanicy do Poznańskiej (fragmenty):

– On się w jakiś sposób szykował, że nie wróci żywy z Polski. Nawet porobił szereg zmian w testamencie i dodatkowych zleceń, pełno jest ciebie w tych zmianach. Dzwonię do ciebie, bo jestem wykonawcą testamentu. Z tego, co pozmieniał ostatnio, klaruje się jego wola, że masz istotną rolę w jego pogrzebie. On wierzył, że umrze w Polsce i ty miałaś znaleźć właściwy zakład pogrzebowy, dopilnować kremacji zwłok, miałaś urnę z jego prochami wrzucić do Odry, ale przedtem miałaś odczytać bzy. Czy wiesz, co to jest?

– Oj, tak, wiem.

– Spełnisz wolę Michała, jeżeli się zgodzisz, naturalnie. Nasz agent podróży wysłała ci bilet, list z kopią świadectwa zgonu dla konsulatu amerykańskiego, abyś dostała specjalną wizę w trybie natychmiastowym, wszystko leci faxem do LOT-u, ciebie i konsulatu. Nasz agent będzie dzwonił do ciebie, by zadbać o szczegóły. Ja czekam tu na ciebie z mężem i córką. Michał zapisał ci w testamencie część jego kolekcji obrazów, reszta idzie do mojej córki, wiesz, on ma niektóre wspaniałe rzeczy, polskich malarzy...

– Na litość boską! Michał umarł, przestań mi pleść o jego obrazach. Słuchaj... nie mógł

wybrać gorszego dnia. Ja mam za tydzień międzynarodową konferencję naukową w Krakowie i wygłaszam wiodący referat. Jak ja się mam wyrobić z pogrzebem..?

– Och, Agato, nie zdajesz sobie sprawy, jak się sztuka grzebania ludzi zmieniła w ostatnich latach. Nie tylko komputery i bezkablone telefony. Teraz możemy przetrzymać Michała w super-zamrażarkach prawie w nieskończoność. Faraonowie marzyli o naszych czasach. Chcesz trzydzieści dni, chcesz więcej? Załatwię to z zakładem pogrzebowym.

– Daj mi odetchnąć.

*

Telefon Agaty Poznańskiej do bratanicy w dwie godziny później:

– Słuchaj, Basiu, nie mogę szwendać się po świecie trzy, cztery tygodnie i żeby mi się w głowie tłukło, że Michał czeka na swój pogrzeb. Sama padnę na atak serca od czegoś takiego. Słuchaj, kilka dni do referatu, to sporo czasu, będę się uczyła mego tekstu w samolocie, tam i z powrotem. Bierz się za ten pogrzeb, ja przylecę po południu, przenocujesz mnie, rano, następnego dnia zrób pogrzeb dla Michała i potem odeślij mnie na lotnisko, bym złapała wieczorny samolot do Warszawy...

– Jakie to ładne, coś powiedziałaś. Czekaj na telefon od naszego ajenta.

*

Pół nocy przegadała z bratanicą. Obie tego potrzebowały. Część drugą przeplakała w pokoju gościnnym, do którego on sam niedawno ją zaproszał... Zdrzemnęła się trochę o świecie. Nazajutrz w łazience zrobiło się jej niedobrze. Teraz piły kawę z mlekiem, ubrane i gotowe na cmentarz. Zajechała długa, czarna limuzyna. Czas. Wtedy zadzwonił telefon. Bratanica podniosła słuchawkę, natychmiast przybladła i ręce się jej rozbiegały. Nic nie powiedziała, odłożyła aparat. Do Agaty:

– Zupełny koszmar. To nie może być prawda...

– Po przerwie: – mąż dzwonił. Biuro do Walki z Narkotykami wpadło do apteki, wszystko rekwirują, konfiskują, męża chcą aresztować. Ktoś przyniósł fałszywą receptę, narkotyk, mąż się nie zorientował, wydał lek. Muszę dzwonić do adwokata i gonić tam, mój mąż to taki straszny neurastenik, zaraz dostanie zawału serca, będę miała dwa pogrzeby w jednym tygodniu. Agata, wsiadaj do limuzyny i jedź z Michałem, ja pożegnam się z nim jutro, pojutrze, mam go tu obok, mogę go żegnać co tydzień...

*

Szaro-czarny karawan i czarna, długa limuzyna Agaty. Nad bazyliką przemieszczały się pasma sinawych, zwiewnych chmur, niesionych z głębi kraju suchym, chłodnym frontem po dniach wilgotnej kotłowni nowojorskiej. Pachniało skoszoną trawą.

Pracownicy zakładu przenieśli trumnę nad grób, świeżo wykopany, otwarty, niczym rana ze stołu operacyjnego.

Wszystko odbyło się tak, jak Michał podyktował w testamencie przed laty, z ostatnimi poprawkami. Najpierw kościół, gdzie młody, ale tłustawy ksiądz okadził trumnę, zmywając resztę grzechów Michała, których nie zdążyła odpuścić mu Agata, potem długa droga do Pensylwanii wśród łagodnych wzgórz, lasów i sadów, jak w drodze do Kazimierza nad Wisłą i teraz odkryty niczym straszna rana, okrutny grób, na miejscu, które nie tak dawno Michał plewił z chwastów. Trumna.

Ona przed grobem, za nią – przyzwoicie w tyle – dyrektor zakładu pogrzebowego. Kwiaty opodał, od niej, od bratanicy z mężem, Stowarzyszenia Lotników Polskich, wszystko zorganizowane przez dyrektora zakładu.

Wyjęła z torebki tomik, otworzyła na właściwej stronie i zaczęła czytać głosem niepewnym i drżącym na wietrze:

*„Przed domem uschły biały bez,
Ulica szarą zaszła mgłą.
Smutek bez sensu i bez łez.
...You know, you know...”.*

Przerwała jej sygnaturka z wieży klasztoru, w swym pożegnalnym płaczu, jaki tylko dzwon potrafi z siebie wydać, ponad wszystkie instrumenty świata. To był dzwon tylko dla Michała lub po Michała Zduna, by opuścił swoje doczesne i już tknięte czasem szczątki, stawiał się jak za dawnych czasów w jednostce na odprawie pilotów, przed Majestat Boga i wtedy chyba będzie musiał przedstawić super-sztukę, by się wytłumaczyć z życia, które nie zostawiło za sobą śladów wbrew zaleceniom Adama Asnyka, lecz boskie miłosierdzie jest nieobliczalne w swym ogromie, więc Michał Zdun ma wreszcie zapewnioną nieśmiertelność, jeśli nie jako dramaturg, to jak dusza zbłąkanego człowieka. Agata czytała:

*„Lokomotywy nocą gwizd
Gdy się w tej mgłę powoli szło.
I szary dzień, i smutny list,
....You know, you know...”.*

Stado dzikich gęsi kanadyjskich przefrunęło kluczem nad cmentarzem, swawolnie się przekomarzając głupią, gęsią gęganiną. Pięknie wyglądały, szybując na tle nieba, z pasmami frontalnych chmur.

Czytała:

„Potem pod ziemią węgiel wierć

I sennie w barze patrz we szkło.

Co dzień to samo. I już śmierć.

...You know, you know... ”.

Zamknęła tomik. Dwa ostatnie ptaki, wypadłe z szyku, na chwilę rozproszyły jej uwagę. ...I nie wiedząc, gdzie tę książkę z wierszami spakować, rzuciła na wieko trumny. Może pomyślała: „Przyda mu się na drogę do Polski. Idąc do nieba musi... najpierw przesybować nad Ojczyzną, chyba nie ma prostej drogi do nieba i każdy ma swój skręt, Matka Teresa, chyba jedyna, która była pozbawiona skrętu i poszła prosto do nieba jak Matka Boska. Michał będzie szedł do nieba przez Polskę, Boże mu dopomóż”.

I stała samotnie, długo, długo, dopóki szofer nie pokazał zegarka, wtedy wsiadła do limuzyny i jechała pomiędzy zielonymi wzgórzami, drogą taką, jak do Krynicy, tylko z bogatszą roślinnością, przez miasteczka niczym Kazimierz nad Wisłą, przez nowy most na Delaware, przez miasto, tunele, szosy, na odległe lotnisko, skąd szary, wielki, dwusilnikowy ptak miał ją zabrać przez Atlantyk do ich kraju.

Lake Ronkonkoma, czerwiec–sierpień 1998.

Poezja: Jan Lechoń: „Rozmowa z aniołem”

„Nieczystość”

„Bzy w Pensylwanii”